

**KORNELIA DOBKIEWICZOWA**

**SZTOLNIA  
W SOWICH GÓRACH**

**BAŚNIE I OPOWIEŚCI Z ZIEMI OPOLSKIEJ, BESKIDÓW I DOLNEGO ŚLĄSKA**



NASZA KSIĘGARNIA WARSZAWA 1963

*Motto:*

„OBOK LUDZI DZIAŁAJĄ W BAŚNI  
TAKŻE ISTOTY NADZWYCZAJNE,  
NADLUDZKĄ MOCĄ, CZY INNYMI  
PRZYMIOTAMI OBDARZONE...”

*(J. S. Bystroń — „Etnografia Polska”)*

## O TRZECH BRACIACH Z OPOŁA

Od góry Ślęży przygnały niegdyś wiatry srogą burzę do Opoła. Pociemniało niebo od chmur fioletowych i sinych, a rzeka Odra w tym strasznym dniu stała się naraz szara i mętna, jakby z jej dna rozniewany Utopiec poderwał wszystek muł i rozbełtał go gałęziami powalonej przez burzę jodły. Odra szumiała, huczała i odrywała kęsami piaszczyste brzegi, unosiła wyrwane z korzeniami drzewa, rozbijała tratwy i rybackie łodzie.

Na samym dnie rzeki zbudził się od tych łoskotów Utopiec i powstał z miękkiego łoża, które każdego dnia słały mu z wodorostów brzeginie\*-służebne. Wypłynął na powierzchnię rzeki i siadłszy na grzbiecie białogrzywej fali spoglądał na świat.

Po niebie przebiegały właśnie błyskawice i jak złote miecze przecinały gęsty mrok. Od ich światła Utopiec mrużył swe blade oczy, okolone zielonymi rzęsami i pełen zaciekawienia patrzył w chmury. Huczało od piorunów, a porywisty wiatr rozwiewał władcy rzeczemu jego długie włosy, między które podczepiały mu się ostrymi kolcami wodne orzechy, owe kotevki, które dzieci tak lubiły zbierać latem u brzegów Odry.

Twarz miał Utopiec piękną, lecz barwa jej była całkiem osobliwa.. Gdyby go ujrzał ktokolwiek z ludzi w jasny dzień, dostrzegłby zielony kolor policzków, złotawe czoło i brunatne wąsy, które dziwnie przypominały żdźbła wodnych traw. Kiedy Utopiec gładził je ciemną ręką, widać było błonę pomiędzy jego palcami.

Nosił się pięknie, tak jak prawdziwy rycerz lub księżę, miał bowiem zbroję z rybich łusek, a i klejnotów nie brakło mu ku ozdobie: w piasku rzeczonym znajdowało się dosyć grudek złota i srebra, a w muszlach wielkich szczeżuj brzeginie wyszukiwały dla niego perły.

Służebne Utopca bały się wyjść na powierzchnię wody, nie znosiły bowiem grzmotów. Odziewały się brzeginie w lekkie suknie tkane z wodnej rzęsy, którą w pogodne wieczory przędły przy świetle miesiąca, rozsiadłszy się gromadą na przybrzeżnej łące. Lękały się brzeginie, że wiatr porozrywa im szatki i pozrzuca z głów wieńce z białych grzybieni.\* Pozostały więc w podwodnym trzemie \* Utopca, którego okna pozasłaniały nawet okiennicami z wielkich muszli, byle nie słyszeć grzmotów.

A rzeczny władca, jak rycerzowi przystało, jechał tymczasem na fali odrzańskiej jak na koniu białogrzywym i tak przygnała go nawałnica pod samo Opole.

Znał od dawna to miasto. Pamiętał jeszcze dni, kiedy od świtu do późnej nocy stukwały siekiery w puszczy po obu brzegach Odry. To drwale ścinali najpiękniejsze jodły, dęby i brzozy na pierwsze domy drewniane, na wał obronny i dranice \* do brukowania ulic w prastarym grodzie na wyspie Pasiece. Wówczas to Utopiec chętnie podpływał do samego brzegu i z radością przyglądał się pracy człowieka. Kiedy spławiano ku Pasiece bierwiona, zrąbane w

\* Objaśnienia trudniejszych wyrazów znajdziesz na końcu książki.

górnym biegu wody, popychał je zgrabnie w dół rzeki, przepływając pod nimi, aż dziwili się cieśle opolscy, jakim sposobem drewno tak szybko do nich przyplływa.

Mijały zimy i wiosny. Miasto rozkwitło, ludne się stało i gwarne. Wieleż uciechy miał Utopiec, kiedy w upalną noc, pełną woni niedawno skoszonych traw, przybiegały nad Odrę dziewczyny i drżące, niespokojne puszczały na wodę wianki.

Spoglądał na nie spomiędzy trzcin, a niekiedy przykazywał kapryśnej fali, by wianek poniosła prosto w ręce umiłowanego przez dziewczynę chłopca. Byłby i kwiat paproci chętnie darował młodemu, gdyby go znał. Paproć jednakże zakwitła nocą kupalną w lesie, a tam Utopiec nigdy nie chodził, gdyż w nieprzyjaźni był z Dziadem Leśnym.

Rzeczny władca niekiedy lubił płać ludziom figle. Bywało, że pijaniców wodził po bagnach i kąpał w błocie po same szyje, że babom, starym klachulom,\* porywał chusty, kiedy je prały nad rzeką i zbytnią wolę dawały językom...

Różnie poczynął sobie Utopiec, ale zawsze jednak miłował ludne i gwarne Opole. W ową burzę płynął ku niemu gnany troską. Nie otrząsnął-li wiatr opolanom rumianych jabłek po sadach? Nie porozrzucił brogów dojrzałej pszenicy? Nie pozrywał niedawno układanych strzech z ubogich chat przewoźników i rybaków żyjących na skraju miasta?

Płynął i patrzył w błyskawicami rozświetloną noc. I oto dojrzał ponad Opolem czerwoną łunę. Ognie ogromne buchały w niebo, barwiły chmury krwawą purpurą i złotem. Utopiec zdumiał się, potem uląkł i kazał wiatrom gnać fale rzeki szybciej ku miastu. A łuna wciąż rosła, wciąż czerwieniała wśród mroku nocy. Iskry snopami buchały w niebo, a woda w Odrze odbijając w sobie poczęła czerwony blask.

— Pożar! — Utopiec zadrżał wspomniawszy owe domy z bierwion cisowych, strzechy ze słomy i suchego sitowia, ogrodzenia wokoło podwórzy i drewniany bruk.

Pożar!... To piorun uderzył w którąś z chat. W Opolu gore!... Ogień zre domy, płomienie liżą drewniany bruk, czepiają się płotów i bram.

W Opolu gore!... Ginie człowiecza praca, z dymem niszczeje plon! Jakże mu żal było ludzi!

Utopiec ręce wyciągnął do chmur, zajęczał głośno, zapłakał. Zawołał pełen rozpacz o deszcz, by pomóc miastu, które ukochał. Usłuchały go chmury kłębiaste. Skupiły się ciałniej nad płonącym miastem, zawisły niżej i oto chłodny deszcz sieć zaczął ukośnymi strugami palące się domy Opoła.

Rzeczny władca uderzył wówczas dłońmi o fale Odry. Uniosła się woda, wzburzyła, wystąpiła z brzegów i wdzierać się poczęła w niżej położone ulice. Zalała je, lecz nie zatopiła. Z sykiem cofał się przed nią ogień.

Ulewa gęstsza się czyniła, silniejsza. Wody spływały strugami po zwęglonych zrębach domostw, po nadpalonych płotach i wierzejach wrót. Łuna zniknęła. Ustały grzmoty. Nad Opolem szumiał już tylko deszcz. Znikły i fale na Odrze.

Utopiec pogrążył się w ciemną toń, rad, że go posłuchały chmury. Podwodne prądy zaniósł go rychło do jego trzemu, na samo dno rzeki, tam, gdzie się znajdowała największa głębina.

Po tym pożarze wielu mieszkańców miasta zostało bez dachu nad głową. Wielu bez snopka jednego i miarki jagieł na zimę. Stracili odzież i pościel, koszuli całej nie wynosząc nawet z ognia. Płakali ludzie w Opolu, bali się chłodu i głodu.

Jesień zbliżała się szybko: pożółkły listki na brzozech, poczerwieniały w lesie brusznicce. Dnie były krótsze, chłodniejsze ranki.

W mieście gwar powstał, narady, i tak poczęto zbierać pieniądze, aby dopomóc tym, którzy domy swe i dobytek stracili w pożarze. Mądre niewiasty z Opoła chwyciły się przy tym sposobu, aby jak najwięcej ludzi sięgnęło do swoich mieszkań po srebrne pieniądze.

Na prawym brzegu Odry szumiały dęby na wzgórzu. W ich cieniu maleńki kościółek drewniany dziwem jakimś ocalał. Na stoku wzgórza spod skały tryskało źródło i cienkim,

srebrnym pasemkiem wody spływało w dół, by gdzieś za miastem złączyć się z Odrą.

To wzgórze z dawna słynęło w okolicy. Opowiadano, że je nawiedził niegdyś sam biskup Wojciech, że tam miewał kazania i chrzczył mieszkańców Opolą. Owo źródło spod ziemi ponoć wywołał, gdy mu zabrakło wody do chrztu.

Taka to wieść niezwykła ściągała ludzi na wzgórze; nikt nie omijał kościółka z tych, którzy przybywali do miasta. Opole również słynęło ze swoich targów, nie tylko na Śląsku, lecz i na Rusi, i w czeskiej ziemi, a nawet w Italii je znano.

Mądre niewiasty przygotowały więc skrzynkę rzeźbioną w drzewie lipowym, przedziwnie pięknej roboty z otworem do wrzucania pieniędzy. I wieczko całe, i boczne ścianki pokrywał misterny ornament: krzewy bujnie rozrosłe w dwie strony, a na nich mnóstwo listeczków i kwiecica. Był to niezwykły wzór, zwano go niegdyś „drzewem życia”. Wyrzeźbiony, wymalowany albo wyszyty na jakimś przedmiocie, według pradawnych wierzeń miał sprowadzić szczęśliwą dolę na tego, komu przedmiot ów służył. Nie dziw, że mądre niewiasty opolskie tak ozdobiły właśnie ową skrzynkę. Miała być przecież skarbonką dla wszystkich biednych w Opolu!

W targowy dzień, wczesnym rankiem, pobiegły niewiasty na wzgórze i zawiesiły skrzyneczkę w przedsionku starego kościoła. Promienie słońca wpadały właśnie przez uchylone drzwi i złociły białe drzewo skarbonki. W ich świetle, na ciemnej ścianie, skrzynka wydawała się jeszcze piękniejsza i przyciągała oczy każdego, kto wszedł do kościółka.

— Ach, co za wzór! Jaka piękna skrzynka! — zawołała żona komesa \* i pierścień z drutu złotego szybko ściągnęła z paluszka, by go wrzucić do skarbonki.

— To dla ubogich pogorzalców z naszego miasta... — szepnęła dziewczyna służebna do towarzyszek, które szły gromadką za swą panią jak białe kwiaty polne przy róży, w giezielkach i zapalnicach z lnianego płótna.

— Ja dam siekaniec! — To powiedziawszy jedna z dziewcząt sięgnęła do mieszka przy pasie i wydołała płaski kawałek srebra, który dostała od pani na Gody za całoroczną zapłatę. Ofiarowała go biednym z ochotą.

Przybył rycerz przyjezdny w modrym kaftanie, ze złotą siatką na włosach. Wrzucił i on pieniądze, a dwaj kupcy nie żalowali złotej monety, byle zaskarbić sobie przychylność opolan. Prości ludzie z tych, którym pożar nie zniszczył dobytku, nie żalowali również niczego ze swych niewielkich zasobów. Miedziane grosze, wytarte i drobne, raz po raz trafiały do skrzynki. Nawet wędrowny dziadek przepatrzył swe torby, siadłszy na ziemi przed drzwiami kościółka, i wrzucił także miedzianeczek, a mały chłopiec, nie znalazłszy niczego w kieszeni, wepchnął do skrzynki płaski cynowy guzik, który znalazł na drodze, by choć w ten sposób złożyć datek na biedniejszych od siebie.

Wiele jeszcze ludzi przyszło w targowy dzień do kościółka na wzgórze i coraz to przybывało w skrzynce siekańców, pieniążków, a nawet pierścieni.

W samo południe przyszli trzej bracia: Piotr, Paweł i Kuba. Niebogaci to byli pacholcy, bo całą ich majątność stanowiła łódź, którą pozostawił im ojciec. Mieszkali za miastem, koło przystani, w samotnej chacie, której nie tknęły płomienie. Na łodzi przewozili kupcom z Opolą worki ze zbożem i beczki z miodem do Brzega lub do Wrocławia.

— Patrzcie — rzekł cicho Piotr do swych braci — tu zawieszono skarbonkę! Oto zbierają datki dla tych, którym spłonęły domy.

— Czy damy im nasz tygodniowy zarobek? — zapytał Paweł.

— Pewnie, że damy, nam pozostała przecież nasza chata i łódź, jesteśmy młodzi i zdrowi — z tymi słowami dwaj starsi bracia wrzucili do skrzynki wszystkie pieniądze, jakie mieli w sakiewkach u pasów. Tylko jeden Kuba stał ze spuszczoną głową i spozierał na nosy swoich juchtowych trzewików.

— No, Kuba, a ty? — zapytał Piotr brata.

Pachoł milczał i nosem pociągał.

— Co tak stoisz, gamoniu, jakby ci od nóg powyrastały korzenie? — rozgniewał się Paweł, spostrzegłszy, że najmłodszy z nich ociaga się ze złożeniem datku.

— Kiej mi ino jeden pieniądz został... — markotnie powiedział Kuba.

— Dajże ten pieniądz biednym, braciszku!

— To ostatni! Jakże go dać?

— Co gadasz? A wstydź się, Kuba! Skąpisz uboższym od siebie? Żałujesz dla pogorzalców? — Tu bracia poczęli przymawiać skąpcowi i głośno Kubę zawstydzają. Ten coś zamruczał pod nosem, a potem ospale sięgnął w zanadrze i dobył stamtąd pieniądz znaczniejszy, zawinięty w lnianą płachetkę.

— Oto go macie... — z wielką niechęcią powiedział.

— Oj, Kuba, Kuba... — bracia z wyrzutem kiwali głowami.

Pachoł namarszczył się, ale szturchnięty w bok przez Piotra, wrzucił jednakże swój pieniądz do skrzynki.

W drodze powrotnej nie wyrzekł ani słowa do Pawła i Piotra, tylko spode łba na nich pozierał, bo pieniądz swój chował na piwo i na hulanie w karczmisku z wesołą zgrają kamratów.

Jesienne słońce świeciło pięknie ponad Opolem przez cały targowy dzień. Ciżba ogromna tłoczyła się w rynku, pomiędzy kramami i straganami, na których nie brakło trzewików pięknej roboty, statków niewieścich, płócien i sukna, jadła smakowitego, miodu, a nawet srebrnych zausznic, pierścieni, wina w beczułkach i wonnych pieprzów, szafranów czy cynamonu.

Bracia nic kupić nie mogli, ale stawali radzi koło straganów i dziwowali się pięknym towarom.

— Hej, pachołkowie! — zakrzyknął na nich ktoś z tłumu i oto przed młodzieńcami stanął bogaty karczmarz, który najlepsze miody miał w swej piwnicy.

— Pono łódź macie niezgorszą? — zapytał.

— Mamy, po oćcu jeszcze została — rzekł Piotr.

— Kiedy tak, to mi beczki z miodem przewieźcie do Brzega, ale pomnijcie, dziś na odwieczerz mają być dostarczone, sam brzeski komes bowiem je kupił. Sługi odbiorą, a ja nie pożałuję płaty, jeśli się dobrze sprawicie.

— Sprawim się dobrze, karczmarzu! Miodu waszego dziś jeszcze komes przy wieczery upije...

Razem z karczmarzem poszli ku jego domowi, by przypilnować sług, którzy miód w beczkach mieli ładować na wóz zaprzężony w dwa woły i dowieźć go do przystani. Kubę posłali do domu i nakazali mu łódź przygotować do drogi, a także nieco chleba i sera w tobołku.

— Bacz, Kuba — rzekł bratu Paweł, kiedy najmłodszy odchodził — a dobrze słuchaj. Bez naszej wiedzy i zgody niczego nie bierz na łódź. Z nikim się więcej nie umawiaj o przewóz, boś jeszcze młody i łacno cię ludzie uczynią kpem.

— Toć... — mruknął Kuba i czapkę mocniej nasunął na czoło. Skręcił w zaułek między zwalone i nadwęglone zręby domów. Pusto tam było, psy tylko węszyły po ziemi za suchą skórką od chleba.

„Karczmarz bogaty człek — myślał pachoł — dom pobudował sobie od nowa. W gospodzie pełno! Chłopy przy kubkach i dzbanach. To mi jest życie!” — A choć pod jego nogami trzeszczały węgle pogorzelniska, nie pożałował w swym sercu ani przez chwilę tych, których dom nadaremnie oto czekał na odbudowę.

Pod starym dębem, na brzegu rzeki, stała uboga chata trzech braci. Na kalenicy ćwierkały wróble, w gałęziach dębu gruchały dzikie gołębie. W ptasim języku pytały:

— Czy już? Czy już? Czy już?

— Próg... Próg... Nowy próg... Zrąb... Zrąb... Czy stanie nowy zrąb?

— Cicho, gamonie! — krzyknął Kuba i rzucił w ptaki kamieniem, a sam szybko pobiegł nad rzekę ścieżyną wydeptaną pomiędzy gęstymi krzewami i kępami ziela.

Na piasku koło przystani, odwrócona dnem do góry, leżała wielka łódź trzech braci. Użyto na jej budowę najlepszego dębu; szpary uszczelniono starannie mchem.

Kuba odwrócił łódź na bok i pilnie oglądał, czy nie naprawić w niej czegoś przed drogą. Bracia jednakże już wcześniej opatrzyli klepki i wręgi \* swej szkuty \*, Kubie pozostało więc tylko zepchnąć ją na wodę.

Chłopak zdjął skórznie, zakasał nogawice, ustawił łódź prosto, potem zaś zręcznie zepchnął ją na rzekę i tęgim sznurem przywiązał do palika wbitego w dno, tuż koło przystani.

— Piękną masz łódź, junoszku, i siłę rzadką! — posłyszał nagle za sobą głos.

Odwrócił się szybko i oto ujrzał przed sobą męża w kosztownym odzieniu z czarnego aksamitu, uszytym cudzoziemską modą. Kapelus z piórem bażancim i złoty łańcuch na szyi dopełniały tego pięknego stroju.

Brodę ów mąż miał trefioną w zgrabne kędziory, a krucze włosy jego aż lśniły od pachnącego olejku. Przy pasie z frędzlami miał skórzaną kieskę.

„Jakiś możny człek...” — pomyślał Kuba i gębę okraślił szerokim uśmiechem. Zdziwił się tylko ujrawszy, że przy tak ochędźnym i strojnym ubraniu nieznanemu mężowi zarzucony miał na plecy zwyczajny worek parciany, w którym coś chował. Wór taki przecież słudze nosić przystoi, nie panu! Możni wszelako miewają czasem dziwne zwyczaje — o tym było wiadomo Kubie.

— Łódź nieostatnia! — odrzekł, gdy nieznamy ciekawie statek oglądał.

— A dokąd jedziecie? — głos męża brzmiał bardzo miło.

— Do Brzega, panie. Beczki z miodem odwieziem komesowi.

— Ach, tak! To ładnie! Może więc i ode mnie przyjmiesz ładunek? — to rzekłszy ułożył worek na deskach przystani.

— Hee?... Zabrać worek? Och! Kiej bracia nie radzi. Nie pozwalają mi nic do przewożenia zabrać bez ich wiedzy. Czekajcie, panie, aż przyjdą!

— Junoszku! — głos męża w czarnym odzieniu brzmiał jeszcze milej. — Czekać nie mogę! Spieszno mi wracać do miasta. Tyś przecie pachół dorosły! Swoją wolę przeto mieć możesz. Po co tak gadać o wszystkim braciom? My przecie chłopcy, nie stare baby klachule. Bierz worek i nic nie gadaj.

Kuba jednakże się wahał. Układny mąż kieskę wówczas odwiązał od pasa, uniósł i brzęknął pieniędzmi tuż koło uszu pachółka.

— A jeśli tak? Czyli tobie nie luba zapłata? — tu chytrze oczy przymrużył. Brzęknął raz jeszcze. Pachół się stropił. — Weźmiesz?

Kuba przypomniał sobie wtedy o piwie i o kamratkach wesółych w karczmie.

Wspomniał i to, że właśnie przez braci piwa dziś nie kosztował i nie używał hulania. Dać mu kazali dla pogorzalców ostatni grosz, tak jakby w mieście nie było bogatszych od Kubie. Głupie pachółki, co radzi wszystko z kieszeni dla innych wysypać.

— No, jakże będzie? — w kiesce brzęknęło przyjemnie.

— Dajcie! Nic braciom nie rzekę. A kto wasz mieszek w Brzegu odbierze?

— Mój brat. Poznasz go po tym, że nosi takie samo odzienie jak ja i brodę trefi tymże sposobem. Kiedy mu dobrze usłużysz, da ci też kieskę, i taką samą jak moja!

Kuba wziął worek nieznanego i złożył go w tyle łodzi, pod ławką u steru, a jeszcze swoją kapotę po wierzchu przykrył. Niosąc wór zauważył, że w nim schowano jakiś twardy i ciężki przedmiot, dla niepoznaki grubo owinięty płachtami. A nieznamy tymczasem rzucił kieskę z pieniędzmi za Kubą do łodzi i spiesźnie odszedł.

Kuba skrył pieniądze w zanadrzu, usiadł przy sterze i czekał na braci, wspierając się mocno piętami o worek schowany pod ławką. Nie dbał o to, co wziął na łódź do przewiezienia. Kieska mu za pazuchą przyjemnie ciążyła. Pachół w myślach obiecywał już sobie misę

kapusty z wieprzową pieczenią, trzy dzbany piwa i tańce przy dudach do rana. Wśród takich myśli zapomniał nawet o chlebie, który miał zabrać z chaty na drogę.

Odra pluskała falami, szumiały trzciny na wietrze. Dokoła cisza i tylko głos synogarlic słychać było z zarośli. Kuba wpatrzył się w wodę. Bławo mieniła się w słońcu. I oto nagle wydało mu się, że spod wody poзира na niego dwoje oczu wyblakłych, a tak przenikliwych, że aż mrowie mu przeszło po skórze.

— Co to? — Kuba pochwycił wiosło i końcem jego uderzył po wodzie. Bryzgi plusnęły dokoła, zakołysała się łódź i ciemna ręka o palcach czepliwych, a spiętych błoną jak łapa kacza chwyciła wiosło.

Wrzasnął pachotek i szarpnął. Ręka zniknęła, zakotłowało się coś, zapluskało tuż koło burty, na wodzie zaznaczyły się kręgi.

— Tfu... — splunął pachot. — Coś mi się jawi w tej rzece, a przecież dzisiaj dzbana nie widział na oczy...

Cisza od nowa zaległa na rzece.

Przybyli bracia, a z nimi czeladź karczmarza. Trzy większe beczki z miodem i nieco mniejszych antałów załadowano na łódź. Piotr z Pawłem siedli do wiosel i z biegiem Odry ruszyli. Kuba pozostał u steru.

Niebo wciąż było pogodne, lecz z osobliwej jakiejś przyczyny prosto w oczy wiosłarzem wiał ostry wiatr i prószył im w twarze mokrymi mgłami. Łódź przy tym kołysała się dziwnie, choć na powierzchni rzeki nie było fali, skręcała wciąż, jakby niosły ją wiry, a przecież w owym miejscu na Odrze nie było wirów.

— Żwawiej, mój bracie — przynagłał Piotr Pawła. — Wolno dzisiaj płyniemy!

— Ciężka ta łódź osobliwie, choć już my większe wozili ładunki!

— Zważaj na ster, Kuba! Skręcaj! — krzyczeli obydwaj na chłopca.

Ster, jakby na przekór, w inną niż trzeba stronę kierował łódź. Takiej podróży dotychczas nie znali. Nigdy się nie zdarzyło im jeszcze płynąć z prądem i po znajomej rzece, a sił ostatka dobywać.

— Dziwy to jakieś! Chyba, że czary ktoś rzucił na nasze wiosła — trwożliwie rzekł najstarszy z braci.

Tak przejechano za wyspę Pasiekę i za Bolkowy Ostrów zarosły puszcza. Po obu stronach rzeki bezludzie było zupełne, tylko dęby i buki kiwały do braci gałęziami na przywitanie, tylko nawoływały się czajki.

Odra stała się głębsza i szersza niż pod Opolem, a wciąż na złość czyniła przewoźnikom. Prądy nagnały na łódź bierwiono, o które Piotr złamał wiosło. Łódź jakby nasiąkała wodą i wiosłować było coraz ciężiej. Tył jej wyraźnie przeważał i zbyt głęboko pograżał się w rzece,

— Pawle! Te beczki czynią przewagę! — rzekł Piotr. — Przesuńmy je bliżej do środka. W tyle niech ino jedna najmniejsza zostanie! — i zręcznie beczki na środek łodzi zepchnięto.

Płynęli dalej trudząc się ciężko przy wiosłach, a drogi im wciąż przybywało.

— Dziwy i czary to jakieś! — Piotr znakiem krzyża się żegnał, a Paweł spluwał przez ramię.

Łódź jakby złe opętało: woda kłębiła się pod nią, a rufa dalej głęboko nurzała się w wodzie.

— Bracia! Żle z nami! Jeszcze silniej przeważa do tyłu. Och, łódź pograża się... Kuba! Pomóż! Przesuniemy jeszcze dalej beczki do przodu...

I znowu je przesunięto. Rzeka jednakże wciągała w swą głębię rufę, przy której siedział Kuba. Woda wciąż wyżej i wyżej podchodziła do skraj burty.

— Toniemy! Bracia! Toniemy! — zakrzyknął Piotr, a lice jego bielsze się stało od rękawów koszuli.

— Kuba! Usiądź pośrodku! Przesuń i tę najmniejszą beczkę za sobą. Śpiesz się!

Kuba, choć równie jak bracia przelekły, jakoś nie ruszał się z miejsca.

— Pchnij ku mnie beczkę ostatnią! — zawołał Paweł. — Przechodź na środek, a śpiesz się!

Piotr chwycił Kubę za ramię i ściągnął z ławki u steru. Pachoł pobladły i chmurny wziął się do wiosła. Łódź jednak dalej, jakby wciągana od dołu w toń rzeki, wciąż głębiej się pogrążyła. Przez rufę jeden i drugi raz na dno chlupnęła woda.

— Piotrze! — rzekł Paweł. — Patrz! Nie same beczki wieziemy. Tu jest worek! Nie nasz! Skąd się on wziął?

Kuba opuścił głowę.

— Co to za worek? — zapytał Paweł.

— Nie wiem.

— Od kogo wzięłeś, Kuba, ten worek?

— Nie brałem... Nie wiem, kto go tu położył... Nie mój... Teraz go widzę dopiero.

Ledwie wyrzekł te słowa, łódź zakołysała się gwałtownie i Kuba poczuł, że ktoś go chwycił z boku za kamizelę i z całej siły ciągnie za burtę łodzi. Spojrzał na falę i wrzasnął ze strachu. Zobaczył rękę, oplataną wodorostami, która wystawała z wody. Była ciemna, brunatna prawie, o palcach spiętych błoną. Wczepiła się w jego odzienie i próbowała go wciągnąć do rzeki. A z modrej wody, spomiędzy białych grzybieni, wyjrzała ku niemu groźna twarz, z oczami o rzęsach zielonych, okolona zarostem z wodnych traw.

— Ratujcie! — krzyknął pachoł. Chciał zerwać się z miejsca, ręka jednakże go nie puszczała. Łódź znów zakołysała się mocno i zatrzeszczała, jakby dnem uderzając o kamień.

— Utopiec! — wołał Kuba w ostatnim lęku. — Utopiec... Chce porwać mię do rzeki za to, że skłamałem... że nie słuchał, oszukał. Ratujcie!... Ratujcie!... Worek ten dał mi człek nieznamy... Nie wiem, co w nim schowano... Musi być, że co złego... Żle uczyniłem! Ratujcie!

Zapłakał Kuba pełen żalu. W tej chwili poczuł, że nikt go już za odzież nie ciągnie. Spojrzał na wodę — nic nie ma! Znikła gdzieś w głębinie ciemna ręka, skryła się okolona wodorostami twarz. Łódź jednak ciągle trzeszczała, chybotwała, kręciła się w miejscu, a rufa jej pozostawała dalej głęboko zanurzona w wodzie.

— Obaczym, co w tym worku... — rzekł Piotr.

Paweł spieszenie pochwycił worek i rozwiązał mocny sznur. Wydostał jakiś twardy przedmiot, owinięty grubo płachtami. Zerwał je... I oto trzem braciom ukazała się skrzynka rzeźbiona w drzewie lipowym, zdobna w przedziwny ornament. Było to „drzewo życia” — krzew rozrosły na dwie strony, a na nim mnóstwo listeczków i kwiecica.

— Przebóg! Co widzę? Toż to skarbonka! — zakrzyknął Paweł. — Przecie ta sama, do której i my dziś rano pieniądze wrzucili...

— Ów nieznamy człek to łotrzyk z sumienia wyzuty... — dodał Piotr i z wyrzutem popatrzył na Kubę.

Łódź drgnęła mocno raz jeszcze i już bez przechyłu płynęła równo po wygładzonej powierzchni wód. Kuba wyszarpnął z zanadza kieskę i rzucił na dno łodzi.

— Tom dostał za przewóz worka...

Piotr podniósł kieskę i wysypał z niej do swej czapki garść błyszczących monet.

— Twoje są, Kuba — rzekł — co z nimi zamysłasz uczynić?

— Toć będą także pieniądze kradzione — odpowiedział zawstydzony Kuba. — Ludziom je brał ów łotrzyk, niech tedy do ludzi wracają. A wy przebaczcie mi, proszę, że rano skąpił datku dla biednych, że nie słuchał, oszukał i wbrew zakazowi waszemu czyniłem — z tymi słowami Kuba wrzucił monety do skarbonki.

— A wiesz — odpowiedział na to Piotr — że nie wolno nigdy przewozić na łodzi rzeczy kradzionych? Nie wolno zapierać się, kłamać, jeśliś co przyjął na łódź. Za to karze ludzi Utopiec. Wciąga do rzeki, więzi u siebie w mule na dnie. Z dawna tak było i jeszcze ociec



nam prawil o tym...

— Bylby nam lódz potrzaskał rzeczny ksiąz i wszystkich trzech zawlókł do siebie w głąbinę.

Najmlodszy z braci twarz otarł rękawem, pociągnął nosem, bo w zawstydzieniu i żalu nie mógł powstrzymać łez.

— Wracajmyz co rychlej do miasta! — zawołał Paweł. — Przódiej oddamy skarbonkę w kościółku, potem do Brzega od nowa ruszymy.

Łódz zawróciła, a chociaż teraz trzech bracia płynęli pod prąd, szła po falach tak lekko, jakby ją niósł ktoś ku miastu. Drogi zaś ubywało tak szybko, jakby się rzeka w oczach kurczyła. Ani spostrzegli się bracia, kiedy minęli Ostrów Bolkowy i szumiącą lipami Pasiekę.

Oto i gród na Pasiece i prawobrzeżne miasto, niedawno zniszczone pożarem. Oto i wzgórze z dębami, na nim kościółek. A dookoła ciżba okrutna, wszyscy się tłoczą, jeden poprzez drugiego gadają a wrzeszczą:

— Szukać łotrzyka!

— Łup mu odebrać...

— Do wieży wtrącić paducha \*!

— Niechaj go wilcy zeżrą z kośćciami...

— Hej, woje! Chłopy! Mieszczany!

— Hej, kupcy! Ludzie przyjezdni! Radźcie, jak czynić, by złowić tego robierza \*!

W przedsionku kościoła płakały mądre niewiasty, że ich starania i sposób zdały się na nic. Przepadła skrzynka w lipowym drewnie rzezana, a z nią pieniądze zebrane dla biednych.

Nie opowiedzieć słowami ani opisać piórem, jakie wzburzenie i gniew ogarnęły w tym dniu i mieszkańców Opola, i tych wszystkich, co z towarami na targowisko przybyli.

Nim jednak kramarze przyjezdni swe budy i stragany zdążyli pozwijać, inna wieść lotem jaskółki obiegła miasto:

— Skrzynka odnaleziona!

— Trzej bracia przewoźnicy przynieśli już ją do kościoła!

— Piotr, Paweł, Kuba — dzielne pachotki !...

— Skrzynkę już zawieszono w przedsionku, na dawnym miejscu... Ludzie się tłoczą z datkami... Mądre niewiasty dziękują niebu!...

A bracia znowu siedli na lódz. Tym razem szczęśliwie i jeszcze przed wieczorem zawieźli beczki z miodem do Brzega. Odra różowa była i złota od blasków gasnącej zorzy. Życzliwe prądy chyżości niespotykanej przyczyniły ich łodzi.

Na przystani brzeskiej, choć ludzi tam się kręciło niemało — męża w czarnym odzieniu i z brodą trefioną nie zobaczyli. Nie dowiedzieli się także ni wtedy, ni potem, jak zwał się łotrzyk z Opola.

Tegoż lata kąpał się Kuba w zatoczce opodal chaty swych braci. Wikliny piękne rosły kępami nad wodą, tam gdzie piach był najbielszy. Popłynął Kuba do wiklin i legł na piasku. Poziera na gęstwę i oczom swoim nie wierzy. Oto w wiklinie dostrzega ciśnięty między gałęzie kaftan nieznajomego męża, zmoczony wodą i powalany mułem, tuż obok zaś pomięty jego kapelus z bażancim piórem.

Być może łotrzyk ów strój porzucił i przywdział inny, by go nie poznano w Opolu.

„Ale być może — i tak sobie Kuba z lękiem niemałym pomyślał — że niecnego złodzieja podczas kąpieli pochwycił Utopiec i wciągnął do rzeki, by więzić na dnie i uczynić z niego swego sługę”.

## CZERWONY ŻUPAN

W dawnych czasach mieszkał nad samą Odrą gospodarz mądry i dobry, który się pięknym rzemiosłem koszykarskim trudnił. Zwał się Jędrzych Kijonka.

Nikt w okolicy dorównać mu nie mógł w robocie, bo i szybko pracował, i starań przy swym zajęciu nie skąpił. Ze słomy przeplatanej łykiem wyrabiał dwuśnioki — kosze z dwoma uchwytnymi. Wyplatał okrągłe jagodniki dla dziewczuch i bab z najcieńszych, a mocnych przy tym prętów wiklinowych.

Woził na targi do Opolą zgrabne plecki \* z korzenia sosny, w których dobrze jest rzepę i kapustę znosić do piwnicy. Robił i konwie ogniowe, by się nimi ludzie ratowali podczas pożaru. Konew taka bowiem to wiadro, ale plecione z wikliny i oblepione smołą po wierzchu, żeby z niego woda nie wyciekała. Chętnie je brali ludzie i nie skąpili zapłaty.

Kijonka sporą garść srebra chował na dnie swojej skrzyni. Miał chatę, sad, nieco pola i bydła kilkoro. O kołacz i szperkę w jego komorze ani w mięsopust, ani w dzień zwyczajny nie było trudno.

Żyłby przeto koszykarz w spokoju i radości, gdyby nie utrapienie, którego mu przyczyniała ceruchna jego jedyna, Kasinka.

Dziewczyna urodna była, jak ta jabłonka w sadzie, kiedy się wiosną okryje kwieciami — leniwa jednak i próżna. Rano, miast kurom sypnąć pośladu i krowy doić, stanie, bywało, Kijoncanka u zwierciadła i kosę swą poczesuje, a spleta, mało że nie do południa.

Wstęgi przymierza, bursztyny, matczyne jeszcze oplecki \* i chusty dobywa ze skrzyń malowanych, a na siebie kładzie. Rada by się nawet w promienie słońca ustroić i w blaski zorzy, gdyby je dostać było można po kramach kupieckich.

A kozy tymczasem, Babula i Marcha, beczwały z głodu w obórce i gryzły miotłę, którą niedbała Kasinka zazwyczaj byle gdzie porzuciła. Pieski zaś, Bryś i Konteska, wylizywały w sieni naczynia, które niecnota Kachna pozostawiała tam nie umyte nawet po kilka dni.

Bywało nieraz, że sam gospodarz wyjeżdżał w pole lub szedł do swej szopy nad rzekę pleść koszyki, nie pośniadawszy i kęsem chleba, bo go ceruchna na czas nie upiekła. A czasu jej nie stawało: bardziej niż stroje bowiem i przeglądanie się w zwierciadle lubiła Kachna pieśniczki wesole i tańcowanie.

Gdzież, jeśli nie w gospodzie przy tańcu lepiej pokazać strój i zabłysnąć urodą?

Większej od Kijoncanki nie było paradnicy ani w Strzelcach, ani nawet w Opolu. Nie było i większej leniuchy. Sposobności do tańców nie brakło nigdy Kasince.

Zagroda ojцова stała przy samej drodze do miasta — a tuż, prawie naprzeciw okien Jędrzycha pobudowano karczmę murowaną z podcieniem i wielkimi drzwiami; przebiec do niej trzeba było po starym moście nad Odrą i minąć spróchniałą wierzbę.

Nie tylko w święta wyprawiał gospodski \* hulanie. Karczma stała przy ludnej drodze, a pełno w niej zawsze było gości. Przetoż i w dzień powszedni, jeśli za stołami zebrała się wesola kompania, posyłano do wsi po skrzypków i dudarzy.

Kasinka niechała podówczas i najpilniejszej gospodarskiej roboty, zawsze pierwsza stawała do tańcowania. Głos miała jakby skowronek i ochotnie do taneczka śpiewała.

*Koziyry \* bych tańcować,  
Koziyry mi grejcie,  
Czornech butki potargała,  
Czyrwione mi dejcie...*

Modrymi oczami wodziła przy tym po zebranych w gospodzie ludziach, drobną nóżką

w czerwonym trzewiku przytupywała i tańczyła jak łątka czy jaskółka wesola, tylko jej furgaly spódniczki i podskakiwały korale u szyi.

Zamierały serca w pachółkach od Kasinej urody, a nawet graf raciborski ujrawszy ją napuszył się choćby paw i wasa podkręcił.

Nie w głowie dziewczynie były krosienka, nie po myśli wrzeciono i maśnica.\* Pieśniczki, szatki barwiste i taniec — to ją cieszyło tylko, to radowało. W domu, jak tylko mogła, unikała dziewczyna roboty.

— Kachna! Podź rzepę obradlić... — nakazał jej kiedyś Jędrzych.

Kasinka niby to po chusteczkę i zapaskę zgrzebną do komory idzie, niby tam sobie chleb z serem na pole do płachetki zawija, a sama szybko korale wdziewa i pod kabotkę \* je kryje, a do płachty nie chleb z serem wcale, lecz swoje czerwone trzewiki i zapaśnicę \* haftowaną w róże ukradkiem pakuje.

Nasłuchuje Kijonka w swojej szopie przy wyplataniu koszy Kasinej pieśniczki z pola za chatą, a tu mu jej głos dolatuje z gospody za rzeką:

*Koziyry bych tańcowała,  
Koziyry mi grejcie,  
Czornech butki potargala,  
Czyrwione mi dejcie...*

Targał swe wąsiska biedny ojciec w wielkim utrapieniu. Raz i drugi brał się nawet do różeg. Kasinka wszakoż rychło zapominała o karze i miast statecznie u kądzieli zasiąść, stroiła się znowu i biegła na hulanie.

Mądre nauki ojcowe, sąsiadów upomnienia, przestrogi, że bez jej starań gospodarstwo zniszczeje, wszystko to szybciej niżeli spłoszone wróble od konopi — ulatywało z jej główki.

Umyślił przeto Jędrzych użyć na Kachnę sposobu. Kiedy zobaczył ze swej szopy, że do gospody zdążają ze wsi grajkowie, a gospodski z czeladzią beczki z piwem wytaczają z piwnicy, zawołał na całe podwórze:

— Cerucho, kanyś to jest?

— Tu jestem w chacie, mój tato, zacierki drobię... — odpowiedziała dziewczyna przez otwarte okno.

— Aaa... To dobrze czynisz, bom już dawno zacierek nie jadł... — rzekł na to Jędrzych i skrył się pod oknem w gęstym krzaku bzowym. Poprzez zieleń zajrzał do izby ukradkiem. Patrzy, a tu Kasinka nie cedzone mleko szybko do garncza zlewa i stawia do gotowania, zacierki zaś, miast w rękę drobić, sieka tasakiem w niezdarne kawalce.

„Oto ją mam! Kwapi się moja dziewczucha na hulanie!” — pomyślał Jędrzych i po cichutku zawarł drzwi od chaty, a okna pozamykał okiennicami.

— Teraz mi będziesz siedziała w domu, wietrznico... — zamruczał jeszcze pod wąsem, a że było do zmierzchu sporo czasu, powrócił do swej roboty około koszyków, rad, że tym razem Kasinka pozostanie w domu.

Zakurzył sobie fajeczkę, piwka co nieco upił ze dzbana, a potem wziął się do przycinania korzeni sosnowych na plecki dla strzeleckiego farorza\*.

Nim jednak wybrał co giętsze spośród wielkiego pęku korzeni i zaczął robotę, posłyszał od strony domostwa, że Bryś i Konteska niespokojnie ujadają, jazgoczą i wyją, tak jakby wilczysko z lasu wpadło do Jędrzychowej obory i zadusiło Babulę czy Marchę.

Wyszedł Kijonka na ścieżkę przed szopę i lęk go srogi ogarnął, poczuł wyraźnie dym. Pieski nie milkły ani na chwilę, a wtórowały im kawki, które gromadą całą porwały się z dachu i nad zagrodą z trwożliwym wrzaskiem krążyły.

— Gore! Panbóczku, ratuj nas! — krzyknął Jędrzych i pobiegł ku chacie, a wszystkie kosze, które ustawił jeden na drugim koło drzwi swej pracowni, pospadały, tracone w biegu

przez gospodarza, i potoczyły się za nim.

Przybiega Jędrzych ku swojej chacie i serce w nim stygnie ze zgrozy.

Oto ze strzechy snuje się dym szarosiny długimi smugami i unosi nad chatą. Kłębi się i przy okienku strychowym.

— Boże! Tu gore! A Kachna w domu! — jęknął gospodarz i jednym mocnym szarpnięciem otworzył dębowe drzwi.

— Kachna!

Milczenie, a tylko sine dymy łaskoczą w gardło.

— Kachna! — Jędrzych wpada do izby i pochwyciwszy tłuczek od stępy wybija nim pierwsze okno, że okiennice, jak odlepione spadają. Pojaśniało, wietrzyk powiał z podwórza i nieco rozproszył dym. Dziewczyny w izbie nie widać!

Gospodarz pobiegł na strych.

— Kasinka! Kachna! Kandyś jest, cero! — wołał trąc oczy pięściami, bo dym je łzawił.

Nie odpowiedział mu znowu nikt. Jędrzych biegał po strychu i szukał wszędzie płomieni, odsuwał sąsiek \* ze zbożem, rozrzucał na strony wszystko, co znalazł na swej drodze. To wołał Kasi, aż trząśnięcie domu, to dragiem rozrywał strzechę, mniemając, że chyba się pali ona po wierzchu.

W izbie tymczasem cichutko coś zaszurało i oto zza wielkiej skrzyni na odzież, malowanej w goździki i róże, wylazła Kachna, lecz wcale nie przestraszona.

Nie osmałiły jej szatek płomienie, a miała na sobie nie gospodarskie wcale suknie, lecz te, które zwykle na tańce wkładała.

Spódniczki piękne, fałdziste, które się zwą mazelonki \*, jedwabny fartuch mienisty, białą koszulkę z haftem u szyi i u rękawów, oplecek cały wyszyty, a na nogach czerwone trzewiczki. Nawet koraliki nie brakowało dziewczusze i wstęg u warkoczy.

Klasnęła w dłonie i zgrabna jak myszka wymknęła się Kijonczanka z izby, unosząc jeszcze w rękę jedwabną chusteczkę. Przez most na Odrze pobiegła wprost do gospody i roześmiana stanęła w tanecznym szeregu. A skrzypki i dudy zagrały właśnie trojaka...

Z okienka na strychu zobaczył Jędrzych między zielenią nadrzeczną tylko białe rękawy Kasinę i modre wstążki we włosach.

— Ach, ty chytrulo! Ty lizsko przebiegła! — zawołał Jędrzych za córką, lecz odpowiedział mu tylko jego pstry kogut, który właśnie wskoczył na przewróconą beczkę pośrodku podwórka i piał na odmianę pogody.

— Więc się chwyciła sposobu! Ale jakiego? — gadał sam do siebie Kijonka. — Jak to sprawiła, ta sroka, że pełno wszędzie dymu, a nikaj nie widać płomienia? Ach, te niewiasty! Bodaj to w domu syny! Bodaj pacholki...

Tymczasem dym zaczął niknąć powoli, na strychu uczyniło się widniej. I oto nagle oczom Jędrzycha ukazał się garniec gliniany, największy, jaki był w domu, zręcznie ukryty za górką cegieł, które gospodarz sam kiedyś przyniósł na strych, by przed zimą poprawić komin. Z garnka unosiły się jeszcze małe smużki dymu.

— A to niecnota! — zawołał gospodarz i jednym skokiem znalazł się przy naczyniu. — Węgla żarzących się dzioucha nakładła do garnca! Ziela nasuła jak do wędzenia kiełbasy! Patrzcie no, ludzie! Ledwo zwilżonych pakuł konopnych nakładła po wierzchu! Ach, co za lizska! Nie dziw, że dymisko się snuło na cały dom!

Ostrożnie wyciągnął garnek spomiędzy cegieł. Węgla już dogasały. Jędrzych przyduśił je pakułami i zasypał jeszcze gliną, którą też przygotował zawczasu do oblepienia kominu. Przeszukał raz jeszcze strych i znalazł wszędzie dymiące garnki z węglem i pakułami zręcznie ukryte po kątach. Kijonka wygasił je wszystkie i starannie przewietrzył domostwo.

Na wieczerzę miał tego dnia wystygłe zacierki i piętę suchego chleba. W maśnicy już dawno nie robiła Kasinka masła! Srodze rozgniewał się ojciec na tę swawolę Kasinę i zaczął przemyśliwać nad skuteczniejszym sposobem, aby swą cerę zatrzymać w domu przy jakim

statecznym zajęciu i nie pozwolić jej na ciągle zabawy.

Zasięgał rady u swego kuma młynarza, mądrego człeka, pytał farorza ze Strzelec, kiedy mu plecki odwoził, radził się i u rectora \* w szkole.

Każdy z nich jednak tylko głową kiwał ze smutkiem nad dołą ojca i nie znajdował rady na tak przebiegłą i leniwą dziewczynę.

Wracając z targu napotkał Jędrzych razu pewnego owczarza, który po okolicy całej słynął z mądrości. Umiał ziołami leczyć choroby, zamawiać wrzody, a jeśli zechciał, to i burzę dzwonieniem odpędzić potrafił aż za Opole.

Owczarz gnał z targu dwie cienkorunne owieczki.

— Patrz na nie — rzekł do Jędrzycha, kiedy mu ten opowiedział o swoim z Kasinką zmartwieniu. — Piękne są, prawda? Bo runo je stroi! Kiedy je ostrzyc, szpetnieją, ale ich zdrowiu przecież to nie szkodzi. Tak i z dziewczuchą. Póki ma swoje włosy złociste, póki je splata i krasie wstęgami, póty urody. Gładkość swą ludziom okazać rada, przeto do tańcowania jej pilno. Utnij Kasince kosy króciuchno, to bez warkoczy nijak jej będzie do karczmy na hulanie chodzić. Ostanie w domu i chwyci się domowej roboty.

Żałość ścisnęła Jędrzychowi serce, kiedy o tym sposobie postłyszał. Uciąć warkocze dziewczusze? Oj, bardzo to wielka dla niej ostuda \*! Ale i utrapienie z taką dziewczyną nie mniejsze — czas żniwny przy tym się zbliżał! Rąk do sierpa było potrzeba!

Posłuchał Jędrzych rady owczarza.

Nocą, kiedy dziewczyna strudzona tańcem spała w komorze, wziął wielkie nożyce do strzyżenia owieczek i cichutko podszedłszy do wezgłowia Kasinki, obciął jej włosy tak krótko, jak się to czyni zazwyczaj małym chłopiętom.

„Prawdę powiedział owczarz — myślał gospodarz — kiedy nie będzie miała swej kosy, popłacze, polamentuje dziewczucha, ale już w domu zostanie na pewno. Bo i gdzie ostrzyżonej tańcować ?”

Kasinka długo sypiała i nie troszczyła się wcale o dwie krasule w oborze, Babulę i Marchę. Długo ją ojciec zazwyczaj budził.

Owego dnia wszakże wcześniej się Kasia zbudziła, bo hafty miała dokończyć na nowej koszulce i ponawlekać na mocniejszą nić rozsypane korale.

Ledwie oczy przetarła, już sięgnęła po zwierciadełko, które leżało zawsze na stołku koło jej łoża. Spojrzała i upuściła zwierciadło, że się na drobne kęsy rozbiło.

— Rety! Gdzie moje włosy! Gdzie warkocze! — krzyknęła i gorzkimi załała się łzami. Na głowie oto dostrzegła tylko króciutkie kosmyki.

Nie opowiedzieć słowami ani też piórem opisać wyrzekań, lamentów i płaczów, które przez cały dzień słychać było w Jędrzychowym domu.

Gospodarza dnia tego nie było w zagrodzie. O samym świcie zabrał krasule, Babulę i Marchę, i popędził na łąki do swego kuma młynarza, którego dzieciom aż do wieczora paść je przykazał. Potem zastawił wężyc na leszcze w zatoce, wziął wędki i popłynął czółnem ku kępie trzciny tuż koło mostu, gdzie się okonie wielkie i tłuste trzymały. Wjechawszy w trzcinę spokojnie łowił ryby aż do wieczora, a brały przednio.

Ledwie słońeczko za puszcę schodzić poczęło, ledwie nad rzeką mgły pozłociło, a lilie na wodzie ubarwiło różową poświatą, w karczmie za mostem zaczęto gęźbę, pieśniczki... Rżały tam konie i czeladź pokrzykiwała na drodze. Znak, że na nocleg nie biedni wcale zjechali podróżni, którym do smaku wieczera suta i słodkie wino, a nade wszystko miła zabawa.

„Hoo! — myślał Jędrzych zarzucając daleko swą leszczynową wędę. — Już sobie dzisiaj bez Kachny tańcować będziecie... Zostanie w domu, łasiczka! Chleba napieczcie, uprzedzie kądziel...”

W tej chwili jednak na moście dały się słyszeć czyjeś drobne i spieszne kroki. Spojrzał gospodarz, krzyknął w zdumieniu, porwał się z miejsca i mało z czółna nie wypadł do wody.

Na moście bowiem dojrzał Kasinkę, strojną jak nigdy i jeszcze piękniejszą, niż co dnia. Jej białą kabotkę, z krezą u szyi i z falbanami u rękawów, całą okrywał przejrzysty haft. Na zapaśnicy z brokatu, którą miała po starce jeszcze, czerwieniły się róże i modrzały powoje w bukietach. Spódniczki cztery: te, co od spodu, wszystkie na sztywno wykrochmalone i ozdobione ząbkami. Trzewiczki zgrabne, mnóstwo koraliki. A spod gerlandy suto przetkanej galonem \*, spod pęku wstęg norymberskich, który ją z tyłu zdobił — zwieszały się Kasi na plecy wspaniałe kosy z lnianej kądzieli i prawie do kolan sięgały. Trzymała je mocno na zgrabnej główce gerlanda, dziewczyny śląskiej piękna ozdoba.

— O wielki Boże! — zawołał Jędrzych. — Już i kądzielą sobie poradziła, niecnota! Znowu tańcować bieży!... Bodaj więc tobie, cero, sam Utopiec był tanecznikiem!

Ledwie to rzekł, zaszumiało coś w trzcinach i mocno plusnęła woda. Zabułgotało coś w falach Odry, spieniły się one i skręciły w ogromny wir tuż pod mostem. Plusnęło znowu...

„To chyba sum... Trza by sieci” — pomyślał Jędrzych i zawrócił czółno ku przeciwnemu brzegowi, gdzie zielenił się jego sad i ściany chaty białeły pomiędzy drzewami.

Noc była jasna, pogodna. Miesiąc stał w pełni i szczodrym blaskiem osrebrał wierzbę spróchniałą przy moście. Na wierzbie przytuliła się sówka. Usiadła na pokręconej gałęzi i ni śmiejąc się, ni jęcząc wołała:

— Uhuu... Uhuu...

Oczy jej krągłe i żółte jak dwie pągvice \* ze złota jarzyły się w mroku, pośród listowia. Pachniały kępy mydlnicy rozkwitłej tuż ponad wodą i macierzanka przy drodze.

Przed samą północą wracała Kasia do domu, a wciąż jeszcze nie dosyć jej było wesołych pieśniczek i zabawy:

*Koziyry bych tańcowała,  
Koziyry mi grejcie,  
Czornech butki potargala,  
Czyrwione mi dejcie...*

— nuciła dźwięcznym głosem, aż żółtooka sówka porwała się spłoszona z wierzby i odleciała daleko w las.

Rada sobie dziewczyna szła ku domowi tanecznym krokiem: to ujmowała się pod boki i przytupywała nóżką w czerwonym trzewiku, to kłaniała się miesiącowi na niebie i gwiazdom, które mrugały na nią z wysoka.

Ukloniła się też i spróchniałej wierzbie ujawszy się za suknię końcami palców, jak to czynią panie, a wtedy posłyszała tuż z bliska głos, nucący jej w odpowiedzi dalszą strofę pieśniczki:

*Rosną róże koło dworu,  
Rośnie macierzanka,  
Milsza mi jest ze wsi dzioucha,  
Niżeli szlachcionka...*

I oto spoza wierzbowego pnia wysunął się nagle na drogę strojny pan o wspaniałej postawie.

W jasnej poświacie miesiąca dostrzegła Kasinka jego czerwony żupan przepasany pasem tkanym złotem. Diamentowa agrafa u kołpaka z piórami błyszcząca mu nad czołem niby gwiazda. Skłonił się przed Kasią i rzekł:

— Tańczysz rada, dziewczeczko! Pójdźże i ze mną w taniec! — tu ruchem dłoni ukazał na most.

Kachna nie widziała nigdy jeszcze tak strojnego i wspaniałego szlachcica. Nawet graf ze Strzelec, którego zobaczyła raz na odpuszcie w Czarnowasach, nie nosił takiego czerwonego żupana, lecz tylko kusy fraczek. Skłoniła się więc Kasinka jak umiała najpiękniej i rękę szlachcicowi podała.

Pan ujął ją lekko za końce palców. W tejże chwili Kasia poczuła, że jego ręka jest mokra i chłodna. Kiedy zaś szlachcic poruszył ramieniem, wydało się dziewczynie, że z rękawa czerwonego żupana wycieka woda.

„Ej, widzi mi się tylko” — pomyślała i uśmiechnęła się bardzo rada swemu tanecznikowi. Odpowiedział jej także uśmiechem.

Szum trzciny na wietrze, granie świerszczy i pluskanie rzeki przemieniły się w muzykę tak wdzięczną i miłą dla ucha, że Kasinka nie wiedząc jakim sposobem, a bardzo zgrabnie, poruszała się po moście w tańcu dworskim, którego dotąd nie знаła. Kłaniała się zaś szlachcicowi w czerwonym żupanie tak, jak sama raciborska grefina lub inna można dziedziczka z okolicy.

Szlachcic cieszył się z tego i raz po raz wasa podkręcał. A miał wąż długi i ciemny, tyle że nadto do suchego badyła podobny czy wodnej trawy.

— Ej, widzi mi się tylko! — szepnęła sobie dziewczyna i poprawiała gerlandę na główce, by się urodniejszą wydać szlachcicowi.

Potem tańczyli wiejskie tańce, waloszka, obracanego, a kiedy tylko zaczęli skakanego, przytupywał szlachcic z ochotą, aż się cały most trząsał i dziwnie trzeszczał.

„Czemuż to mój tanecznik tak osobliwie tupie?” — pomyślała Kasia i schylając się w tańcu spojrzała na nogi szlachcica. Zobaczyła dziw niesłychany: tancerz jej bowiem na jednej nodze miał piękny but z żółtego safianu, na drugiej zaś zwykłe końskie kopyto.

„Dziwny to jakiś człek, ale możny, bo i skądże by miał taki piękny, czerwony żupan?” — rozważała Kasinka, a pan schylał przed nią głowę w sobolowym kołpaku jak przed jaką królową.

Kachna dojrzała wówczas i złoty kolczyk w jego uchu, ozdobę, jakiej młodzieniec żaden nie nosił w ich okolicy ani w samym Opolu.

„Cóż — pomyślała. — Takie to pańskie grymasy! Jeden perukę nosi na głowie, jak ten graf ze Strzelec, a drugi kolczyk w uchu jakby niewiasta”.

A szlachcic tymczasem tak poprowadził taniec, że przywiódł Kasinkę na sam brzeg mostu, tam gdzie w ostatnią burzę wiatr złamał poręcz.

— Proszę cię na wieczór do mego dworu, dziewczeczko! — rzekł miłym głosem i ujął Kasię pod ramię.

— Gdzie to jest waszmości dwór? — zapytała dziewczyna i drzenie po niej przebiegło, bo od szlachcica wiał lodowaty chłód.

— Tam jest mój dwór! — odpowiedział pan i wskazał ręką na rzeczną głębinę.

Kasia spoziera, a tu pod mostem tylko rzeka pluska i nieruchome stoją nad wodą kosańce. Tylko kumkają żaby w sitowiu.

— Boże mój! Toż to Utopiec! — krzyknęła Kasia i nieprzytomna z lęku rzuciła się do ucieczki.

— Stój! Stój! Stój, panienko! — szlachcic w czerwonym żupanie przytrzymał Kachnę ułapiwszy ją mocno za suknie.

— Będzie nam dobrze razem w mule, na dnie... Dziś jeszcze ciebie poślubię... Zostań!... — mówił, a jego ręce, o palcach ciemnych i spiętych błoną jak łapy kacze, silnie trzymały dziewczynę za szatki.

— Utopiec! Ludzie! Ratujcie! — krzyczała Kasia, ale jej głos zagłuszała słodka i wdzięczna muzyka, która płynęła wciąż od trzciny i z rzecznej głębiny.

— Ratunku! Tato! — Ostatkiem sił szarpnęła się wystraszona dziewczyna i wyrwała z rąk szlachcica w czerwonym żupanie. Biegła przez most w stronę domu. Utopiec gnał za nią

dudniąc po moście kopytem.

— Stój! Czekaj! — wołał Kasiny zalotnik i, wyciągnawszy rękę jak mógł najdalej, chwycił dziewczynę za kosy.

Szcześnie nie własne to były sploty Kasinki, lecz przyprawione z lnianej kądzieli. Zostały przeto w rękach Utopca razem z gerlandą i jedwabnymi wstęgami. Wrzasnął Utopiec i z całej siły uderzył kopytem w most. Lniane warkocze wraz z wieńcem rzucił w toń rzeki i plusnął za nim do wody jak ryba, a muzyki więcej słychać nie było, tak jakby się wszyscy grajkowie skryli pod wodą.

Kasia uciekła. Być może światło spłoszyło Utopca, bo właśnie z gospody na drogę wyszli gromadą pacholcy czeladni i pochodniami świecili zapóźnionym podróżnym, którzy zjechali na noc kolasą, a wozy ładowne ze sobą wiedli.

Bez tchu, bez pamięci dopadła Kasinka drzwi chaty. Płacząc i krzycząc wbiegła do izby, gdzie gospodarz naprawiał jeszcze sieci przy łuczywie.

— Tato! Utopiec mnie goni! Ratujcie! Skryjcie mię, tato!

Tu padłszy do nóg ojcowych opowiedziała o swym spotkaniu z możnym szlachcicem w czerwonym żupanie.

— Nie chcę za męża Utopca — kończyła opowieść swą z płaczem. — Chcę zostać w chacie, z wami, tatulku. Chodzić do żniw, koniczynę sieć dla mych kózek, piec chleby, masło ubijać. Oj, co ja zrobię! Ludzie gadają, że jeśli Utopcowi spodoba się jakaś dziewczyna, przychodzi po nią! Na jego rozkaz to nawet rzeka odmienia swoje koryto, zalewa chatę i ludzi bierze, którzy się woli Utopca przeciwia! Oj, dolaż moja, nieszczęsna dola! Oto mi kara za mą swawolę i próżnowanie!

— Cichaj, Kasinko! Nie płacz. Przecies u ojca i nikt w mojej chacie nic złego tobie nie uczyni! Otrzyj łzy, cero, i siądź bliżej ognia. Utopca trzeba stąd zaraz przegnać, bo jeśli raz się pokazał na moście, zawsze tu będzie straszyć ludzi!

— A jak to uczynicie, tatulku? — zapytała Kachna, z niepokojem spoglądając na drzwi.

— Zobaczysz, cero! Teraz se pościel na ławie bliżej komina, a śpij. Nie przyjdzie po ciebie Utopiec, nie bój się...

Kasinka otarła oczy i rozesała sobie kozuch na ławie. Pod głowę wsunęła poduszeczkę, pod którą ukryła wianek ziela, zbieranego w noc świętojańską, na odegnanie złej przygody.

Raz i drugi spojrzęła na ojca, który wybierał z brzozonej krótki wielkie igły i mocne nici lniane.

— Co czynić chcecie, tato? — zapytała cicho, ale nie posłyszała odpowiedzi, ogarnął ją bowiem mocny sen.

Jędrzych tymczasem poszedł do komory i zebrał po skrzyniach starą odzież Kachny. Była tam spódnica-mazelonka z przyszytym do niej opleckiem, była kabotka i zapaśnica. Gospodarz zaszył mocno kabotkę u rękawów i szyi, a potem wypełnił ją słomą i klockami z drewna.

*Do Utopca-pachola  
Pójdzie dzioucha wesola...*

— mówił półgłosem, ucinając kozikiem nić. Potem zeszył u dołu spódnice i starannie wypełnił ją sianem.

*Będzie z nim tańcowała  
i do stołu siadała...*

podśpiewywał i prostował starannie fałdy mazelonki:



*Wdziej oplecek, cerucho,  
Bo już ranek bliżuchno...*

i z tymi słowami włożył gorsecik na wypchaną sianem Kasiną kabotkę, a wszystko razem przepasał jeszcze fartuchem.

Na ławie przed nim leżała teraz pocieszna kukła, jakby Marzana, którą każdego roku, w niedzielę środopostną topi się w stawie lub rzece przy wesołych pieśniczkach i żartach, prastarym obyczajem wiejskim.

*Kasiu, Kasinko, wdziej wieniec,  
Abyś w nim poszła na taniec...*

Te słowa wyrzekł Jędrzych już za progiem, kiedy wyszedł po cichu z chaty, niosąc w ręku kukłę — Kasię.

Podśpiewywał sam do siebie i przemawiał do niej jak do prawdziwej dziewczyny. Nie oglądając się za siebie podążył gospodarz nad rzekę. Tam długo szukał w trzcinach gerlandy z przytwierdzonymi do niej kosami Z Inianej kądzieli, aż znalazł je w sitowiu zmoczone i powalane piaskiem. Ucieszony wziął wieniec, opłukał w wodzie i przywiązał go do bezgłowej kukły śpiewając przy tym jak dziewczyna do chłopca:

*Czyrwione różyczki, śliczne tulipany,  
A kanyś mi poszedł, mój Jasiu kochany...  
Gdzie byś mi nie poszedł,  
Odnajdę cię wszędzie,  
Czy w niebie, czy w wodzie  
Kasia twoja będzie...*

Ostatnie słowa tej pieśniczki powtórzył dwakroć Jędrzych, a coraz głośniej. Kiedy zaś dokończył śpiewania, ujął kukłę w pól i z rozmachem cisnął ją daleko w wodę.

Zaszumiała rzeka, zabulgotała, podniosły się na niej białogrzywe fale, a wiry, groźnie kłębiące się koło mostu, wciągnęły szmacianą Kasię na dno. Pod mostem coś łopotało i tłukło się w trzcinach niby wielka ryba.

Od tego zdarzenia nigdy już więcej nie pokazał się Kijonczance Utopiec i nigdy więcej nie słyszano o nim w tej okolicy. Kasinka odtąd pilna się stała w robocie, a na tańce rzadko chodziła i to zawsze w gromadce innych dziewczuch.

Przez długie lata jednak nie mogli nadziwić się ludzie, skąd się wzięło na moście tyle dziur, wybitych końskimi kopytami. Jedna zwłaszcza była wyraźna, a czerniała na samym brzegu mostu.

## **PRUSKA CHORAĞIEW**

W Zamłyńskiej Górcie darmo by szukać młyna. Od wieku przeszło ludzie z tej wioski wożą swe ziarno do zmielenia na lewy brzeg Osobłogi, czasem i dalej; a jeśli zapytać, dlaczego tak czynią, odpowiadają:

— U nas we wsi nie ma przecież młyna!

— Jakże to? — dziwią się wówczas przyjezdni. — Młyna nie macie? Z jakiej przyczy-

ny zatem wasza wieś zwie się Zamłyńską Górka?

— Bo kiedyś we wsi był młyn... — i tu następuje opowieść o Szymonie Kiosku, dawnym wójcie tej wsi i wielkim bogaczu.

Piękną pszenicę miał wójt na swych polach, trzydzieści uli w pasiece, krowy i owce, do tego dom murowany pośrodku wioski, a w domu i pierzyn, i sprzętów dostatek.

Tłusto jadł Szymon i dzbanów piwa nie liczył, kiedy w kompanii przyjaciół usiadł za stołem.

Każdej niedzieli bryczką w dwa konie jeździł do kościoła, choć i piechotą nie było daleko.

Poganiał siwki biczyskiem z czerwonym chwastem,\* a błoto spod kół jego bryczki przyskało daleko na strony.

— Szymon Kłosek to jeździ choćby jaki pan! — gadali ludzie ocierając twarze z błota i schodzili czym prędzej wójtowi z drogi.

Czas niespokojny był wtedy. Po długich wojnach, po latach zamieszek Zasiedli na Śląsku Prusacy. Szymon zaś dbał nade wszystko o swe dostatki, przeto, by się uchronić od strat i ubytku, zaczął się pruskiej władzy przychlebiać i nazbyt wielkie we wszystkim jej okazywać posłuszeństwo. Lepszego służki niż Kłosek nie miał król pruski na całym Śląsku.

Opowiadano, że razu pewnego przegnał wójt ze wsi kramarza, który przywiózł dla dzieci szkolnych ukryte w tobołku polskie książeczki od samego Krakowa. W domu zaś swoim, mało nie co dzień, gościł Szymon żandarmów w granatowych rajtrokach \* i kapeluszach trzyrożnych. Sadzał za stołem psubratów, częstował piwem i miodem, kiszkami z grochem i jajecznicą ich raczył. A szwandrowali \* przy stole, a śpiewali do samej północy, choć uszy zatkać pierzyną.

— Szymon zaprzaniec \*! — gadali ludzie. — Z byle szergą \* trzyma kompanię!...

Stronić wszyscy poczeli od Kłoska, domostwo jego omijać. Ani tam nawet dziewczyny nie zaglądały na szkubki \*, choć je wójtowa kluskami z serem i kawą nęciła.

Najwięcej troszczył się Szymon o pruską chorągiew. Nim jeszcze nastąpiło narodowe niemieckie święto, już ją pospiesznie wywieszał na gminnym budynku i jeszcze miał zielenią.

Aby chorągiew prosto wisała i z dala była widoczna, włożył Kłosek sam na drabinę, choć był już człkiem leciwym i znacznej tuszy, długo poprawiał płachtę z Fryderykowym orłem, a przy tym jeszcze głośno wychwalał pruskiego króla, ministrów jego, a nawet landrata \* z Krapkowic.

Nie opowiedzieć, jak to gniewało ludzi w Zamłyńskiej Górce: ten splunął słysząc wójtowe gadanie, ów grudką mierzwy cisnął w chorągiew. Byli i tacy, którzy mocnych szturchańców nie żalowali Kioskowi, kiedy sam jeden piechotą wracał wieczorem z Krapkowic, a od wesolej biesiady z landratem miał mocno w czubie.

W Zamłyńskiej Górce mieszkał podówczas Stanek Zowada, karlus \* do wszelakich żartów skory. Widząc jak wójt zaprzaniec pilnie wywiesza na gminie chorągiew, umyślił przebiegły pacholek spłatać mu figla.

— Oto — rozważał sobie siedząc na ławie przed chatą — schowam Kłoskowi pruską chorągiew i to przed samymi urodzinami króla. A schowam tak, że jej ten basior \* nie znajdzie i aby raz nie wywiesi w Zamłyńskiej Górce pruskiego znaku! Niech landrat za to wytarga Szymona za brodę jak capa! Potem, kiedy święto przeminie, podrzucę płachtę z Fryderykowym kukukiem \* do kancelarii. Cha! Cha! Cha!... — śmiał się Stanek ze swego pomysłu, aż wszystkie kozy sąsiadki jego, starej Misiorki, przestały skubać mlecz w rowie i jak zmówione zwróciły na chłopca swoje rogate łby.

Lato upalne było owego roku, żyto kłosiło się pięknie. Dzień cały ludzie krzatali się przy robocie około domu, w polu i w ogrodzie. Wójt jeden w swej kancelarii przesympiał zwykle południe ległszy na ławie i drzwi zamknąwszy na skobel. Nikt nie odważył się o takiej

porze przychodzić do niego ze sprawą, bo Szymon Kłosek, obudzony zniechęca, popadał w wielką srogość, marszczył się groźnie i pokrzykiwał na ludzi, choćby ten chlewnik na wieprze folwarczne. Nawet sam pisarz i młody pisarczyk bali się wójta i jak tylko posłyszeli, że zegar na kościele oznajmia południe, czym prędzej szli do karczemki na kufel piwa, byleby tylko ich zwierzchnik drzemał w zupełnym spokoju.

Pruska chorągiew, na pięknym drzewcu dębowym, jeśli jej Kłosek nie wywieszał, stała zwinięta starannie w kącie za szafą, w której chowano pieczęć, kałamarz, pióra i książki, a także wszelkie papiery potrzebne w gminnym urzędzie.

Stanek Zowada, jak wszyscy we wsi, znał obyczaje swojego wójta, wiedział też, kiedy on śpi, bo pisarz wraz z pisarczykiem, idąc ochłodzić się piwem, stawali zawsze przed furką sąsiadki jego, Misiorki, i radzi z nią rozprawiali. Nie dziw, bo Misiorka była kumą pisarza, a Misiorz dla pisarczyka wypadał swakiem \*. We wsi słynęła Misiorka z tego, że umiała wytłumaczyć znaczenie każdego snu według starego sennika, który znała na pamięć.

W przeddzień urodzin pruskiego króla, kiedy tylko w kościółku przedzwoniono południe, zobaczył Stanek ze swego okna, że u sąsiadki przed furką już się zaczęła pogwarka. Niewiasta weгнаła kozy do obórki, a siadłszy na ławie przed swoim domem rozprawiała z kumem tak żywo, że się jej trzęsły wykrochmalone szlarki \* u czepca. Nie inaczej było, tylko wyjaśniała pisarzowi jego ostatni sen.

„Wójt już się położył” — rzekł Stanek Zowada sam do siebie z uciechą i popatrzył na niebo. Słoneczko stało prosto nad wieżą kościoła i grzało mocniej niż zwykle.

Chłopiec wysunął się ostrożnie z chałupy i pobiegł do ogrodu. Najpierw zapadł w gęste konopie, stamtąd skoczył do maliniaka i przez dziurę w płocie, ukrytą w łopianach, dostał się do wójtowego sadu. Kryjąc się za jabłonią, niepostrzeżony przez nikogo, podkradł się chłopak aż pod okna samej kancelarii i przyczaił w wysokich piołunach.

Cicho było zupełnie w gminnej izbie i w korytarzu; przez uchylone okno słychać było tylko wójtowe chrapanie. Stanek wylazł z piołunów i lekko otworzył okno. Zadowolone muchy przestały bzykać na szybach i wyleciały z dusznej izby. Wójt westchnął głośno przez sen i jeszcze mocniej zachrapał.

Stanek Zowada, zwinny jak kot, wskoczył przez okno do izby tak cicho, że nie skrzypnęła nawet podłoga. Porwał chorągiew i zataiwszy dech, a nie spuszczając przy tym oczu ze śpiącego wójta cisnął Fryderykowe znamię w piołuny i wyskoczył sam.

Znowu przez sad i zarośla, przez łopiany i gęste pokrzywy, to przypadając do ziemi, to kryjąc się za drzewami — przebrał się chłopak aż za chruściany płót wójtowego sadu, za którym w cieniu wierzb płynęła z cichym pluskaniem Osobłoga.

U brzegów, opadających łagodnie ku przezroczystej wodzie, rosły gęste trzciny, a w nich przez cały dzień słychać było nawoływania błotnego ptactwa. Zwierząt i ptaków nie płoszył w tej okolicy nikt, bo nikt ze wsi nie chodził w tamtą stronę.

Lękano się zielonego zacisza, bo wieść stugębna głosiła, że tam koło starego mostu coś straszny. Kiedy dwaj kumowie Misiorki wracali raz z targu w Krapkowicach i dla rozweselenia się podśpiewywali nieco, ktoś odpowiedział im spod mostu dalszymi słowami pieśniczki, a kiedy zajrzeli do trzin, jakaś ręka chwyciła jednego z chłopów za poję jego kapoty i wciągnęła do wody, przy czym bulgotało coś w niej i pluskało tak dziwnie, że drugi z kumów uciekł w największym strachu do Zamłyńskiej Górki i trzy dni nie wychodził z domu.

Innym razem znowu, pisarczyk ze swoim stryjem jechali wozem przez łąki, bo we ćmie jakoś drogę zmylili. Pozierają, aż tu zza wierzby wychodzi karlus urodziwy, w kapocie z czerwonym kołnierzem i w kاپicy czerwonej na głowie. Prosił o podwiezienie i obaj podróżni z ochotą na wóz go przyjęli. Latarnię nową mieli z sobą, tyle że oleju do niej brakło. Karlus tak jakoś przy tej latarni uczynił, że się paliła i bez oleju, sam skrzesał ognia i przy jasnym świetle już potem jechali, przeto i kاپicę czerwoną było wyraźnie widać, i kołnierz nieznanomego.

Kiedy im droga w pobliżu owego mostu na Osobłodze wypadła, w rzece podniosło się niezwyczajne pluskanie i dziwnie głośno szeleściły trzciny. Złękli się chłopci i chcieli zawrócić, by się przebrać okrężną drogą do Zamłyńskiej Górki, karlus rozgniewał się wszelako i wyrwał lejce pisarczykowi. Konie poczęły chrapać ze strachu i strzyc uszami, jakby poczuły wilka. Stryj pisarczyka, chłop wielkiej krzepy, zepchnął podówczas nieznanego karlusa z wozu, zaciął koniska batem i na powrót ku miastu umykał, że ledwie nie połamiał kół. Karlus gwizdnął przeciągle i zerwał czapkę z głowy. Nim się obejrżeli, cisnął ją pod wóz i oto nagle przerażeni chłopci ujrzeli przed sobą głębokie stawy, których tam do tego czasu nie było nigdy. Tylko się ognik błędny im pokazywał to z lewej, to z prawej strony i mylił drogę, aż przepadł ze wschodem słońca.

Najgorzej wszelako działało się młynarzowi, którego młyn stał nad strumieniem, uchodzącym do Osobłogi.

Kiedy po okolicy rozeszła się wieść o tym, że koło mostu straszy, poczęli chłopci omijać młynarza, coraz puściej stawało się na jego dziedzińcu, a koło we młynie coraz częściej odpoczywało. Trapił się bardzo nieborak, że mu roboty nie staje, aż dnia jednego zbiegli od niego dwaj pachółkowie, których miał do pomocy. Opowiadali w Zamłyńskiej Górcie, że nocą ktoś im worki ze zbożem i mąką przewraca, że naraz woda zaczyna się podnosić w strumieniu, kiedy nie trzeba, to znów jej tak mało bywa, że nijak mleć i młyn staje. Sam jeden nie mógł pozostać młynarz w takim odludziu, zamknął więc wrota od swego podwórza i precz pojechał, by odtąd już w Krapkowicach mieszkać, pomiędzy ludźmi, i tak od owego czasu młyn stał opuszczony.

Ćwierkały tylko ptaki w gałęziach olchy przy moście. Mchy porosły na gontach, którymi był pokryty dach samotnej teraz budowli, jabłka rumiane, opadłe z drzew w młynarzowym sadzie, stawały się teraz pastwą ślimaków.

W skrzyniach na zboże piszczały myszki, a sowy całą rodziną osiadły na strychu młyna i co wieczora leciały na łowy aż do łąków Stankowej koniczyny, aby tam chwycić przepiórkę.

— We młynie straszy! Koło mostu i na łęgach jakieś lichy broi... — niosła się wieść coraz dalej i dalej po okolicy.

— Musi to być Utopiec, nikt inny... — z tajemniczą miną zapewniała sąsiadów Misiorka.

Stanek Zowada nie bał się jednakże Utopca. Kiedy przemykał się między olchami w stronę starego mostu, niosąc pruską chorągiew, to podśpiewywał sobie nawet żwawego trojaczka, \* tak cieszył go figiel, którego spletał wójtowi.

Most kołysał się i trzeszczał pod jego nogami, ale Stanek nie zważał na to i przytupywał do taktu śpiewanej pieśniczki tak mocno, że naraz jedna deska oderwała się od mostu i z głośnym pluśnięciem spadła do wody.

Pod mostem, gdzie głębia była największa, spoczywał na łożu z miękkich traw i zielonej rzęsy Utopiec, karlus nadobny w czerwonej kapicy.

Od czasu, kiedy stary młynarz opuścił swoją zagrodę i cisza zaległa we młynie, ów rzeczny władca rozgościł się na dobre pod mostem, a opustoszały młyn także chętnie nawiedzał w księżycowe noce.

Posłyszawszy pluśnięcie, zbudził się z głębokiego snu, wypłynął na powierzchnię wody i wyjrzał spomiędzy trzciny. Zobaczył wiejskiego chłopca i swoim zwyczajem umyślił go postraszyć. Zatrząśł więc z całej siły cisowym słupem, wkopanym w dno rzeki, na którym wspierał się most, ale Stanek, w swej ucieczce, wcale tego nie zauważył, i dalej podśpiewując wesoło, wpadł na młynarzowy dziedziniec.

Chwasty przeróżne sięgały tam chłopcu prawie po pas, a zielone jaszczurki wygrzewały się na kamiennym przedprożu młyna. Cała budowla pogrążona była jak gdyby we śnie, osnuta gęsto pajęczyną i porośnięta mchami.

Stanek rozejrzał się wokoło i nasłuchiwał. Było cicho. Tylko rzeka pluskała i szeleściły

na wietrze liście. Nigdzie ni śladu człowieka. Chłopiec ostrożnie uchylił drzwi wiodące do młyna i wszedł do mrocznej sieni. Panował tam nieład.

Na podłodze leżały zbutwiałe worki, pod ścianami stały wielkie skrzynie na zboże, rozpadające się teraz i pokryte kurzem. Pajęczyny zwieszały się od stropu i zasnuwały kąty. Z łopotem skrzydeł przeleciała tuż nad głową chłopca wystraszona sowa, gacki \* tłukły się wylękle pod powałą i sypały próchno Stankowi prosto w oczy. Chmura pyłu i stęchłej mąki, rozsypanej po podłodze, wzbiła się spod jego nóg. Chłopak otrząsnął się i kichnął kilka razy.

Upatrzawszy największą ze skrzyń w ciemnym kącie pod ścianą, wsunął za nią Fryde-rykową chorągiew, jak mógł najgłębiej.

— No — rzekł uradowany — dobre znalazłem schronienie! Już tutaj nikt nie będzie szukać chorągwi, a chyba gacki jedne kłaniać się będą pruskiemu orłowi.

Sowa znów przeleciała tuż nad głową Stanka, przerażony nietoperz zaplątał się w polach jego kapoty i szamotał się z głośnym piskiem. Chłopak strząsnął go, wybiegł na ganek i mocno zatrzasnął za sobą drzwi. Kilku skokami przebył dziedziniec i znalazł się znowu na moście. Zaskrzypiało przegniłe drewno, most zakolysał się, wstrząsnął, woda w rzece kłębić się poczęła i szumieć jak w czasie największej powodzi.

— Rety! — wrzasnął Stanek i szybciej niżli rączy jeleń skoczył między olchy. Sadził w największym pędzie przez łopiany, maliniak i grzędy konopi. — Rety! — szeptał do siebie — co by to mogło być? Chyba ten srogi bies, Utopiec!

Dopiero we własnej stodółce, na pachnącym sianie, poczuł się pacholek raźniej, a że zmęczony był okrutnie, zapadł szybko w mocny sen.

Nadeszła noc, a z nią pora dziwów wszelakich, o których się nawet nie marzy ludziom za dnia. Od pól, gdzie niedawno skoszono koniczynę, przyleciał ciepły, letni wiatr. Powitał mgły, które wstawały właśnie nad rzeką, pokłonił się staruszce-wierzbie i ucałował jej wnuczki-olchy. Potem uniósł się wyżej i popchnął mlecznobiały obłok prosto na srebrną tarczę księżycy, by nie świecił on zbyt jasno i nie przeszkadzał wodnym liliom stulać na noc śnieżnobiałych płatków.

Nawiedził również opuszczony młyn. Zaświstał, zachichotał w szparach dziurawego dachu, zastukał zwieszającą się na jednym zawiasie okiennicą i głosami tymi przywołał z rzeki Utopca.

Ze swego ukrycia pod mostem karłus przyglądał się i przysłuchiwał igraszkom wiatru, który był jego przyjacielem. Posłyszał wołanie. Wyszedł na łąkę nadbrzeżną i ruszył w stronę młyna, by jak każdej księżycowej nocy objąć go w swoje posiadanie. Z rękawów jego sukmany i z czerwonej kapicy ściekały na ziemię krople wody. Gdzie spadła taka kropla, tam bujniej porastała trawa i wyżej krzewiło się ziele.

Do wtóru szeleszczącym trzinom i szumowi gałęzi poruszanych wiatrem Zanucił Utopiec swoją ulubioną pieśń-zaklęcie:

*Z łoskotem, stukotem niech kręci się koło,  
A woda po kole niech splywa wesóło...  
Puchacze i sowy, i wy, nietoperze,  
Niech każdy ochoczo do pracy się bierze.  
Gdy mgła się rozsnuje, a północ wybije,  
Uśpiony dotychczas młyn znowu ożyje  
I chmury deszczowe mleć będzie z łoskotem,  
Po polach to mlewo rozrzuci się potem...*

Na dźwięk tej pieśni posłuszna swemu władcy woda w strumieniu podniosła się, zaszumiała i popłynęła wartką falą. Nieruchome za dnia młyńskie koło zaczęło się teraz obracać...

Utopiec przeszedł przez podwórze zarosłe chwastami i zatrzymał się przed zmurszałymi drzwiami młyna. Pchnął je obiema rękami, że wypadły z zawiasów, a księżycowa poświata strumieniem bladego srebra przeniknęła do mrocznego wnętrza budowli.

Utopiec zobaczył pod ścianami stare skrzynie na zboże i jak zazwyczaj począł zabawiać się nimi tocząc je, przewracając i rzucając o ziemię z hałasem tak wielkim, że słyhać go było aż na gościńcu wiodącym do Zamłyńskiej Górki.

Zapóźnieni przejezdni poganiali żwawiej konie, a kto mógł, ten zjeżdżał na polne drogi, byle tylko być dalej od opuszczonego młyna i starego mostu.

Utopiec tymczasem zabawiał się w najlepsze, a nietoperze i sowy trzepały skrzydłami stare worki, z czego powstała tak wielka chmura mącznego pyłu, że na chwilę zasłoniła księżyc. Gospodarując tak pośród worków i skrzyń znalazł rzeczny władca pruską chorągiew. Za dnia, kiedy wyzierał spod mostu na Stanka, nie mógł jej dojrzeć, bo niedobrze widział w słonecznym blasku.

Teraz chorągiew zaciekawiła go i zdumiała; trącił ją najpierw kopytem, które miał zamiast lewej stopy, potem podniósł, rozwinął i obejrzał dokładnie. Wszystkie sowy, które mieszkwały w młynie, zleciały się teraz do Utopca, usiadły na skrzyniach i utkwily w chorągwi nieruchome z ciekawości żółte oczy.

Atlas połyskiwał wspaniale w księżycowym blasku, a na nim pysznił się potężnym dziobem i ogromnymi szponami czarny pruski orzeł.

Po tym wizerunku królewskiego ptaka poznał Utopiec w znalezionej chorągwi tę, którą już wiele razy widywał ze swego ukrycia pod mostem, skąd lubił spoglądać na Zamłyńską Górkę. Chorągiew wywieszano zazwyczaj na największym budynku we wsi, z czego Utopiec wnosił, że musi ona być jakimś niezwykłym i ważnym przedmiotem.

— Ale skąd się tu wzięła? — zapytał najstarszej i najmądrzejszej sowy.

— Przyniósł ją tu ktoś z ludzi... i zostawił w podarunku dla ciebie... Uhuu... — odpowiedziało ptaszysko kręcąc poważnie głową.

— Tak! — ucieszył się rzeczny władca. — Był tu nawet chłopiec wiejski... To pewnie on przyniósł mi ten wspaniały dar!

— Uhuuu! Uhuu! — przytaknęły sowy, a najstarsza i najmądrzejsza z nich z powagą rzekła:

— Musisz teraz znaleźć odpowiednie miejsce dla tak niezwykłego przedmiotu... Uhuu!

— Właśnie! — zamyślił się Utopiec i zmarszczył zielone brwi. — Gdzie by to umieścić taką wspaniałą rzecz?

— Jeśli ludzie wywieszali ją na wielkim domu we wsi, to teraz wywieś ją na młynie! — doradziła stara sowa.

— Dobrze radzisz! — rzekł na to Utopiec i skłonił się przed mądrym ptakiem.

Zwinął starannie chorągiew i po trzeszczących schodkach przedostał się na strych, potem na dziurawy dach młyna. Zawiesił pruskie znamię na samym szczycie, tak że je dobrze było widać z drogi wiodącej do Zamłyńskiej Górki.

Tego wieczora Utopiec nie straszył ludzi. Tylko żołnierzowi pruskiemu, który szedł z Krapkowic do Zamłyńskiej Górki o późnej godzinie, strącił z głowy trójrożny kapelusz prosto do bagna, a podchmielonym muzykantom nasypał świecącego próchna za kołnierze; przestraszyli się grajkowie i uciekli każdy w inną stronę.

Figle te znudziły się szybko rzecznemu władcy. Kiedy przeto zobaczył w szuwarach porzuconą młynarzową łódź, wsiadł do niej i wypłynął na środek Osobłogi, by z daleka przypatrzeć się, jak wygląda w świetle księżycy chorągiew króla Fryderyka na opuszczonym młynie.

Księżyc jednakże schował się za chmurę i nikomu już tej nocy nie ukazał swego oblicza, bo wcale nie lubił patrzeć na pruskiego orła.

Już dobrze po południu obudził się wójt z drzemki, która owego dnia była niezwykle dla niego przyjemna. We śnie bowiem ukazał mu się nie tylko sam król pruski Fryderyk, lecz także i dwaj znani dobrze na Śląsku panowie z jego otoczenia: minister Karol Jerzy Hoym i generał kirasjerów, graf Mannstein z Opoła. Byli to okrutnicy i gnębiciele ludu śląskiego, ale Kłosek nie zważał na to i służbami swymi pragnął gorąco zaskarbić sobie ich przychyłość. Śniło mu się, że ucztuje z nimi przy stole!

Nie dziw przeto, że wójt zaprzaniec obudził się w najlepszym humorze. Przez otwarte okno kancelarii doleciało go beczenie koziego stadka. Wyrzwał na drogę. Ciotula i Łyska, ulubione kozy Misiorki, zawędrowały aż na podwórze gminy i wraz z kozłętami spokojnie pasły się koło ganku. Sama zaś starka \* stała za wrotami swej zagrody i żywo rozprawiała z pisarzem i pisarczykiem, którzy właśnie powracali z karczmy na dalszy ciąg urzędowania. Zapewne wyjaśniała im sny.

— Misiorko! — wrzasnął wójt. — Zabiorą mi stąd bestyje!

— Oj, rety! — wstrząsnęła rękami starka. — Ciotula! Łyska! Pooszy! — pokrzykując groźnie wbiegła Misiorka na podwórze i prętem wierzbowym zaczęła wypędzać kozy na drogę. Pisarz z pisarczykiem pomagali jej w tym wymachując czapkami i krzyżąc.

Kłosek stał w oknie. Wydał usta z powagą i gładził brodę zadowolony, że rozkaz jego spełniono tak ochoczo.

— Misiorko! — zawołał znowu, kiedy kozie stadko znalazło się za bramą. — A chodźcie ino do mnie!

Starka podreptała szybko do kancelarii, tuż za pisarzem i pisarczykiem. Kozami zajął się jej wnuczek, Cypryjanek.

— Powiedzą mi — zaczął wójt siadając za stołem — co by to mogło znaczyć... — i tu wiejski urzędnik opowiedział starce swój sen.

— Jak się panowie śnią — rzekła Misiorka po krótkim namyśle — to zawdy wypada na złodziei albo li na inszo ostuda...

Pisarz frasobliwie popatrzył na swego zwierznika.

— Co? Na złodziei! — wykrzyknął pruski służka. — Co powiadają?

— W senniku tak stoi... — tłumaczyła się Misiorka. — Bez to powiadam.

— To idą sobie... — machnął ręką wójt bardzo niezadowolony z takiego wyjaśnienia snu.

Kiedy gospodyni wyszła z kancelarii, Szymon Kłosek przywołał bliżej swych pomocników.

— Wiecie, że jutro jest wielkie święto — rzekł — urodziny samego miłościwie nam panującego króla. Wy, pisarzu, weźmiecie ze dwie dziouchy i gminę pięknie posprzątaście. Ja zawieszę chorągiew. Morcin! — Zwrócił się do pisarczyka — doładź mi ją zza szafy.

Chłopak rzucił się ochoczo ku wielkiej, zamkniętej szafie gminnej, sięgnął za nią ręką raz i drugi, potem zajrzał za szafę i zwrócił ku wójtowi pobladałą z przerażenia twarz.

— Kiej tam chorągwi nima... — wyjąkał.

— Co?! — wójt zajrzał teraz sam. — Do pioruna ognistego! A kajże by się straciła?

— Złodzieje... Robierze... — jąkał przerażony chłopak.

— Ja ci dam złodziei, oszkubku \* plaskaty \*! — grzmiał wójt. — Jakaś to pilnował?

— Przecie rano była...

— Była... Była, ty mamlasie \*, głupku zatracony! — huczał dalej rozszrożony wójt. — Idź mi jej szukać zaraz i nie przychodź bez chorągwi, bo cię biczyskiem pomacam! Idziem i my, pisarzu!

Najpierw we trzech przetrząsnęli budynek gminny, potem podwórze i szopę. Kiedy nic nie znaleźli, wójt zwołał zebranie wszystkich mieszkańców Zamłyńskiej Górki na placu przed gminą i wszystkim szukać chorągwi nakazał. Cypryjanek z Morcinem posłał nawet w tym celu na wieżycę kościelną i na chór, czym bardzo uraził farorza. Ludzie nie poszli dnia tego

na pola, nie wypędzono krów na pastwisko. Wszyscy szukali chorągwi nawet w rowach przydrożnych i na cmentarzu, pod łózkami i szafami, po chatach, przewracano skrzynie na odzież i przeglądano sąsiadki. Chorągwi nigdzie nie było!

— Przyjdą tu zaraz żandarmi z Krapkowic! — srożył się Kłosek. — Wszyscy do aresztu pójdziecie!

Chorągwi dalej nikt znaleźć nie mógł. Zaglądano do kurników, obór i chlewów, szukano w stogach zboża.

— Dwie garście srebrnych talarów temu, kto znajdzie chorągiew — obiecywał już teraz wójt. — Krowę z cielęciem dołożę, ino mi ją odnajdźcie.

Ale chorągwi nigdzie nie było.

Ludzie zaczęli powoli rozchodzić się po domach, zbliżał się wieczór.

O Stanku Zowadzie zapomniano dziwnym trafem w tym ogólnym zamęcie i choć ludzie szukali pilnie chorągwi w najdalszych zakątkach wsi, stodołę jego ominęli, bo stała na uboczu za gęsto zarosłym starym sadem.

Chłopiec przespał spokojnie całe popołudnie zakopawszy się głęboko w miękkie i pachnące siano. Zbudził go dopiero wieczorny chłodny wietrzyk, który owiewał mu wystające z siana boscie pięty.

Przeciągając się i głośno ziewając podniósł się Stanek i wyszedł ze stodoły. Zza płotu dojrzała go zaraz Misiorka, która sypała właśnie poślad kurom.

— Stanek, Stanek! — wołała. — Kajżeś to był?

— Nikaj, sąsiadko — odpowiedział niewinnie pachol — ino se pospał trochę w stodołę i teraz żem wylazł!

— Aha, syneczku, toś prawie w porę spał — rzekła baba i pomagając sobie mnóstwem różnych gestów opowiedziała młodemu sąsiadowi o tym, jak wszyscy we wsi szukali pruskiej chorągwi, która nagle i nie wiadomo gdzie zginęła.

Wójt płaczą teraz i w domu szturmują \*, że strach. Już nie wiedzą, kany jej szukać, tej chorągwi! — zakończyła Misiorka opowieść.

— A to niech poszukają u swojej kobyły pod ogonem — zadrwił Stanek i poszedł do chaty.

W ten sposób, w czasie narodowego święta niemieckiego, na gminie w Zamłyńskiej Górcie po raz pierwszy od wielu lat nie wisiała pruska chorągiew.

Ani opisać, ani opowiedzieć, jak rozpaczał w swym domu zaprzaniec wójt. Groził całej wiosce długoletnim więzieniem i różgami na krapkowickim rynku. To złorzeczył chłopom okrutnie, to wołał ich do swego domu i szcudrymi obietnicami starał się nakłonić, by od nowa zaczęli poszukiwania. Płakał nareszcie i szarpał ryże włosy na swej głowie, ale na nic się to wszystko zdało.

Chorągiew znikła bez śladu.

Wtedy wójt zamknął się w domu i pocieszał się przy stole tłustą pieczenią, kiełbasą z grochem, gorzałką i miodem, a przy każdym kuflu czy kieliszku, który podnosił do ust, ganił srodze chłopów z Zamłyńskiej Górki, a monarchę pruskiego i jego ministrów głośno wychwalał. Czynił tak aż do późnego wieczora; nad opróżnionym do połowy dzbanem piwa zmorzył go mocny sen.

Nazajutrz wypadła niedziela, a z nią razem urodziny króla Fryderyka. Choć słońce już stało wysoko, a w kościołku dawno przedzwonili na poranne nabożeństwo, Szymon Kłosek wciąż pozostawał przy stole i spał mocno, podparłszy pięścią czoło, zmożony nadmiarem trunku. Zbudzili go dopiero około południa pisarz z pisarczykiem, którzy bez czapek, drżący z przerażenia, wpadli do jego domu.

— Panie wójcie! — wołali. — Panie wójcie! A zbudźcie się, Szymonie!

Kłosek powstał z ławy i wyszedł im na spotkanie.

— Co się to dzieje? — zapytał niełaskawym głosem.



— Święci anieli! Święci patronowie, ratujcie nas... — bełkotał w przerażeniu największym pisarz.

— Gadajże prędko, nie bałamać — ofuknął go wójt.

— Ano słuchajcie... — wystękał pisarz, Z trudem łapiąc oddech — na drodze od Krapkowic widać karete w sześć koni... Wszystko siwki jabłkowite. Jedzie ku nam ta kareta, a za nią kirasyjery \*, też na siwych koniach...

— Do stu piorunów! — zakrzyknął przerażony wójt. — Przecież to nikto inszy, tylko sam pan generał, graf Mannstein, nawiedza Zamłyńską Górkę! A tu nie ma chorągwi! Co zrobić? Co zrobić?

Za późno było jednakże szukać rady. Wykarmione dobrze owsem i wypoczęte siwki niosły rącho pruskiego generała w stronę wsi. Chłopi wylegli na placyk przed gminą, ciekawi możnego pana, jego sług i zaprzęgu, a już najbardziej tego, co on powie, nie ujrzawszy chorągwi na przepisowym miejscu.

Słaniając się na nogach, blady i zupełnie złamany na duchu wyszedł na ganek gminy wójt zaprzaniec, a pisarz z pisarczykiem podtrzymywali go pod ramiona z obydwu stron w obawie, by nie omdlał ze srogiego lęku.

Gen. Mannstein zajechał tymczasem przed gminę i wysiadł z karety. Był to mąż okazałej tuszy w świetnym mundurze granatowym o czerwonych wyłogach z mnóstwem złotych haftów. Jego wąsy koloru piwa, zakręcone ku górze, groźnie sterczały po obu stronach dużego nosa. Płowe brwi, zesunięte w jedną kresę nad jasnoniebieskimi oczkami, i rumieńce na pulchnym licu wskazywały na silne wzburzenie.

— Nie widzę tutaj królewskiej chorągwi! — rzekł bardzo srogim głosem. — I to w same urodziny miłościwego pana! Gdzież jest chorągiew? — zwrócił się do Szymona Kłoska, który go witał z niskim ukłonem. — Dlaczego jej nie wywieszono?

Wójt zaprzaniec padł mu do nóg.

— Wielmożny panie generale — jęczał — przebaczcie mi, ale tu złodziej jakiś, robierz nikczemny, porwał nam wczoraj naszą chorągiew... Szukaliśmy jej, cała wieś szukała na darmo! Zlitujcie się, najwielmożniejszy panie grafie. Nie wiemy, przysięgam, nie wiemy, co się stało z chorągwią! Tyle wiemy, że znikła.

— Nie znikła, nie znikła! — zawołał generał. — Kłamiesz, nędzniku! Nie znikła. Chorągiew wisi na starym młynie. Widać ją z drogi, łotrze! Czy wiesz, że cię czeka chłosta na rynku za takie nieposzanowanie godła pruskiego królestwa?

Wójt zalał się łzami, a pisarz z pisarczykiem wtórowali mu w błaganiach o łaskę i w głośnych szlochach.

— Wszystko gotów jestem uczynić, byle tylko uzyskać przebaczenie mej ukochanej władzy... — bełkotał przez łzy Szymon Kłosek.

Na te słowa pruski generał uspokoił się i nieco łaskawszym tonem rzekł:

— Kiedy tak, to idź zaraz, wójcie, do młyna, zdejmij chorągiew i przynieś ją tutaj. Potem wywieszisz ją, jak należy, i przystroisz zielenią, ty głupi, śląski koźle!

Dalsze słowa generała utonęły w głośnych podziękowaniach wójta, pisarza i pisarczyka. A wtedy z tłumu wysunął się karczmarz i prosił grafa Mannsteina, by raczył spocząć w jego sadzie i skosztować owoców, nim sarni comber dopiecze się na obiad, a w źródlanej wodzie ochłodzi się dobrze burgundzkie wino.

Gen. przyjął zaproszenie i z wielką powagą udał się do sadu. Karczmarz zaś nakazał sługom podać żołnierzom po dobrej szklanicy gorzałki, na koszt wójta, z którym był w pokrewieństwie.

Szymon Kłosek nacisnął mocno czapkę na głowę i pośpieszył do młyna najkrótszą drogą przez własny sad i olszynowe zarośla. Ze srogiego lęku przed pruskim generałem i lichem straszącym we młynie szedł Kłosek przygarbiony, z głową wtuloną w ramiona i stawiał

nieważnie nogi.

Utopiec, który odpoczywał w szuwarach po nocnej przejażdżce łodzią, dojrzał wójta z daleka i pomyślał sobie, że ma do czynienia z człowiekiem, który dopiero co opuścił gospodę. Ledwie też wójt wszedł na most, rzeczny władca zaczął z całej siły trząść zmurszałymi słupami, aż Kłosek wpadł do wody. Rzeka w owym miejscu posiadała dno muliste i bardzo grząskie brzegi, z największym też trudem wygramolił się po nich wójt na łąkę, a kiedy doszedł do starego młyna, wyglądem swoim przypominał zupełnie wodnego czarta Rokitę, tak oblepił go muł i oplątało zielsko. Ociekający wodą, zziębnięty, ostrożnie wszedł do ciemnej sieni młyna.

Utopiec podążał za nim krok w krok i kryjąc się za jego plecami świstał na piszczałce z długiej trzciny, a wiatr, przyjaciel rzecznego władcy, wtórował mu jękliwą pieśnią w gałęziach wierzby i olch:

*W wieczornej godzinie  
Zamieszkał we młynie,  
A jaskry, złocenie  
W pszenicę zamienię...*

Od tej pieśni, od świstów przedziwnych i przejmujących tonów trzcinowej fujarki, które dolatywały nie wiedzieć skąd, mrowie pełzało po plecach Szymona Kłoska. Czuł, że ktoś postępuje za nim, że mu gra i śpiewa niewidzialny tuż nad uszami, ale nie wiedział kto.

Ruszył więc gnany strachem po trzeszczących schodach na dach młyna, a wiatr wdarł się do sieni przez otwarte drzwi i rzucił na głowę przerażonego człowieka stare worki, z których sypała się mąka. Utopiec przestał grać i potrząsał schodami z całej siły, przewracał z hałasem skrzynie i w ciemności nie szczędził wójtowi szturchańców wymierzonych sękatą gałęzią, którą znalazł na dnie rzeki.

Strach unosił włosy na głowie Szymona Kłoska, zimny pot wystąpił na jego twarzy, ale wójt zaprzaniec ciągle pamiętał o gniewie pruskiego generała i o tym, że na jego rozkaz ma przynieść z powrotem do wsi chorągiew z czarnym orłem. Przedostał się więc na strych, potem na dach młyna, aż wreszcie chwycił rękami za płachtę chorągwi i chciał ją zerwać z drzewca.

— Co! — zawył nad jego głową wiatr. — Chcesz odebrać podarunek? Ani się waż!...

— Ani się waż... — zaszeptał tuż nad uchem Kłoska Utopiec, otoczył się obłokiem mgły, która na jego skinienie podniosła się znad rzeki, i niewidoczny dla wójta, uchwycił jedwabną płachtę z drugiej strony. — Nie dam... Nie dam!... — powtarzał groźnie.

Obaj zaczęli ciągnąć chorągiew każdy do siebie, szamotali się coraz mocniej, aż nagle stary młyn zachwiał się, zatrząsł i z wolna zaczął pogrążyć się w strumieniu, który nagle zmienił swoje oblicze. Zamiast uchodzić do Osobłogi, jak dotychczas, i siłą wartkiego nurtu obracać młyńskie koło, stał się sam wielką rzeką pełną kłębiących się wirów i niedostępnych głębi, do której uchodziła Osobłoga.

Wójt nie dostrzegał tego jednak, zapamiętał próbując wyrwać pruską chorągiew z rąk niewidzialnego przeciwnika. Myślał tylko, by spełnić rozkaz generała i zasłużyć sobie na jego łaskę. Fale rzeki podnosiły się tymczasem coraz bardziej, pieniały się, szumiały i naraz chlusnęły na dach tonącego młyna.

Utopiec zachichotał głośno i znikł pośród fali niby wielka ryba. Młyn ze stojącym na dachu człowiekiem z łoskotem pogrążył się we wzburzonej wodzie. Potem wszystko znikło i powróciła cisza. Między olchami po dawnemu płynął strumień tocząc swe wody do Osobłogi, a w szuwarach nadbrzeżnych nawoływało się wodne ptactwo.

Generał Mannstein na próżno oczekiwał Szymona Kłoska aż do wieczora. Wójt zaprza-

niec do wsi nie wrócił. Prusak nie chciał odjechać z Zamłyńskiej Górki nie dowiedziawszy się przedtem, jaki los spotkał chorągiew jego króla. Kazał sobie podać konia i sam we własnej osobie, na czele żołnierzy, podążył nad rzekę ku opuszczonemu młynowi. Gromada ludzi ruszyła w ślad za nim.

Minęli pola z równo stojącymi kopkami zboża i skoszony łąn Stankowej koniczyny. Minęli olchy i weszli na łąkę nadbrzeżną. Na Osobłodze jednak nie dostrzegli ani śladu starego mostu — nie było także młyna nad szerokim strumieniem uchodzącym niegdyś do rzeki. Fale pluskały spokojnie, unosiły suche gałązki, żdźbła trawy i wyrzucały je na brzeg.

Generał Mannstein zsiadł z konia i stanął nad samą wodą. W zdumieniu spoglądał na jej wartki nurt.

— Aber wo ist die Mühle? Wo ist unsere preussische Fahne? \* — zwrócił się do swych kirasjerów.

Odpowiedziało mu pełne grozy milczenie.

— Gdzie jest młyn? — szeptali wystraszeni ludzie, ale pluskanie rzeki było jedyną odpowiedzią. Fala toczyła się spokojnie, mieniając się w słońcu jak srebrna łuska; z jakichś głębi dalekich przyniosła ze sobą i wyrzuciła na brzeg tuż koło nóg zdumionego generała połamane drzewce chorągwi, a po chwili i płachtę z pruskim orłem przedartą na pół, tak jakby czyjeś nieznanne ręce z całej siły szarpały ją w dwie przeciwne strony.

## JAK SIĘ UTOPIEC POKAZAŁ KUBIE U PIDŁA

Nad Żabią Strugą, blisko wsi Kokociniec, miała starka Skworzyna piękną łąkę tuż za młynem, u pidła. Siwa już była boraczka, \* zgarbiona od długich trudów około roli, lica jej ogorzałe od słońca porwały bruzdy głębokie, łzy, jakich wiele w swym życiu wypłakała, blask odebrały jej oczom,

W ubogiej chacie starki dorastał Kuba, wnuczek jedyny, krzepki jak młody dąbek, rumianolicy i jasnowłosy. Skworzyna widziała w nim całą nadzieję, miłowała chłopca gorąco i choć bieda niejedną raz zajrzała do jej chaty, to przecież Kubie nie brakło nigdy ani żuru i klusek, ani trzewików na zimę.

Trzynasty rok minął pacholikowi, już do ojcowych koszul dorastał, ale babula niewielką przy gospodarstwie miała z niego wyrękę, bo w całym Kokocińcu nie było nad Kubę większego leniucha i śpiocha.

Próżno go w szkole pan rektor surowo upominał, próżno stryjowie i stryjny ganili brzydkie lenistwo — Kuba rad bywał wieczery i obiadowi, niechętnym okiem wszelako spozierał na kosę i grabie. A już najgorzej poczynał sobie na łące: ilekroć siano roztrząsnąć wypadło lub ponarzucać je na ostrewki, \* chłopiec niewiele co poruszywszy grabiami kładł się pod buczkiem i spał do wieczora. Często i siano niepotrzebnie zamokło, bo Kuba nie kwapił się zwieźć je przed burzą do stodoły.

Starce tymczasem coraz trudniej było pracować na łące, bo już ósmego krzyżyka dobiegła, coraz też częściej musiała Skworzyna posyłać Kubę do siana...

Razu pewnego leniwy pacholik, zamiast pracować, ułożył się wygodnie do snu pod ulubionym swoim buczkiem na skraju łąki, a nowe grabie drewniane umieścił przy sobie. Było lipcowe południe, słońce mocno dogrzewało, a Żabia Struga płynęła wolno między brzegami zarosłymi wodnym zieleń i kołysała na swych falach białe grzybienie.

\* (niem.) — Ale gdzie jest młyn? Gdzie nasza pruska chorągiew?

Kuba leżał naprzeciw pidła, bo tak nazywano w okolicy zastawę pobudowaną w poprzek Żabiej Strugi. Pidło można było zamykać, a wtedy woda podnosząc się w strudze tworzyła jakby małe jezioro; kiedy zaś ową zastawę otwierano, woda silniejszym nurtem spływała ku młynowi i poruszała koło.

Buk szumiał cichutko na wietrze, świerszcze grały w trawie, chłopiec nasunął słomiany kapelusz na oczy i słodko spał. Zdało mu się przez sen, że ktoś chodzi po łące, ale myślał, że to dzieci wracają krótszą drogą z lasu do wsi i dalej spokojnie drzemał.

Kiedy się zbudził, słońce świeciło nisko nad borem, a kończąc swoją dzienną wędrówkę, purpurą i złotem barwiło niebiosa. Zerwał się chłopak na równe nogi, spojrzał dokoła siebie, lecz nigdzie nie zobaczył swych nowych grabi. Przebiegł po łące tu i tam, szukał pod krzakami i w nie skoszonej jeszcze trawie; grabi nigdzie nie było, a tylko oczom zmartwionego chłopca ukazała się nowa szkoda: ktoś połamał ostrewki, bo wbijał je cieńszym końcem do ziemi.

Strapiony Kuba zebrał je i poskładał pod bukiem; począł rozważać, gdzie by tu od sąsiadów pożyczyć całych ostrewek, kiedy przypomniał sobie, że Skworzyna kazała mu przynieść nieco rzęsy wodnej dla kacząt, których się jeszcze nie wypuszczało z zagrody. Sieć i puszkę na rzęsę chował Kuba zawsze w starej łodzi, która od lat już stała w szuwarach i do połowy ugrzęzła w mule. Pobiegł do łodzi, lecz ku zdziwieniu swemu nie znalazł w niej puszek ani sieci, ktoś zabrał je stamtąd ukradkiem — w zielsku przybrzeżnym natomiast porzucił jego grabie, brzydko umazane w błocie, z wylamanymi zębami.

— A to psawiara! — wykrzyknął zmartwiony Kuba. — Szkody naczynił nam tu, bezkurcyja. Widno ten, co chodził po łące, kiedym spał!

Na płacz się prawie Kubie zbierało, bo i nowych grabi załował, i bał się babuli. Nie wiedząc kiedy, przespał pacholik do zmierzchu, czas było wracać do Kokocińca, ale jak tu wracać, gdy połamane grabie. Kuba ociągał się, zwlekał, woda tak mile pluskała i po upalnym dniu tak nęciła świeżością, że chłopiec szybko zrzucił koszulę i połatane galotki, \* aby się w Żabiej Strudze wykapać. Ledwie wskoczył do wody, uczył, że coś go w nogę łaskocze; myślał, że to łydyga grzybienia i chwycił ręką. Była to jednak jego siatka do zbierania rzęsy dla kacząt, a pod korzeniem wierzby, która zwieszała gałęzie nad wodą, zobaczył puszkę pogiętą i pełną śmiecia.

„Jeszcze mu mało, temu barabie \*”... — pomyślał z żalem, prostując puszkę o kamień.

Zafrasowany poszedł Kuba do wsi niosąc na ramieniu ubłocone grabie.

Minął dzień jeden i drugi, babula z Kubą wyplewili proso i okopali ziemniaki przy domu. Na trzeci dzień, w tajemnicy przed starką Skworzyną, pożyczył Kuba ostrewki u pana rektora i wczesnym rankiem poszedł na łąkę, by ponakładać na nie siano.

Czas był upalny i niebo bez jednej chmurki, siano też pięknie wyschło. Ruszył się Kuba do roboty — wbił do ziemi cztery nowe ostrewki i już oglądał się za grabiami, które mu sąsiad naprawił, gdy naraz poczuł, że się ogromnie utrudził. Ziewnął, przeciągnął się, siano woniało przyjemnie. Robota niesporo szła w upalny dzień.

Kuba zjadł chleb, który przyniósł z sobą i począł narzucać siano na pierwszą ostrewkę. Gorąco było, że koszula przywarła mu do pleców, a kiedy pierwsza i druga kopka były już zgrabnie ułożone, pacholik postanowił nieco odpocząć, tym bardziej że i oczy same zamykały mu się do snu.

Niewiele myśląc, nagarnął pod buczek siana i uczyniwszy sobie z niego poślanie, z wielką uciechą legł i pogrążył się w drzemkę. Tym razem jednak grabi nie wypuszczał z ręki i spał niedługo, bo zbudziło go porykiwanie łaciatej Środuli, którą pędziła brzegiem rzeki córka pana rektora, Malwisia.

Nie spiesząc się wcale, wstał Kuba z miękkiego poślania, chwilę przeciągał się, ziewał i pięścią przecierał oczy. Kiedy orzeźwił zupełnie, spostrzegł znów szkodę: obydwie kopki były porozrzucane, ostrewki wyrwano z ziemi, a całe siano zmoczone było tak, jakby nad łąką

przeszła ulewa. Suche pozostało tylko to, na którym Kuba spoczywał.

Zmartwił się chłopiec i rozgniewał srodze na szkodnika, bo z mokrym sianem o wiele więcej bywało roboty, przy tym stryjowie jego lada dzień mogli przyjechać, bo nawiedzali często babulę, a wtedy pewnie by się nie obeszło bez niemiłej z nimi rozprawy. „Zmarnować paszę — to pierwsze zło w gospodarstwie” — o tym nieraz Kuba słyszał od mądrej starki i stryjów.

Nie było rady: całą robotę musiał pacholik zacząć od nowa. Przewrócił siano grabiami, potem je dobrze roztrzaskał i złożył w kopki. Umyślił jednak śledzić szkodnika.

Nad Żabią Strugą wyrastały bujnie łopiany i wysoki szczaw, ówdzie porzeczeki i dziki agrest. Kuba przy tań się w gęstych zaroślach i baczynym okiem pozierał na pidło, strugę i łąkę. Czas mijał wolno, a pacholik nic osobliwego nie dostrzegał. Znowu Malwisia pędziła Środulę, a starzyk \* Piotrasz wracał z miasteczka. Przebiegły dzieci z dzbankami jagód i pokuśtykał do Kokocińca kulawy żebrak. Nikomu z nich nawet przez myśl nie przeszło, żeby polewać wodą siano Skworzyny albo rozrzucać kopki.

„Pewnie ten marcha \* nie będzie z naszej wsi” — pomyślał Kuba i żeby rozprostować nieco nogi wyszedł z kryjówki. W zamyśleniu chodził po łące, przypatrywał się osom, które pobudowały sobie gniazdo na kształt szarej kuli w dzikich porzeczkach, i żółtoczarnej wildze, która przysiadła na buku. Słońce wciąż mocno grzało, zapragnął więc Kuba choć małą chwilę spocząć pod bukiem, zanim powróci do domu. I znowu zasnął mocno, słuchając szeptu bukowych liści, w Kokocińcu bowiem nie było ponad niego większego śpiocha.

Przeminął upał i chłód ożywczy wiać począł od Żabiej Strugi. Na ziemię rozgrzaną i suchą opadła rosa. Powoli mgielka podniosła się nad łąkami, na niebie zabłysły gwiazdy.

A Kuba ciągle spał...

Zbudziło go dopiero około północy hukanie puszczyka, który mieszkał w bukowej dziupli. Pacholik powstał z miękkiego siana i rozejrzał się po łące.

Nów księżycowy jaśniał nad borem i słał na ziemię seledynowosrebrną poświatę. Dokoła jasno było i cicho, nienaruszone stały kopki siana.

Kuba zamyślał już iść do domu, oglądał się tylko za swym słomianym kapeluszem, gdy nagle zaszumiało coś w wodzie i zatłukło u pidła, niby wielki szczupak albo sum. Chłopiec schował się za drzewo i zwrócił oczy w tamtą stronę. Serce zamarło w nim, zadrżał od dziwnego chłodu, którym powiało od Żabiej Strugi. Zobaczył dziwy, bo oto z wody wyszedł na brzeg karlus pięknej postawy. Sukmanę miał z czerwonym kołnierzem i czerwoną jak maki kapicę \* na głowie. Widać go było wyraźnie, bo miesiąc w nowiu opuścił się niżej i jaśniał coraz mocniejszym blaskiem nad głową karlusa.

Dziwny człek podążał wolno w stronę buka, za którym ukrywał się Kuba.

„Co teraz będzie? Co on uczyni ze mną?” — myślał przerażony chłopiec i tulił się do pnia.

Karlus nie dostrzegł Kuby, podniósł tylko grabie leżące pod drzewem i począł chodzić od kopki do kopki rozrzucając siano na wszystkie strony. Rój świetlików krążył dokoła niego, a wielkouchy stary nietoperz polatywał nad łąką wiodąc za sobą mniejsze. Gdy karlus zbliżył się do drzewa, by rozrzucić posłanie Kuby, chłopiec zauważył, że z rękawów sukmany cieknie mu woda i zrasza siano. Na ziemi też śladem karlusa sączyły się małe strumyki i moczyły pokosy.

Znad strugi wstawać poczęła mgła i zawisła nad łąką tak gęsto, że zasłoniła i dziwnego młodzieńca, i kopki siana, a nawet księżyc. W gałęziach buka odzywał się wciąż to przeraźliwym chichotem, to żalonym pohukiwaniem, puszczyk. Inne puszczyki odpowiadały mu z boru.

Pod Kubą ugięły się nogi z okrutnego lęku, chłopiec zachwiał się i bez czucia padł na ziemię. Przeleżał tak aż do rana, póki słońce swym blaskiem nie podniosło go z omdlenia.

Łąka wyglądała jak po deszczu, a ku swemu zdumieniu zobaczył Kuba na ziemi głębo-

kie ślady końskiego kopyta. Kopki rozrzucone były co do jednej, a kłaczki siana pływały nawet po Żabiej Strudze. Chłopiec ujął grabie chcąc zgarnąć siano na suchsze miejsce, w tej chwili jednak wypadły z nich wszystkie zęby, a grabisko przełamało się na połowę. Biedny pacholik porwał więc z sęczka swój kapelusz i biegiem ruszył do Kokocińca, a woda chlustała mu spod nóg na wszystkie strony.

Babula gotowała właśnie zacierki na śniadanie, kiedy pacholik wpadł do izby umorusany błotem, wylękły i przemoczony, w kapeluszu opadającym na oczy.

— Kandyś ty był, Kuba? — zapytała zwracając ku niemu pobladłą z niewyspania twarz i zapłakane oczy — Ja tu myślałam, żeś w boru zabłądził albolii wpadł do strugi...

Chłopiec rzucił się do rąk staruszki i tulił do niej jasnowłosą głowę.

— Ani wiecie, babulko, com to ja widział... — wyszeptał drżąc jeszcze z lęku.

Skworzyna objęła wnuka i powiodła go do stołu.

— Pojedz se gorącego, Kuba, a potem opowiesz...

Chłopiec zgłodniały ochoczo zabrał się do jedzenia. Nigdy jeszcze nie smakowały mu tak bardzo zacierki. Nigdy uboga chata nie wydała się Kubie tak zaciszna i miła.

— Babulko... — zaczął, kiedy łyżką skrobał już o dno glinianej misy — byłem na łące i widziałem takiego dziwnego karlusa w czerwonej kapicy! Nocą pokazał mi się u pidła... Wyszedł z wody na łąkę... Z rękawów lała mu się woda. Rozrzucił kopki i siano całe okrutnie nam pomarasił \*...

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — przeraziła się starka i przytuliła znowu do siebie wnuka. — Co powiadasz, dziecko, karlus? — pytała.

— Tak, babulko. Grabie połamał mi dwa razy, popsował nasze ostrewki, a potem to skrył się we mgle i kajsik się stracił... Ani wiem, kto to był i jako się zwał...

— To był Utopiec, wodny mąż albo karlus rzeczny, jak mawiają o nim! — zakrzyknęła Skworzyna. — Bywa, że pokazuje się on ludziom u pidła albo spod mostu wyłazi. Ale nie powiadaj nikomu we wsi, że ci się Utopiec pokazał, boby cię jeszcze spotkała niedola. Mąż wodny tego nie lubi... Utopiec jest bardzo przekorny i ludziom psoty wszelakie wyprawia, opilców wodzi na bagna, barabów w błocie tarza, a już najgorzej to szkodzi ospałym pacholikom na łąkach. Siano im zawsze rozrzuci i pomarasi...

Kuba spłonął rumieńcem i opuścił głowę.

— Widno ów rzeczny karlus — mówiła dalej Skworzyna — poznał, że się nie troszczysz o siano, jako przystoi, że polegujesz zbyt mocno, przeto łąkę naszą nawiedził i zrobił szkodę.

— A kanyż on siedzi, ten Utopiec? — zapytał Kuba. — Skąd takie ślady od kopyta, choćby ten Piotraszowy ogier przeszedł po łące?

— Utopiec siedzi w Żabiej Strudze na dnie, łoże ma tam z wodnej trawy — odrzekła starka. — Nocą wyłazi na brzeg, ale sypia na owym łożu za dnia, bo słońca nie lubi. Kopyto zaś ma zamiast lewej stopy.

Kuba spozierał na babulę oczami pełnymi łez.

— Cóż uczynimy teraz? Co będzie z sianem? — pytał zafrasowany.

— Ano nic, synku. Pójdziemy na łąkę oboje, naprawimy szkodę. Przecież krowy nasze i owieczki nie mogą zostać bez paszy na zimę!

Wybrała starka w stodole najlepsze grabie dla siebie i wnuka, nie zważając na lata sędziwe poszła na łąkę i póty pracowała tam z Kubą, póki im siano od nowa nie wyschło i póki konik nie zwiózł go do stodoły.

Od tego czasu Kuba poniechał drzemek i zaczął pilnie pracować, w sercu swym jednak ciągle odczuwał lęk przed Utopcem. Umyślił przeto wypędzić go z siedliska, by na przyszłość na łąkę nie przychodził i więcej nie czynił szkody.

„Starka mówiła — rozmyślał kiedyś pod bukiem — że wodny mąż na dnie strugi przemieszkuje, gdzie woda głęboka i nie widać dna, że ma tam łoże... Oj, trza by jemu to łoże

niewygodnym uczynić, by sobie szedł precz...”

Kiedy tak Kuba rozważał, spojrzenie jego na dłużej zatrzymało się na sporej górze polnych kamieni, które jeszcze ojciec jego pozbiierał ze swoich łąk i zagonów. Wiejskim zwyczajem złożył je na spory stos, bo niekiedy przydać się mogły w gospodarstwie. Leżały tuż blisko pidła...

W niebieskich oczach chłopca pokazały się iskierki swawoli, uśmiechnął się sam do siebie przemyślnie i podbiegł do stosu szarych piaskowców. Chwytał od razu po dwa i rzucał do Żabiej Strugi, gdzie woda była najgłębsza.

— A masz poduszki, a masz pierzyny — przygadywał — a teraz sobie na łożu poobijasz boki, germanie, i pójdziesz precz!

Żabia Struga pozostawała zupełnie spokojna, tylko na jej powierzchni znaczyły się koła od miotanych przez Kubę kamieni.

Minęło kilka dni w zupełnej ciszy. Kuba przekonany był, że wypędził Utopca z Żabiej Strugi, cieszył się z tego, radował, pomału jednak zaczął wracać do swych dawnych obyczajów: uciekał jak mógł od roboty i nazbyt często polegiwał sobie na słońcu.

Zbliżała się jesień i czas był już wielki przygotować opał na zimę. W puszczy niedaleko od Kokocińca pracowali drwale, a wśród nich i dwaj stryjowie Kuby. Dzielni to byli chłopci, robotni, toteż nim okwitły wrzosy, przygotowali oni dla starki Skworzyny dwa piękne sęgi już połupanych sosnowych szczap. Przywieźć drzewo do zagrody babuli miał Kuba.

Ucieszył się chłopiec, bo bardzo lubił jeździć do lasu, toteż wstał jeszcze przed świtem, nakarmił konia i dobrze napił go wodą ze źródła. Pojechali. Wóz toczył się rażno najpierw poprzez ścierniska, na których siodłate gąski łuskały zgubione kłosa, potem przez mroczny bór pachnący świeżym igliwem. Koło południa srokaty konik pasł się już na skraju poręby, pacholik wyprzągł go na czas, w którym do pełna załaduje wóz drzewem. Drwale odpoczywali w cieniu, dzieciół stukał na jodle, a we wrzosie czerwieniły się pierwsze brusznice.

Kuba uwijał się rażno, rad z dobrego opału. W niedługim czasie wóz załadował i przykrył drzewo po wierzchu jedliną, bo i ta, kiedy wyschnie, to się zda na podpałkę.

Srokaty konik z ochotą ruszył w powrotną drogę. Wyjechał z puszczy, minął rozległe ścierniska, a skoro przeszło południe, Kuba ujrzał przed sobą modrą wstęgę Żabiej Strugi, a tuż blisko i pidło, za którym leżała jego łąka. I wtedy uczył chłopiec, że jest bardzo zmęczony, zjechał więc z drogi na bok i, ustawivszy wóz pod brzózkami, na siedzący zadrzemał. Srokaty konik także opuścił powieki na swe łagodne i mądre oczy, rad, że i jemu w tej długiej drodze zdarza się nieco odetchnąć.

Kubie śniły się same przyjemne rzeczy: pieczony królik i miska żuru, kołacz i dzban z mlekiem, buczek na skraju łąki i kopki siana stojące w porządku. Zbudził się przeto wesóły i krzyknawszy na srokacza chciał ruszyć.

Konik szarpnął się raz jeden i drugi, ale wóz jakby wrósłszy w ziemię ani poruszył się, ani nawet drgnął.

— Wio... Wio... — zachęcał zwierzę Kuba.

Konik szarpnął się znowu, lecz i tym razem nie zdołał pociągnąć za sobą wozu.

„Utrudziła mi się gadzina \* — pomyślał chłopiec — nadto jej drzewa na wóz nałożyłem. Trza by go trochę zrzucić i choćby raz jeszcze przyjechać”.

Zeskoczył z wozu na ziemię i odgarnął jedlinę, która leżała na wierzchu. Spojrzał Kuba i gębę otworzył w zdumieniu. — Czary to jakieć, uroki... — szeptał przerażony i nawet plunął na stronę starym zwyczajem, by odegnać złe. Na wozie bowiem zamiast sosnowych szczap zobaczył kamienie polne, te same, które niedawno powrzucał do rzeki, by wypędzić Utopca z jego legowiska.

— A to czart zelżywy! — mamrotał Kuba gniewnie, wyrzucając kamienie do rowu. — To oszklivy \* bies! Anim to postrzegł, kiej nakładł do wozu kamieni.

Cóż było robić? Chłopiec czym prędzej zawrócił do puszczy w nadziei, że może spotka

tam stryjów i uprosi ich, by dali mu jeszcze choć trochę drzewa.

Srokaty konik czując, że znowu ma lekki wóz, ochoczo ruszył z powrotem przez łąki i ścierniska.

Zbliżał się wieczór i drwale dawno odeszli z poręby, a między drzewami czał się chłodny mrok. Białe gwiazdy spoglądały na chłopca spomiędzy chmurek, którym zachodzące słońce pozłociło brzegi.

Poziera Kuba i dostrzega znowu dziwy. Na porębie leżało bowiem to samo drzewo, które zabrał w południe, równiutko w sagach, tak jakby go nikt z miejsca nie ruszał. Tym razem chłopiec już nie marudził i nie odczuwał żadnego zmęczenia. Rażno załadował swój wóz i ruszył do domu, a choć do zagrody przybył już po północy, wcale nie chciało mu się spać.

Od tego czasu był Kuba pilny i pracowity, a w gospodarstwie jego wszystko się pięknie darzyło. Zrozumiał, że nie Utopca trzeba z rzeki wypędzić, tylko lenistwo z siebie samego. Nigdy też więcej nie pokazał mu się wodny mąż u pidła.

## JAK MIECEK OBLĄZ STRACIŁ SIĘ W GÓRACH

Żył kiedyś pod Baranią Górą młody gazda. Zwał się Miecek Obląz. Powiadają o nim ludzie, że był wesoły, szumny i nade wszystko lubił granie.

Gazdostwo miał nieduże i niebogate, leżało ono wysoko, prawie pod szczytem sędziwej góry, koło ostatnich jodeł boru. Za nim już tylko hala samotna i dzika słała się niby zielony kobierzec.

Na skraju tej hali jeszcze dziadowie Miecka ułożyli kopiec starych kamieni jednakiej wielkości, z których mieli pobudować sobie śpichlerzyk. Z niewiadomych jednak przyczyn nie rozpoczęli budowy. Pozostawili młodemu gaździe owe kamienie na hali i chatę pod starą trześnią, a w chacie dawną pamiątkę — jaworowe skrzypki-żłobiczki zręcznej i trwałej roboty.

Miecek lubił na nich grywać, tak jak jego ojciec i dziad, tyle że grywał piękniej niż oni. I sam był chłopcem urodnym, oka czarnego i roślej postawy.

Kiedy o wczesnym ranku wyganiał owce na halę, siadał zawsze na zwalonym buczku tuż naprzeciw stosu kamieni, spozierał na granie \*, różowe od wstającego słońca, na oczapierzyska \* jeszcze zasnutę mgłą, na jasne niebo i grał.

Mieckowe nutki zawsze dźwięczały odmiennie: były żalosne czasem, jakby skarżyły się na kamienistą glebę, co tylko niski jęczmień rodziła, kiedy indziej słodkie i rzewliwe niby rozmowa z miłą sercu dziewczyną, a bywały też ogniste i dzikie, jak stara zbójnicka pieśniczka, jak taniec — owięziok \*, przy którym i gwizdnąć, i krzyknąć głośno wypada.

Słuchali wszyscy Miecka Obląza z niemalą uciechą. Bywałóż koszą gazdowie lub roztrząsają siano na sąsiedniej grani — zagra Miecek — to rzucają kosy, pod boki się biorą, o ziemię dąpkają, \* a drepczą w miejscu w taneczku, choćby te cietrzewie na tokowisku; zdarzało się, że gaździnki z kobiałkami idą na targowisko do Istebnej lub Koniakowa, a tu Miecek na żłobiczkach tak słodko wygrywa, że serce spod kabotki mało nie wyskoczy od jego nutek. Staną, słuchają, ta i owa nosem pociągnie, przypomni młode lata, wesele.

Kiedy zaś dziewczuchy gdzieś na ustroniu jagody zbierają albo wiją wianki na święto, a postyszą Mieckowe nutki, zaraz im odchodzi chęć do kwiatów i jagód, poczynają wdychać i przeglądać się w potoku, a o zrękowinach przemyślać. A niekiedy bywało i tak, że Karola albo Jagnieszka usiądzie sobie przy Miecku na trawie, głowę ciemnowłosą do tyłu odrzuci i jak ptak w lesie od serca zaśpiewa:



*Gdyby ja wiedziała,  
Kany mój jedyny,  
Zaniosta by ja mu  
Słodziutki maliny...*

Stara Obłazina, Mieckowa matula, w czółku \* bieluchnym i czepcu wychodziła wtedy przed chatę i przysłoniwszy dłonią oczy od słońca wypatrywała syna na hali, radowała się, że taki urodny i szumny, że mu dziewczyna przyśpiewuje, bo pięknie na żłobiczkach gra.

Przyszedł kiedyś lipcowy ranek cichy i jasny. Pachniały róże w dolinie koło chat, a na łąkach świeżo skoszone siano. Wyszedł Miecek na halę; przyniósł z sobą żłobiczki, a siadłszy na zwalonym buku zagrał, jak umiał najwdzięczniej, na powitanie wschodzącego słońca. Radowały się temu graniu ozłoczone zorzą góry. Płynęły nutki coraz inne, piękniejsze i czystsze, a było w nich całe Mieckowe serce młode i szczere.

Nie spodziewał się gazda, że ktoś jest na odludziu prócz niego, że słucha go rad z ukrycia i nie spuszcza z urodnej twarzy Mieckowej baczących oczu, barwy ciemnego szmaragdu, o dziwnych podłużnych źrenicach.

Grał Miecek dalej sławiąc dźwiękami żłobiczek dostojne góry, w których wyrastał jak świerk na grani.

Zaszeleściło coś nagle w suchym zeszłorocznym ziele, tuż koło stosu kamieni. Stoczył się na trawę głaz jeden, za nim drugi. Błysnęło coś na kamieniach niby zgubiony tam przy-padkiem złoty pieniądz.

Wylękły się trzmielce i porzuciły ucztę miodową w kępie rozkwitłej nocą macierzanki, a polna myszka, siedząca pod krzakiem poziomek, czym prędzej ukryła się w norze.

Znow błysnęło między kamieniami, Miecek zaprzestał grania, ułożył żłobiczki na kolanach i pozierał zdumiony.

Dziw jakiś! Dziw... Z tych, o których matula opowiadała w zimowe wieczory, kiedy był jeszcze chłopcem nieletnim i słuchał baśni.

Oto przed nim pojawił się nagle wąż, jakby go wyrzuciła z siebie górka kamieni. Na grzbiecie lśniły mu srebrnoszare łuski jak zbroja misternie kowana. Wielki był i wspaniały. Na głowie nosił koronę ze złota szczerego, ta królewska ozdoba właśnie błyszczła w słońcu.

Spoglądał na Miecka nieruchomymi oczami o podłużnej źrenicy, zielonymi jak drogocenne szmaragdy.

— To przecież Król Wężów... — wyszeptał gazda. — Sam Król!

Z opowieści matki wiedział o nim, że mieszka w skalnej pieczarze pod Baranią Górą, a niechętnie ukazuje się ludziom. Jeśli jednak zjawi się przed człowiekiem, to czyni tak tylko wtedy, kiedy go coś zachwyci, kiedy z zacisza pieczary wywabią go czyjeś pieśni lub gędzba wesola. Wtedy nikomu żadnej krzywdy nie czyni. Miecek ujął przeto znowu żłobiczki i zaczął grać.

Król Wężów tymczasem zbliżył się prawie do jego stóp, po czym zatrzymał się i zwinął w kłęb, tylko głowę w koronie i górną część giętkiego ciała uniósł do góry. Zasluchany w Mieckowe granie kołysał się w pełnym dostojenstwa wężowym tańcu. Korona jego, upleciona ze złotych gałązek i listków, siała dokoła podobny słonecznemu blask.

Działo się to tak długo, aż Miecek zakończył granie: wtedy Król Wężów spoczął u jego nóg i tylko lekko unosząc głowę, odezwał się do niego ludzką mową:

— Ucieszyłeś mnie bardzo, człowieku! Grasz pięknie i dźwięcznie, tak, że cię słychać daleko. Przyszedłem tu od Baraniej Góry, by zobaczyć, kto na hali gra. A to ty! Widzę, żeś młody i urodziwy. Powiedz mi, jak ciebie zwać?

— Miecek dano mi na chrzcie, Obłaz po ojcu...

— Gazdostwo masz?

— Niebogate. O, tam je widać, pod starą trześnią. Dwoje nas tylko na świecie z matulą.

— Ubogo mieszkasz — rzekł na to Król Wężów — niewielkie stado pasiesz na hali... ale w twych oczach wesołość dostrzegam; gdy grasz, głowę dumnie odrzucasz jak bogaty i możny pan!

Miecek uśmiechnął się na to i rzekł:

— Albow to nie jest pan, Wężowy Królu? Żyję w górach, które umiłowalem. One mi światem całym. Nad sobą mam ino niebo błękitne, a słońce na nim. Słońca jednego słucham i tych obłoków, co je kryją czasami. One mi pokazują, kiedy na kośbę iść, kiedy do żniw. Za ich to sprawą łąka zieleni się wiosną, kwitnie trześnia i kraśnieje w boru jagoda! Pod takim władaniem lubo żyć człowiekowi, bo wolny jest! Wolny jak pan!

— Mądrze powiadasz — ozwał się z wielką powagą Król Wężów — nie dziw, że granie twoje radosne jest i miłe wszystkim, którzy go słuchają! Dźwięczy ono po górach, chwali ich krasę, chwali i twoje życie, człowieku...

— A tak! Bo pięknie tu, u nas, i ludzie dobrzy dokoła, czemuż nie chwalić? — odpowiedział gazda.

Król Wężów nie rzekł nic więcej: skrył się tak cicho wśród kwiatów i traw, jak przyszedł.

Od tego czasu jednak nawiedzał Miecka chętnie, słuchał, jak gra, potem przyjaznymi słowami gawędził z nim i zawsze za granie mile dziękował.

Minęło lato. Przekwitły goryczki, przekwitł i wrzos pod jodłami. Zebrano w lesie wszystkie brusznice. Stawało się chłodniej, wiatr dał od wschodu i strącał na ziemię ostatnie purpurowe liście buków.

Rzadziej odwiedzał teraz Miecka Król Wężów, aż kiedyś w poranek siwy od przymrozkowi nie pokazał się wcale na hali, nie wyszedł z szarych kamieni.

A liście goryczek \* porudziały do cna i zwarzone chłodem opadły na ziemię. Zrozumiał Miecek, że Król Wężów, obyczajem swego rodu, zapadł w głęboki sen zimowy gdzieś w głębi skalnej pieczary pod Baranią Górą.

Po świecie szła wieść o Miecku Obłazie. Wiedzieli o nim gazdowie Z Muńcuła i spod Baranicy. O jego sztuce powiadano na jarmarkach w samym Bielsku, ukazywano sobie urodziwą postać młodzieńca na odpustach w Istebnej i Koniakowie.

— Oczy ma jakby ten sokół... — szeptały pomiędzy sobą dziewczyny w karczmie, kiedy zachodził tam czasem w niedzielne wieczory na hulanie.

— Nikt owięzioka tak nie tańczy jak Miecek — gadały inne na weselu w Kiczorze.

— Nikt nie poradzi tak grać, jak on gra... — mawiała jego matka sąsiadom — miłuje góry mój syn i lasy nasze, raduje się, bo młody...

Nie dziw przeto, że wieść o tym grajku doszła do Wiednia, do samego cesarza.

A były właśnie zapusty.

Cesarz znudził się gośćmi, którzy w złoconych karetach zjeżdżali co dzień do Burgu \* na maskarady i bale. Senność go ogarniała od miłych słów, które słyszał wciąż od gromady dworskich pochlebców.

Damy w koronkach i haftowanych jedwabkach lalkom podobne się zdały, kawalerowie — pajacom.

Zaprzagnął cesarz odmiany. Kiedy posłyszał o Miecku Obłazie, młodym grajku z dalekich Beskidów, rozkazał zaprosić go do Wiednia, by na cesarskim dziedzińcu zabawił swą sztuką Miłościwego Pana i jego dostojnych gości.

Marszałek cesarskiego dworu posłał przeto do wioski oddział żołnierzy, a wszyscy byli na karych koniach. Jechali strojni w kapelusze trzyrożne z cyfrą królewską, w granatowe rajtroki z czerwonymi wyłogami i lakierowane buty — jakby na jakie święto.

Dziwowali się ludzie patrząc na oficera z długimi wąsami i wielką szablą, odprowadzali

cesarski oddział zaciekawionym spojrzeniem, póki nie zniknął gdzieś za pagórkami albo za borem jodłowym.

Aż pewnego dnia pojawili się cesarscy wysłańcy w górach. Zarzały konie wśród ośnieżonych borów, na kamienistej drodze, wiodącej wysoko, prawie pod sam szczyt Baraniej, ku Mieckowej chacie.

Zabrzęczały w sieni ostrogi, stara gaździna, zdumiona i wylękła, stanęła na progu izby w czepcu białym na głowie i w serdaku z siwego baranka.

Witała żołnierzy i starym obyczajem do chaty prosiła, a ciekawa była, po co w głusz zapadłą z dalekiego świata przybyli.

Wszedł do ubogiej izby lejtnant \* cesarski, wstał na jego powitanie młody gazda, bo właśnie w kącie pod obrazami za stołem siedział i spożywał wieczerzę.

— Siednijcie, panie oficyerze... — zapraszał.

— Rad spoczne, gazdo, pod waszym dachem, bo droga do was długa z naszego Wiednia.

Podawała matka zacierek, kaszy i chleba. Nalała do kubków miodu, a nadziwić się nie mogła, po co aż z Wiednia przyjechali do nich wojacy. Lejtnant pożywił się ze smakiem, a po wieczerzy o zaproszeniu cesarskim, jako o wielkiej łasce, Mieckowi i jego matce powiedział.

Klasnęła w ręce gaździna niby z uciechy, ale serce jej nagle zatrzepotało i ścisnęło się boleśnie z lęku, czy wróci zdrów jej Miecek z drogi tak dalekiej i sprzed cesarskiego oblicza. Czy nie rozgniewa czym władcy i jego możnych ministrów, a w ten sposób nie zasłuży na ich niełaskę albo i karę surową?

Cóż było robić jednak? Zaproszenie cesarza niczym innym nie było w istocie, tylko rozkazem!

Pojechał gazda z wojakami, na siwym źrebcu, a ustrojony był pięknie jak na wesele. Wdział portki białe z czerwonym wyszyciem, gieźlisko dostatnie z zapięciem srebrnym u szyi, pas mosiężnymi kółkami zdobiony, nowy serdak i cuchę \* jeszcze ojcową. Zwyczajem wiejskim zarzucił ją na ramiona, pozostawiając jeden z rękawów zaszyty, bo w nim właśnie schował swe jaworowe skrzyпки-żłobiczki.

Jechali długo przez góry stojące w śnieżnych czapach i przez potoki spięte mostami, mijali wioski i miasta, kryli się w mrok starych puszczy. Aż oto przed nimi zabłysnął Wiedeń oknami swoich pałaców i powitał wiatrem od błękitnego Dunaju. Szum, mnóstwo ludzi, kosztownych zaprzęgów, wesołe oczy pańienek patrzące w ślad za żołnierskim oddziałem. Wszystko to Miecka otumaniło, jakby zaczarowało, że i nie wiedział dobrze, co się z nim dzieje.

Spoczawszy krótko w koszarach jazdy cesarskiej, stawił się Miecek ze swymi skrzypkami w Burgu wspaniałym, a ledwie przyszedł, powiadomili go słudzy, że cesarz zaraz do siebie młodego gazdę z lejtnantem prowadzić kazał.

Ruszyli tedy za wystrojoną służą po dywanami wysłanych podłogach, po schodach ze śnieżnobiałych marmurów, przeszli przez dziesięć, a może dwanaście pokoi, aż oto w jednym z nich, a chyba najpiękniejszym, ujrzeni cesarza, siedzącego na purpurowym fotelu o złoconych poręczach; dokoła tej dostojnej osoby widać było całą gromadę dam młodych i starych, odzianych w same jedwabie i koronki. Stali przy nich kawalerowie, w mundurach i wspaniałych dworskich frakach, że Miecek nie wiedział, na którego najpierw pozierać.

Wszyscy stali, tylko jeden cesarz siedział. Ujrzawszy przed sobą gazdę spod Baraniej, dzierżącego w ręku skrzyпки-żłobiczki pięknej roboty, towarzystwo dworskie zaczęło szeptać i kiwać głowami w uznaniu dla jego urody, a młode damy wymieniały nawet pomiędzy sobą dłuższe uwagi, zasłaniając usta wachlarzami.

Miecek skłonił się cesarzowi, jak należało, potem jego dworowi, ministrom, damom.

Cesarz łaskawie skinął mu ręką, by zaczął grać. Ze wszystkich stron wpatrywało się w młodzieńca mnóstwo oczu ciemnych i jasnych, czasem łaskawszych dla prostaka albo nieuf-

nych i drwiących.

Miecek nie patrzył na cesarza i dwór. Dobył z rękawa cuchy swe jaworowe żłobiczki, wsparł je na lewym ramieniu i oto zdało mu się, że z dźwięcznych strun i z deszczulek starych, jakich na skrzypki niegdyś użyto, spłynęła nań jakaś dziwna słodycz i lubość niezwykczajna, tak jakby dłoń matki na ramieniu jego się wsparła.

Zaczął grać. Przymknął oczy, myślami przeniósł się w góry. Lekki, cichy z początku był głos żłobiczek jak szum bukowych liści letnią porą. Potem stał się rzewliwy i tęskny jak wiosenne wołanie kukułki w modrzewiach; poweselał wreszcie i rozlegał się wielu różnymi głosami, tak jakby czyże i drozdy na trześni koło jego chaty śpiewały. Nutki Mieckowe uroczyste były, wpadały prosto do serca słuchaczom. Podniosły damy chusteczki do oczu, z głębi piersi wzdychać zaczęli kawalerowie. Cesarz przyjaźnie kiwał gaździe swą łysą głową. Lekki uśmiech pojawił się na jego pełnym, rumianym licu, okolonym siwymi bokobrodami.

A Miecek grać począł na inny sposób. Najpierw wolno, dostojnie i tęsknie, aż naraz drobne, drobniutkie jak mak sypnęły się nutki spod jego smyczka. Co jedna zadźwięczała, już ją goniła druga, leciały gęsto jakby kropelki mżawy wiosennej nad górami.

Żłobiczki śmiały się, żartowały, komnata cesarza wypełniła się skoczną, jakby zaczepliwą melodią, która porywa każdego czarem osobliwym, ognista jest i tęskna zarazem, stara, odwieczna i młoda. Był to owięziok — taniec spod Istebnej i Koniakowa.

Oto młodzieniec-przewodnik zaśpiewał pierwszą zwrotkę, potem „zadąpkał” sobie w miejscu i skłonił kapeli, by dalej grała jego melodię. A kiedy skrzypkowie i gajdosze \* posłuchali wezwania, jał krążyć wkoło po pustym środku izby, obracać się, pozierając jednocześnie na stojące w gromadzie dziewczyny, niby to wybierał to jedną, to drugą, potem niechał wyboru, by wreszcie ruchem ręki i wezwaniem po imieniu przywołać z gromady upatrzoną tanecznicę i z nią wraz tańcować dalej.

Wieleż było w tym tańcu wdzięcznych obrotów, zręcznych ugięć postaci, owego „dąpkania” nogą o ziemię, spojrzeń ognistych, uśmiechów!

Wszystko to wyrazić umiał Miecek pieśnią swych jaworowych żłobiczek i to wyrazić najpiękniej. Zapomniał, gdzie jest i kto patrzy na niego. Widział tylko góry przed sobą to w łunach zachodu, w szmaragdowych kobiercach łąk, to w szacie borów jodłowych, przez które jak srebrne hafty przezierały szumiące potoki.

Grał odrzuciwszy do tyłu piękną, czarnowłosą głowę, z rumieńcami na śniadym licu, z ogniami w oczach.

Cesarz, dostojnie siedząc na swym purpurowym fotelu, najwyraźniej w świecie, choć delikatnie i nieznacznie „dąpkał” w lśniącą podłogę komnaty królewską nogą w lakierowanym trzewiku. Ministrowie ujmowali się pod boki i hardo pozierali na siebie, tak właśnie, jak w owięzioku czynią zawsze tancerze-współzawodnicy. Niektórzy głośno „dąpkali” i przebiegali nogami w miejscu, niepomni surowej etykiety \* na cesarskim dworze. Niewiele już brakło, by porwali damy do tańca i dreptać zaczęli, a pokrzykiwać, podobni rozweselonym gazdom spod Baraniej.

Tymczasem Miecek zakończył swe nutki i stał z płonącymi oczami, zdyszany, jakby dopiero co przywołany do przytomności spojrzaniem cesarza i jego dworu.

— Jakież to znakomity grajek! — słyszał dokoła. — Jaki ma dobry instrument! Jaki czysty ton!

— Kto by przypuszczał, że tak właśnie potrafi smyczkiem prosty chłop...

— Myślałam, że zacznę tańczyć, nie patrząc na obecność miłościwego pana... — mówiła jedna dama do drugiej.

— Porywająca melodia!

— Niezwykła... Niesłyszana!

Cesarz skinieniem ręki przywołał Miecka, by podszedł bliżej, a kiedy ten postąpił ku niemu kilka kroków, rzekł:

— Podoba mi się twoja sztuka, młodzieńcze... Chcę cię mieć tutaj przy moim dworze. Pozostań więc w Burgu, a niczego ci nie zabraknie. Będiesz cieszył swym graniem nas samych i dostojne towarzystwo wiedeńskie.

To powiedziawszy cesarz kazał podać Mieckowi kieszkę brzęczących pieniędzy.

Gazda podziękował przystojnie za ten dar i za łaskę cesarza, zrozumiał jednak, że oznacza ona dla niego ciągle życie w złotej klatce, na łasce i niełasce możnych. Zrozumiał też, jak bardzo tęsknić będzie za górami, matulą i daleką wsią.

Zmartwiła go łaska cesarska, przeraziły zaprosiny. Roztropna myśl podsunęła mu wszakże radę.

— Miłościwy cesarzu — rzekł po chwili, niby to ochłonawszy od niespodziewanego dla siebie szczęścia — zostać przy dworze wielka to dla mnie łaska i z serca całego za nią dziękuję. Jednakże, proszę bardzo, nim tutaj w Wiedniu na zawsze zostanę, niechaj mi będzie wolno raz jeszcze pojechać w góry i starą matkę pożegnać.

Wszyscy wokoło ze zrozumieniem pokiwali głowami, a cesarz rzekł:

— Godne pochwały jest twoje przywiązanie synowskie. Jedź przeto w góry, młodzieńcze, pożegnaj matkę. Na wiosnę wracaj do Wiednia.

Takim sposobem udało się Mieckowi, choćby tylko na krótki czas, wyrwać na wolność ze złotej klatki.

Wrócił do wioski w słoneczny dzień zimowy na swoim siwku, któremu w Wiedniu kupił uzdeczkę pięknie srebrem zdobioną. Witali go ludzie po drodze jakby znaczną osobę, z okien śmiały się do niego oczy dziewczęce, ale Miecek nie przystawał we wsi, nie gawędził z nikim, tylko pospieszał drogą pnącą się między oszronionymi jodłami aż pod sam szczyt Baraniej Góry, ku swojej chacie. Śpieszył do matki.

Dojrzała gaździna syna swego z daleka, drew do komina dorzuciła i przystawiła bliżej ognia garnek z barszczem, drugi z kluskami, sama zaś, jak stała, w kabotce jednej wybiegła przed dom witać Miecka z dalekiej drogi.

— Wróciłeś, synku roztomiły!

— Tak, mamulko, witajcie...

Uściskał serdecznie matkę, ucałował spracowane ręce, a gaździna w radości największej powiodła Miecka do chaty.

Kiedy strudzony podróżą siwek chrupał owies w ciepłej stajence, a młody gazda pożywiał się gorącym barszczem i kluskami, zaczęła staruszka wypytywać o Wiedeń, cesarza i dwór, ciekawa, jak się też powiodło jej kochanemu synowi w dalekim świecie.

— Dobrze, matulu — rzekł Miecek, kładąc na stole kieszkę pełną pieniędzy, a obok jedwabny fartuch dla matki i chustkę w tureckie wzory.

— Może i nadto dobrze... — dodał jeszcze po chwili, a kiedy zaciekawiona staruszka siadła przy kądzieli i pytająco spozierała na syna, wszystko, jak było, jej opowiedział.

Zmartwiła się matka i gorzko zapłakała, lecz i dla niej nie tajne było, że wola cesarza to rozkaz, a łaska jego to przymus — nie sprzeciwić się im, nie ominąć.

W zimowe wieczory szyła więc koszule na drogę dla syna, haftowała serdak najpiękniejszym ścięgiem, obsuszała serki nad ogniem.

Ani się obejrżeli, kiedy na hali zaczął topnieć śnieg, spod którego najpierw pojedynczo, a potem całym kobiercem zaczęły wyglądać śnieżyczki. Przyszły po nich krokusy liliowe i białe, wiatr ciepły się stał i łagodny, dopomógł rozkwitać pączkom na starej trześni, zachęcał do śpiewania ptaki.

Pierwsza to była wiosna w Mieckowym niedługim życiu, podczas której nie radował się on ani słońcem, ani wezbraną burzliwą wodą potoków. Przychodziła oto nieszczęśliwa godzina rozstania z matką i domem rodzinnym, z górami, wolnością... Jakże mu żal było wiatrów szumiących, potoków i jodeł!

Któregoś ranka wziął Miecek skrzypki-żlobiczki i poszedł na halę, by ulubioną dziedzinę na długie lata pożegnać.

I tym razem siadł na zwałonym buku w pobliżu górki kamieni, czarnymi oczami powiódł po lasach dalekich, po dolinach kwitnących i szczytach, na których bielił się jeszcze śnieg, tylko że w oczach jego tym razem błyszczały wielkie łzy. Zapłakały i żlobiczki smutną pieśnią o jaworze, który usycha, bo mu źli ludzie odrąbali konary:

*Jaworze, jaworze,  
Gdzieś podziół konorze? \*  
Odrąbali mi ich  
Słowaccy owczorze...*

Grał jeszcze długo Miecek swoje żalosne nutki, przedzwoniono w kościółku na południe, a kiedy słońce zniżyć się poczęło ku zachodowi, i nad potokiem, w dolinie, wstawała wolno siwa mgła — poruszyło się coś między kamieniami tuż w pobliżu Miecka i błysnęło w słońcu niby zgubiony pieniądz ze złota.

Wpatrzył się gazda w kamienie. Zobaczył dziwy jak niegdyś latem. Oto Król Wężów w złotej koronie pokazał mu się znowu. Przybył ze swej dalekiej pieczary, ukrytej gdzieś pomiędzy skałami u stóp Baraniej Góry. Zbudziła go wiosna z długiego zimowego snu, przywołały zaś na rozkwitłą halę Mieckowe żlobiczki. Zesunął się z górki kamieni i zwinął jak dawniej w kłębek, tylko głowę unosił wysoko. Korona siała dokoła najpiękniejszy blask.

— Widzę cię znowu, Miecku — odezwał się ludzką mową — i bardzo się z tego cieszę. Tylko dlaczego tak smutno dzisiaj grasz? I oczy masz smutne, i lica zmienione. Powiedz mi, co cię zmartwiło, a ja poszukam rady...

Miecek skrył swoje skrzypki w rękawie cuchy, popatrzył z wdzięcznością na Króla Wężów i rzekł:

— Prawdę mówisz, Królu! Smutno mi i żalosne pieśniczki dziś grałem. Ale to na rozstanie moje z górami, z matulą, z wolnością...

Waż spojrział bacznie na Miecka szmaragdowymi oczami.

— Jakże to? — spytał niedowierzająco — miałbyś odjechać z gór? Rzucić gazdostwo ojcowskie i matkę?

— Tak... — przy tych słowach po twarzy Miecka spłynęły dwie łzy.

— Ależ mów, co się stało... Mów, człowieku — zasyczał waż niespokojnie, a wtedy gazda opowiedział mu o wszystkim, co się przydarzyło w Wiedniu.

— Nie, nie odjedziesz... — z powagą niezmierną rzekł waż. — Nie smuć się, to się nie stanie nigdy, bo miłujesz góry, a grasz dlatego tak pięknie, że serce twoje tego żąda. Nad sercem zaś nawet cesarz nie może mieć władzy!

To rzekłszy waż potrząsnął głową. Złota korona spadła i ciskając przedziwne blaski potoczyła się prosto do Mieckowych nóg.

— Oderwij teraz od mej korony jeden złoty listek i noś go zawsze przy sobie — posłyszał Miecek po chwili. — Nawet mała cząstka Wężowej Korony czyni niewidzialnym tego, kto ją nosi. Widzieć cię będzie zaś tylko ta osoba, która cię miłuje najbardziej...

— Matka! — wyszeptał Miecek uszczęśliwiony.

— Tak, matka... i ja — dodał Król Wężów.

Nikt w całych wielkich Beskidach nie dowiedział się nigdy, jakim sposobem i to na zawsze znikł Miecek Obłaz sprzed ludzkich oczu. Myślano najpierw, że się skrył gdzieś koło szczytu Baraniej, bo niekiedy spośród skał słychać było daleki głos jego skrzypiec. Raz i drugi szukali go ludzie — nie znaleźli jednakże ni śladu młodzieńca. Darmo żołnierze cesarscy przetrząsnęli Beskidy — nie znaleźli i oni.

Miecek znikł, powiadano o nim, że stracił się w górach... że go skały wchłonęły, bo nie chciały, by odszedł z Beskidów ten, kto je kochał najbardziej.

Matka tylko wiedziała, że to listek z Wężowej Korony kryje syna jej przed oczami ludzi i chroni przed cesarskim rozkazem. Miecek nocą przychodził do domu i jak należy prawemu gaździe swe gospodarstwo obrządzał. We dnie siadywał wysoko na grani na wprost chaty, strzegł matczynych owiec i grał. A gaździna stawała na progu i spoglądała z oddali na chłopca, szczęśliwa, że został przy niej i że ominęła go złota niewola w Burgu u wielkiego cesarza.

## UWIĘZIONA WODA

W dawnych, pradawnych czasach przywędrował w Beskidy wielki smok. Był to srogi zbójca: posiadał szpony rysia, zęby wilka, a siłę stu najtęższych niedźwiedzi. Ni sierści, ni pierza nie miał na sobie, tylko twardą czeżuję \*, której przebić nie mógł żaden grot i żaden miecz; każde bowiem ostrze w zetknięciu z kościanymi płytkami, które porastały grzbiet smoka, zwijało się niby lekki wiórek.

Spozierał na świat dziewięcioma parami oczu, żarzącymi się po bokach dziewięciu głów najeżonych kolcami. Z dziewięciu paszcz ział kłębam ciemnego dymu, który unosił się na kształt chmurki wszędzie tam, gdzie ukazał się smok.

Długo chodził po górach i po dolinach, długo wypatrywał w Beskidach wygodnego legowiska, aż kiedyś o letnim świtaniu jego szponiaste łapy stapać zaczęły ciężko po zboczu Rachowca ku szczytowi poroślemu wysokopiennym, starym lasem.

— Piękna góra — zawarczał do siebie smok, węsząc w powietrzu na cztery strony świata — niezbyt wysoka i nie za niska. Wszędzie polany i łąki wśród lasu. Ludzie przypędzają tu stada. Czuję zapach owiec i krów... Och, jaki to miły zapach! Pilno mi do dobrego obiadu, ale bardziej męczy mnie pragnienie. Blisko jest potok... A tutaj drugi! Tam Znowu trzeci.

Smok schylił największą paszczę ku czystej wodzie potoku i chciwie pił.

— Uhhh... Chłodna... czysta wodziczka! Jeszcze takiej nie próbowałem — oblizywał się potwór i pomrukując z uciechy ruszył na przełaj przez gęstwinę, by obejść Rachowiec dokoła. Z przechadzki tej wrócił uradowany, bo nie dwa i nie trzy, ale dziewięć potoków z chłodną, orzeźwiającą wodą spotkał na swej drodze.

Wszystkie one spływały od szczytu góry ku dolinom, gdzie trzy siostry-rzeki: Soła, Rycerka i Rawa toczyły wartko swe wody wśród modrzewiowych gajów, borów jodłowych i szumiących kłosami pól.

Potoki zasilają rzeki, rzeczutki i małe strumienie w dolinach. Wszędzie porastała bujna zielen.

Świat radosny był dokoła, wszystko pachniało i kwitło.

„Dziewięć potoków płynie po zboczach tej góry — rozważał tymczasem smok — ja mam dziewięć głów, a w nich dziewięć wspaniałych paszcz, które chętnie piją taką chłodną i czystą wodę. Tutaj każda moja paszcza może pić z osobnego potoku! To mi dopiero uciecha! Zostanę na tej górze! Bo gdzież znajdę takie wygody?”

Nasyciwszy pragnienie, strudzony długą wędrówką, ułożył się smok do snu w gęstym lesie, gdzie wydeptał sobie łapami legowisko w mrocznym ostępie na mchu.

Spał do wieczora, a chrapanie jego dziewięciu paszcz huczało nad Radiowcem niby grzmoty zbliżającej się szybko burzy. Kiedy na zachodzie pobladła zorza, zbudził się smok i ruszył na łowy. Powiodło mu się, bo pożarł cztery jelenie, które niebacznie zbliżyły się do

gąszczów, gdzie się przytulił na czatach. Potem wykopał sobie w zboczu Rachowca, tuż blisko szczytu, jamę tak głęboką, że odtąd sypiać już mógł w samym wnętrzu góry. Przy wejściu do jamy, by je obronny uczynić, spiętrzył smok skały dziwnie osobliwie, że tworzyły one jakby przedsionek rycerskiego zamku, zamykany przez wielki i płaski złom kamienny, wyrobiony już przez samą naturę w kształcie drzwi.

Mieszkanie to było zaciszne i wygodne, w słoneczne dni jednak chętniej przebywał dziewięciogłowy zbój w modrzewiowym gaju u podnóża Rachowca, nad największym i najgłębszym z dziewięciu potoków. Najwygodniej mu tam było wypatrywać zdobyczy, a przy tym lubił wygrzewać się na słońcu. Do potoku przychodziły pić wodę jelenie i łanie, przypędzali tam ludzie swe stada, kiedy z odległych pastwisk na Muńcule powracały one do Kiczory lub Zobawy.

Któregoś dnia mały pastuszek zbierając grzyby pośród modrzewi zostawił nad potokiem swe owce na soczystej i bujnej trawie. Kiedy powrócił z koszykiem pełnym borowików, nie znalazł przy wodzie powierzonych sobie zwierząt; daremnie ich szukał i wołał po lesie, daremnie płakał z obawy i żalu — zginęły bez śladu, tak jakby zapadły się pod ziemię.

Od tego czasu żaden z pasterzy nie mógł doliczyć się owiec w swym stadzie, a z łąk na zboczach Rachowca przychodziły do wioski wciąż groźne wieści.

— Wilkołak to musi być... — szeptano.

— A może bies piekielny urządził sobie legowisko na naszej górze?

Myśliwi spostrzegli, że w lasach jest coraz mniej jeleni, dzików i łań.

— Łowca przebiegły je goni, zwierza ubywa nie wiedzieć kiedy i jak... — rozprawiano wieczorami po chatach.

— Kłusuje tam srogi pożeracz, bo nawet i cietrzewi, i zajęcy nie ujrzyysz!

— Jeśli tak — rzekł strapionym sąsiadom Grzymek Kowalczyk, największy zuch we wsi — to trzeba tego pożeracza wytropić i znaleźć na niego jakąś radę, żeby nam się nie dobrał do gardła!

I tego samego dnia sporządził sobie wygodne leżniwo \*, takie, jakich używają bartnicy, kiedy się do barci wspinają na drzewo, przygotował siekierę dobrze przekuta, dłuto, a nazajutrz, nim zorza rozbłysła nad lasem, umieścił się na samym czubku wielkiego buka wśród listowia tak gęstego, że z dołu nie można było Grzymka zobaczyć.

Drzewo to rosnęło wysoko na zboczu Rachowca, a było tak wyniosłe, że chłopiec ogarnąć mógł spojrzeniem rozległą przestrzeń lasów, polan i łąk rozrzuconych wśród maliniaku i leszczyny na łagodnym zboczu, opadającym ku Rawie. Tu i tam widział Grzymek błękitną wstęgę potoku, a że oczy miał sokole, już pierwszego dnia dostrzegł ciemny dym unoszący się chmurką ponad ową nieprzebytą gęstwiną. Nie był to dym, który czynią smolarze lub węgielnicy, kiedy mielerze \* swoje podpalają, bo nie szedł w niebo słupem, choć była pogoda, lecz tylko buchał raz po raz, by opaść ciężko na las, a po chwili ukazać się znowu opodal ciemnym kłębem.

Drugiego dnia ze swego ukrycia zobaczył Grzymek aż dziewięć chmurek dymu i co mu się dziwniejszym wydało, pojawiły się one kolejno nad każdym z potoków, a potem zniknęły, by pokazać się znowu po jakimś czasie nad starym lasem opasującym niby korona szczyt góry.

„Stwora to musi być żywa, co owe dymy czyni... — myślał Grzymek. — Może ich tam jest więcej, może się jaką osobliwą robotą trudzą? Trza by zobaczyć...”

Na trzeci dzień wspiął się znowu Grzymek na drzewo i jeszcze pilniej niż dni poprzednich rozglądał się po okolicy. Dzień był słoneczny jak rzadko i upał silnie dojmował. Dymu nie było widać.

— Dobrze myślałem — cieszył się chłopiec — stwora to jest żywa, chodzi sobie po górze, trzodzi się, a dziś, kiedy upał dokucza, kędyś tam w cieniu spoczywa.

Przed wieczorem dopiero, kiedy się słońce zniżyło, pokazał się dym najpierw nad



jednym, potem nad drugim potokiem — buchał raz po raz, by pojawić się znów nad trzecim i nad czwartym... Chłopiec zamienił się cały we wzrok. Dym pokazał się piąty raz nad zagajnikiem z modrzewi, w miejscu gdzie potok rozlewał się w małe jezioro, tam, gdzie najczęściej przychodziły pić jelenie i łanie. Zagajnik znajdował się prawie u podnóża góry i odcinał się jasną plamą od ciemnej zieleni świerkowego boru.

Obłok stawał się nad modrzewiami coraz gęstszy, osnuwał je na kształt dziwnej mgły.

Powiał wiatr, lecz nie rozproszył owych dymów, tylko jakby przytłoczył je do ziemi, a Grzymek poczuł w swej kryjówce na drzewie nie znany sobie zupełnie ostry swąd, a potem łoskot osobliwy, który to wzmagął się, to zanikał.

Trwało to długą chwilę.

Grzymkowi serce biło coraz mocniej, od silnego napięcia wzroku szumiało mu w głowie, drżał cały z ciekawości ogromnej i lęku. Nadarzyła się jednak sposobność, by zobaczyć nieznaną stworę, przekonać się, kim ona jest i przecieżyć znaleźć przeciwko niej sposób.

Chłopiec otrząsnął się z lęku, garścią bukowych liści obtarł pot z czoła, upił nieco wody z bukłaczka, który miał przewieszony przez ramię i zsunął się z drzewa. Odczepił z nóg leziwa i wetknął je za pas, a potem jał ostrożnie skradać się ku modrzewiom, nasłuchując i rozglądając się na wszystkie strony. Był coraz bliżej.

— Hrrr... Hrrr... — doleciało do jego uszu od strony zagajnika.

— Ruuu... Ruuu... — słyszał wyraźnie już teraz chrapanie jakby jednocześnie kilku mocnych gardzieli. Przyspieszył kroku.

— Hrrm... Hrrm... Uuff... — sapnął ktoś tak mocno, że aż powietrze zadrgało.

Modrzewie rzedły. Za nimi łączka i potok.

Chłopiec nałożył znowu swoje leziwa i szybko wspiął się na najwyższe z młodych drzew. Jasnozielone igliwie skryło go bezpiecznie wśród gęstych gałęzi. Rozsunął je ostrożnie i spojrzął na polanę.

— Och... — głos uwiązał chłopcu w gardle. Grzymek jedną ręką przycisnął sobie usta, drugą chwycił się mocno za gałąź, by nie spaść z drzewa. To, co ujrzał, było straszniejsze nad wszelkie pojęcie. Chłopcu zdawało się przez chwilę, że śni.

Na miękkiej trawie spoczywał ogromny jaszczur o ciele pokrytym kościaną czeżują, która na grzbiecie tworzyła śpiczaste zęby, a nad karkiem kończyła się groźnymi kolcami. Potwór spoczywał w głębokim śnie, ułożywszy na brzegu strumienia dziewięć swych strasznych głów. Paszcze miał otwarte i z każdej dobywało się podobne dalekiemu grzmotowi chrapanie pospołu z kłębami ciemnego dymu. W blasku słońca smocze kły i szpony mieniły się czerwonożłotym połyskiem. Czeżują nabierała srebrzystych i zielonych odcieni, tylko ogon był ciemnobrunatny, nakrapiany srebrnymi cętkami. Roje much i łąkowych, szarych gzów obsiadły przymknięte powieki jaszczura i wpadały do paszcz, by po chwili znaleźć się znów na powietrzu i krażyć natrętnie nad śpiącym potworem.

— Smok! — szeptał tymczasem w swej kryjówce Grzymek. — Jakiż on wielki i mocny! Jaką ma twardą czeżuję! Nie zatnie go żaden miecz — i widząc, że potwór dalej spoczywa nieruchomo napełniając zagajnik strasliwym chrapaniem, zsunął się z drzewa i nie obejrawszy się ani razu, pobiegł do wsi.

Srogi lament i płacz podniósł się w całej Kiczorze, kiedy się ludzie zwiedzieli, jakiego mają na Rachowcu sąsiada. Co płochliwsi porzucali nawet pełne misy na stole i bez czapek uciekali na dalsze góry, ciągnąc za sobą na postronkach świnki i krowy, pędząc beładnie owce.

— Stójcie! Stójcie! — wołali za nimi starsi, roztropniejsi ludzie. — Trzeba się bronić, trzeba ratować nas samych i nasz dobytek.

— Chodźcie do kuźni! — wołał Grzymek. — Pomóżcie nam wykuć siekiery i noże!

A ojciec jego, stary kowal, już rozżarzał krawki żelaza na palenisku.

Pomału zażegnano trwogę. Starsi przybyli do kuźni Grzymka i raz jeszcze rozpytywali

go o smoka. Chłopiec z ochotą powtórzył, co widział.

— Szukajmyż rady — kończył opowieść. — Czy się wydamy na zgubę sami?

— Po mojemu — rzekł najstarszy we wsi człowiek — to najpierwej trzeba uchronić stada, a samym nie przybliżać się do Rachowca, żeby nam nawet z głodu paść przyszło... Jutro wywiedzie się owce i krowy daleko stąd.

— Po mojemu — rzekł drugi starzec, który za młodu niejedno pole bitwy nawiedził — trzeba nam słać o ratunek do księcia. Niechaj przybędą co dzielniejsi wojowie i razem z nami ruszą na smoka. Do tego co rychlej pozasiekać wszystkie drogi, które wiodą od Rachowca do wsi.

— A po mojemu — rzekł Grzymek — trzeba nam broni co lepszej! — I uderzył, ile sił, młotem w kowadło.

Nazajutrz pasterze pognali stada daleko na południe, kilku mężów udatych ruszyło na koniach do księcia, gromada ludzi z siekierami zawałała drogi, a Grzymek ze swym ojcem i kilku młodymi towarzyszami od wczesnego rana stali już u miechów i kowadeł.

Od tego czasu na próżno czaił się potwór, na próżno czekał za skałą albo ległszy w zaroślach wypatrywał pasterzy u rozstaju. Nie zobaczył nikogo, nie posłyszał brzękania dzwonek, które w górach zawiesza się owcom na szyi. Wstępował na szczyt Rachowca i dziewięciu parami swoich oczu wypatrywał, czy kędyś na sąsiednich pastwiskach, na Zobawie i Kiczorze, nie dojrzy owiec. Daremnie jednak wyteżał swoje dziewięć par oczu. Wszystko, co żyje, kryło się gdzieś, opustoszały drogi i łąki.

Mijały dni. Smok wygłodniał okrutnie. Na Rachowcu jedynie czerwieniły się maliny, a borówki-czernice opadały z krzewinek, wielkie, słodkie i soczyste.

— Jakież to pożywienie?! — ryczał potwór depcząc w złości jagody. Szarpał trawę dokoła, łamał świerki jak trzciny. A głód coraz silniej trapił zbójcę, że kłapał naraz aż dziewięcioma paszczami, które na wieczerzę miały tylko wodę z potoków. Ludzie ukryli się przed nim, wyprowadzili gdzieś stada. Leśna zwierzyna rozpiezchła się także. Daremnie próbował smok grzybów i młodej trawy — nie syciły one dziewięciu, nawykłych do smakowitego jądła paszcz.

Kiedyś próbował podejść do wsi — wszystkie drogi znalazł zawałone tak wysoko, że nawet jego ogromna siła nie mogła żadnej z zapór pokonać. Rozsrożony potwór obmyślił wówczas zemstę.

— Jeśli ja cierpię taki głód — wył bijąc ogonem po skałach — to ludzie i zwierzęta w całej okolicy cierpieć teraz będą pragnienie...

Zadudniła dokoła ziemia, zatrzęsły się konary drzew, kiedy smok w szybkim biegu ruszył ku szczytowi Rachowca. Spod szponiastych łap wyrzucał w powietrze grudki ziemi i kłaczki mchu, łamał krzewy i tratował w pośpiechu paprocie. Niebawem zdyszany stanął na skraju wielkiej łąki, pokrytej trawą miękką i świeżą. Pośrodku owej łąki rosło dziewięć starych świerków równej wysokości. Spod korzeni tych drzew tryskało źródło, a czysta i chłodna woda spływała w dół po zboczu szumiącymi potokami.

— Dziewięć potoków... — warczał smok — mnóstwo ożywczej wody spływa z tej góry do rzek i strumieni. Pozwala rosnąć trawom, dojrzewać ziarnu w kłosach. Lecz teraz — tu potwór skoczył ku najbliższemu drzewu — teraz tej wody już nie będzie... Wyschną rzeki i strumienie. Pożółkną zboża!

I z całą siłą ogromnych, szponiastych łap wcisnął pień drzewa głęboko do ziemi... Rycząc z wielkiego gniewu począł odrywać szponiastą łapą czezuje ze swego grzbietu i wciskać je na kształt klinów między korzenie świerka. Woda pierwszego potoku przestała płynąć, sączyła się tylko wążutką strużką, niewidzialną wśród bujnej zieleni trawy.

— Nie będzie wody! — ryczał teraz z uciechy smok właczając do ziemi drugie i trzecie drzewo. — Nie będzie wody! — sapał zdyszany chwytając przednimi łapami dziewiąty, ostatni świerk.

Susza!... Straszne to słowo dla matki-ziemi i dla tych wszystkich, których ona żywi. Rozpacz ogarnęła ludzi. Umilkły wesołe pogwarki na przyzbach po robocie. Bo i jakże rozprawiać, kiedy na polach ziarno, nim dojrzeje, zsyca się i wysypuje z kłosów, a w sadach ledwie zawiązany owoc opada z grusz i jabłoni na spękaną od żaru ziemię, gdy wysychają rzeki i strumienie!

— Nie inaczej to jest — rzekli mądrzy starcy — tylko smok jakąś chytrą piekielną zatrzymał wodę. Jemu to nic, bo taka bestyja za sprawą czarów i bez wody wytrzyma. Ale dla nas wodniczka to życie. Nie pierwej się ona wszelako pojawi, aż się z bestyją uporamy.

— Tylko patrzeć, jak nam księżę przyśle rycerzy — pocieszali się młodzi — a wtedy wszyscy gromadą ruszymy na smoka.

Tymczasem, kto tylko miał siły, pomagał Grzymkowi kuć oręż. Nie gasło w kuźni na palenisku, nie ustawało stukanie młotów. Czekano pomocy. Wypatrywano jej co dzień od samego świtania.

Dnia któregoś na grani pokazali się jeźdźcy. Rychło w Kiczorze poznano owych mężów, którzy się do księcia z prośbą o pomoc udali.

Grzymek wyszedł przed kuźnię, ale na widok jadących sposepniał.

„Wracają sami! Bez książęcych wojów! — pomyślał z niepokojem. — Jadą po grani krótszą, lecz przecież niedogodną drogą”

— Hej, ludzie! — zawołał. — Bywajcie no tu!

Jeźdźcy zjechali szybko po zboczach i zdyszani stanęli przed kuźnią. Konie zagrzały się od męczącego biegu, ich boki okryły się pianą.

— Grzymku! Bracie! — wołali jeden przez drugiego. — Biada nam wszystkim! Zguba! Księżę nie przyśle pomocy!

Twarz chłopca pobladła, jakby samą Kostuchę zobaczył przed sobą.

— Dlaczego nie przyśle? — zapytał.

— Bo księżę Śląska, Polski i Krakowa, Henryk, nie żyje. Padł w boju. Wojska jego rozbite! Sprawili to srodzy zbóje Tatarzy. Są tuż! Tylko patrzeć ich w dolinie.

— Nie do wiary! — wykrzyknął Grzymek. — Ojczy! Słyszysz? Księżę Henryk nie żyje!

Groźne wieści niosły się jedna za drugą po wsi, przebiegały jakby tysiącem nóg dalej i dalej, aż trwoga, straszniejsza jeszcze niż pragnienie i głód, wyganiać poczęła ludzi z domostw na wysoko pnące się ścieżyny górskie, którymi kto żyw uchodził ku czeskiej i węgierskiej ziemi.

— Tatarzy straszniejsi są jeszcze od smoka — słychać było wszędzie przerażone głosy. — Bajdar-chan i Kaidu-chan pokonali rycerzy śląskich i krakowskich! Pobili i tych wszystkich, którzy im przyszli na pomoc! Uchodzić trzeba!! — wołano tłocząc się z dobytkiem po kamienistych drogach.

— Ciągnie tu w góry okrutny rycerz tatarski, Dżanga-bej \*! — posłyszał Grzymek z tłumem uciekających ludzi, kiedy ostatnie już domostwo opustoszało w Kiczorze.

— Uchodź z nami, bracie! — wołali na chłopca krewniacy.

Grzymek jednak nie uciekł. Wyszedł tylko na szczyt góry Kiczory pod cieniste buki i patrzył oczami pełnymi łez na oddalających się swoich przyjaciół, sąsiadów i krewnych, na ojca starego, który się ledwie dał uprosić Grzymkowi, by ucieczką ratował życie.

Kiedy zmierzchno, powrócił chłopiec do zacichej teraz kuźni i siadłszy u jej progu długo nad czymś rozmyślał.

Nad górami zajaśniał księżyc — świecił owego wieczora czerwonym blaskiem, a Grzymkowi zdawało się, że i gwiazdy świecą czerwono. Rychło jednak zrozumiał, dlaczego mu się tak zdaje: oto nad Sołą i Rycerką świeciły łuny pożarów.

— Tatarzy blisko... — szumiały buki. — Uciekaj!

— Uhu! Uhu! — krzyczał puszczyk na wieży kościółka. — Uciekaj!

Grzymek pozostał jednak na swoim miejscu i przespał noc, siedząc na progu wsparty plecami o stare odrzwia kuźni. Rankiem, zamiast różowej jutrzeńki, zobaczył znowu na niebie lunę. Wielkie stado kruków, kawek i wron przeciągało niby krzykliwa chmura ponad Kiczorą w stronę czeskich puszczy, na południe. Przemknęły leszczynami jelenie i dziki, ocalałe gdzieś od szponów smoczyc. A potem dał się słyszeć Grzymkowi osobliwy zgiełk, który stawał się coraz bliższy.

Były to głosy piszczałek, uderzenia jakby w żelazne naczynia, dzwonienie w mnóstwo dzwonek i bicie w bębny. Dolatywało od strony Soły, z doliny, przez którą wiała się wyschła teraz do cna Rawa.

„To już Tatarzy! — pomyślał chłopiec. — To oni!” — i serce ścisnęła mu boleśnie trwoga. Ale po chwili podniósł głowę i szybko jął bieć w dół po zboczu, w stronę, z której dolatywały go owe dziwne, zgiełkliwe głosy. Stał przy drodze nad urwiskiem przybrzeżnym i czekał. Oczy mu płonęły jak w gorączce. W myślach jego kształtował się pewien zamiar.

Dżanga-bej właśnie nadciągał. Wiódł za sobą aż spod samej Legnicy cały hezar \* srogich dżygitów. \* Pomykali na swych małych, kosmatych i długogrzywych konikach niby wilcza zgraja.

Choć słońce prażyło od rana, Tatarzy nie zdjęli swych grubych, baranich kozuchów, tylko wyrócili je włosem na wierzch. Śpiczaste czapy z wojłoku, bramowane futrem barsów\* i rysie opadały im na niskie czoła, spod których popatrywali na okolicę skośnymi, czarnymi a żywo biegającymi oczkami.

Tatarski dżygit miał przedni oręż z sobą: był to łuk z cennego drzewa o końcach toczonych z kłów morsa, klejony rybim klejem. Cięciwę kręcił Tatar z wielbłądzich albo baranich żył; kołczan \* szyła mu w jurcie niewiasta z miękkiego safianu czerwonej barwy, a dżygit wypełniał go strzałami o grotach zadziorkowatych, wyrabianych tak w okrutnym zamyśle, by je trudniej było wyciągnąć z rany. Pióra orłów stepowych czyniły te strzały prędszymi od wiatru. Cóż powiedzieć o ostrych szablach i jataganach \*. O sznurach-arkanach zwiniętych i zawieszonych u siodła, o biczach plecionych w sześcioro z surowej, bawolej skóry.

Na przedzie hezaru jechał sam Dżanga-bej, mąż strojnie odziany w długi chałat z atlasu podbity sobolim futrem, w kołpak usiany drogimi kamieniami, w szarawary jedwabne i miękkie trzewiki z safianu. Nosił się barwnie, bo z wielkiego rodu pochodził i strojem swym znakomite swe pochodzenie zaznaczał. Lica miał tłuste i krągłe, spozierał chętnie, a dwaj młodzi dżygitowie jechali tuż za nim i na przemiany nieśli nad znakomitym bejem buńczuk \* z ogona końskiego, tatarski znak dostojności. Za dżygitami jechała kapela i zgiełkiem nieopisanym płoszyła z drzew wronie stada.

Dudniła ziemia, drżało powietrze, a Dżanga-bej żuł bakalie \*, które zręcznie miał skryte na piersi pod chałatem w umyślnie na ten cel zawieszonym woreczku. Ciemnymi oczami, które ledwie było widać spomiędzy mięsistych powiek, wodził po okolicy i coraz wolniej żuł swe ulubione figi. Ogarniało go bowiem przemożne zdumienie. Oto mijały trzy dni, jak zapuścił się w góry ze swoim rączym hezarem, trzy noce, jak sypiał w siodle tęskniąc każdego wieczora do kociołka baraniny z ryżem, a nigdzie nie zobaczył ani jednego człowieka. Nie spotkał owiec ni krów, a przecież po łupy i jasyr wyruszył w górskie bezdroża.

„Gdzie łupy? — myślał — gdzie jasyr? Kiedyż zarzucę mój arkan na szyje niewiast tutejszych?”

Dokoła siebie dostrzegał jednak tylko jakby wymarłe, spalone słońcem pustkowie i wyschłe rzeki. Kosmate, nawykłe do skapej paszy koniki daremnie zwracały łby ku Rawie. W korycie jej widać było tylko zbielałe na słońcu, gładkie kamienie.

— Gdzie jasyr? Gdzie stada? — szemrano głucho w hezarze. Pomruki te głużyła jednakże kapela, a Dżanga-bej raz po raz sięgał po bukłak z kumysem, \* który miał zawie-

szony tuż pod ręką u siodła, i tym sposobem orzeźwiał się w drodze.

Zbliżali się ku łagodnie opadającym w stronę Rawy zboczom Kiczory. Naraz krzyk wielki podniósł się między dzygitami. Kapela zaprzestała grania i wszystkie głowy zwróciły się ku górskiemu zboczowi porośniętemu rzadkimi jodłami i brzoźkami o pożółkłych z gorącą liściach. Dżanga-bej szybko przełknął niezupełnie przeżutą figę i także zwrócił w ową stronę swą głowę w ciężkiej, naszywanej drogimi kamieniami czapie.

Po zboczach biegł młody chłopiec. Spomiędzy jodełek i brzoź migiała raz po raz jego biała, płócienna koszula. Znać było, że ucieka na oślep, nie obierając drogi, bo skakał przez mniejsze krzaki i przedzierał przez ciernie widocznie nieprzytomny od lęku przed zbliżającym się hezarem.

— Hej Kiszgemet! Subaktan! — wołał Dżanga-bej na swoich najdzielniejszych dzygitów. — Trzymać tego człowieka! Trzymać! On zaprowadzi nas do bogatych wsi...

Dwóch Tatarów rzuciło się w pogoń za chłopcem.

— Ha! Ha! — krzykliwie wywijając pętlami arkanów nad głową. Chwila jeszcze i Grzymek uczył na swojej szyi tatarski sznur.

„Oto mnie mają! Czy spełnią się moje zamiary?” — pomyślał padając na zeschniętą trawę.

Dzygitowie wywiedli Grzymka na drogę i w niskich pokłonach popchnęli go ku Dżanga-bejowi. Tatarski dostojnik spojrział na chłopca surowo i rzekł grożąc mu biczem o złoczonej rękojeści:

— Jeśli odpowiesz mi na wszystkie moje pytania, daruję ci życie... Rozumiesz?

Chłopiec przytaknął skinieniem głowy.

— Powiedz mi przeto, dlaczego tu nie widać ludzi? Gdzie się podziały stada? Słyszeliśmy przecież od ruskich jeńców, że tu bogata okolica. Od nich nauczyłem się waszej mowy...

— Dostojny panie — odpowiedział Grzymek — widzisz dokoła pożółkłą trawę i zeschnięte liście na drzewach, bo okolicę naszą trapi okrutna susza. Za jej przyczyną odeszli stąd ludzie i zabrali stada. Tylko na górze, którą widzisz przed sobą, pozostał jeden bardzo bogaty i możny rycerz. Nie szkodzi mu susza, bo rycerz ów mieszka w komnatach znajdujących się w głębi tej góry. Stada jego chronią się przed upałem w podziemnych oborach, piją z podziemnych źródeł i żywią się wybornym sianem z podziemnej stodoły... A niezliczone są jak kamienie tej wyschniętej rzeki.

— Takież bogaty ów rycerz?! Taki zasobny? — dopytywał się Dżanga-bej.

— Tak, panie. Powiadają, że w swych komnatach ma skrzynie złota, że jada ze złotych mis.

— Ha! Ha! — rozległ się wśród dzygitów okrzyk podziwu.

— To jeszcze nie wszystko! — rzekł tajemniczo Grzymek. — Ów rycerz zna drogę do wszystkich skarbów, które leżą we wnętrzu tej ziemi... Bogatszy jest nawet niż sam Bajdarchan.

— Ha! Ha! Idziemy po te skarby! — krzykliwie w zapale Tatarzy.

— A mówisz ty prawdę? — zapytał grożąc chłopcu znowu biczem Dżanga-bej.

— Szczerą prawdę, dostojny panie — odpowiedział Grzymek. — O, spójrz tylko! Nad górą unosi się przecież dym! To kucharz przyrządza dla rycerza pieczeń z najtłuszczejzego wołu.

— Mmm... Mmmm... — mlaskali łakomie dzygitowie. — Zdobędziemy owe skarby dla naszego chana, a ty, jeśli pokażesz nam drogę na szczyt tej góry, będziesz wolny.

Dżanga-bej przenikliwie spozierał na chłopca.

— Pokażę, dostojny panie... Proszę tylko udać się za mną.

Podano Grzymkowi konia i chłopiec już teraz przy boku tatarskiego dostojnika zdążył w stronę Rachowca, na którym wśród świerków i buków czaił się wygłodniały smok,

— Czyż nie lepiej, dostojny panie, poniechać ubogich wiosek, a uderzyć na siedzibę bogacza? — mówił Grzymek, kiedy stanęli u podnóża góry przed modrzewiowym zagajni-

kiem.

— Prawda mówi twoimi ustami — odpowiedział Dżanga-bej — szczerą prawdą.

— Jesteśmy na miejscu... — kończył Grzymek, gdy hezar wjechał między pierwsze drzewa — a oto droga na szczyt.

— Jesteś wolny, tak jak ci obiecałem — odpowiedział Dżanga-bej — a na dowód mej wielkiej łaski daruję ci czerwoną czapkę, którą nosił jeden z naszych dzielnych dżygitów. Oto masz!

— Ha! — krzyknęli Tatarzy. — Włóż naszą czerwoną czapkę!

Grzymek spełnił ich życzenie, skoczył między drzewa i zniknął hezarowi z oczu w zielonej gęstwinie.

Obyczajem Tatarów było bitwę zaczynać o świcie. Rozpalili więc ogniska i czuwali całą noc sposobiąc się do boju. Ostrzyli jatagany i szable, osadzali nowe groty u włóczy, brzechwy \* strzał opatrywali najlepszymi piórami. Spodziewali się bowiem walki z nie lada rycerzem. Dżanga-bej ostrzył miecz obosieczny i próbował nim sztuki wojennej na drzewkach i krzewach.

Grzymek tymczasem radował się, że z Tatarów uczynił sobie sprzymierzeńców przeciw smokowi, i śpiesznie pobiegł do wsi. Odszukał w komorze swoje leżniwo, do mieszka zabrał z kuźni tyle krążków żelaznych, ile zdołał unieść, a potem sporządził sobie wielką i mocną procę.

Nim rozedniało, umieścił się znowu na czubku wielkiego drzewa i wypatrywał, kiedy chmurka ciemnego dymu oznajmi, że smok ruszył już z legowiska.

Zgłodniały potwór źle spał owej nocy, a że poczuł zapach koni, dolatujący od strony zagajnika, w którym tak chętnie czatował, podniósł się wcześniej i wyszedł z jamy węsząc łakomie dziewięcioma nosami naraz.

Konie rżały. Na ten głos smok buchnął kłębam dymu i wyruszył na łowy. Grzymek dostrzegł go rychło ze swojej kryjówki, jak schodził na dół po zboczach tratując leszczyny i łamiąc młode drzewka. Naciągnął wówczas procę i strzelił krążkiem żelaza prosto w jedną z otwartych smoczyc paszcz.

Ryknął potwór i uderzył ogonem po ziemi, a wtedy drugi krążek trafił go w inną paszczę.

— Poczekaj, śmiałku — zawarczał potwór — już ja cię zaraz nauczę poszanowania dla możnych! — i skręcił ku bukowi, na którym siedział Grzymek.

Ledwie zbliżył się do drzewa, kiedy trzeci krążek stuknął o czeżując na zapadłym brzuchu smoczyc.

Dziewięć par oczu zwróciło się wówczas na czubek drzewa, gdzie wśród liści ukrywał się chłopiec; smok dojrzał Grzymka, szponiaste jego łapy objęły pień bukowy i z całej siły poczęły trząść drzewem.

— Spadniesz mi prosto do paszczy — warczał rozszrożony i kłapał głośno zębami.

Mocne są jednakże buki w Beskidach, a Grzymek wybrał z nich najmocniejszy. Nie lękał się przeto smoczyc pogrózek i dalej raził potwora żelaznymi krążkami.

Jaszczur srożył się coraz mocnej i ryczał teraz na całą okolicę, aż głos jego poderwał z postania Dżangę-beja. Padły rozkazy, zagrała zgiełkownie kapela i cały hezar ustawił się w szyku bojowym.

Dżanga-bej skinął na swe wojsko buzdyganem \* i tysiąc dżygitów półkolem ruszyło w tę stronę, z której dolatywał, nieznany, potężny głos.

— Ha! Ha! — posłyszał z daleka Grzymek.

— Naprzód! Na sławę Bajdar-chanowi! — wołał Dżanga-bej kłusując na czele hezaru.

Zdumiał się smok i wypuścił ze szponów pień drzewa. Zaprzestał ryku i nasłuchiwał. Dokoła niego tętniła ziemia pod kopytami tysiąca koni.

Grzymek wysunął się spośród listowia i zerwał z głowy czerwoną czapkę dżygita.

Uniósł ją, jak mógł najwyżej, i wymachiwał nią ponad czubkiem drzewa.

Dostrzegł ów znak Dżanga-bej.

— To tam! — zakrzyknął do swego wojska. — Naprzód! Chłopiec wskazuje nam znowu drogę!

Z nieopisaną wrzawą zbliżali się do smoka Tatarzy.

Czeżują lśniła w blasku słońca niby rycerska zbroja; potwór uląkł się zgiełku i począł cofać się ku szczytowi góry miotając za sobą głazy i wyrwane z korzeniami drzewa.

Dżanga-bej pochwycił róg, który zawsze nosił przy sobie i rozgłośnym trąbieniem dał znak dzygitom, by obyczajem wojennym Tatarów zacieśniali półkole.

Zrozumiał smok, że otacza go wokoło mrowie nie znanych mu zaciekłych napastników. Raz po raz włócznia i strzały więzły dokoła niego w pniach drzew. Szybciej posuwał się teraz w stronę legowiska. Tatarzy z wyciem okrutnym napierali na niego ze wszystkich stron.

— Patrzenie — wołał Dżanga-bej — on czarami odmienił swą postać! Z rycerza przemienił się w jaszczura z dziewięciu głowami. Chce przestraszyć Bajdarowych dzygitów! Ale nic z tego, rycerzu! To ci się nie uda! Broń się!

Smok stanął teraz u wejścia do jamy i ciskał w Tatarów głazami. Z paszcz jego buchały na przemian ogień i dym. Złotem połyskiwała czeżują, a jej blask przywodził Tatarom na myśl ogromne skarby ukryte w podziemnym domu rycerza, o którym mówił Grzymek. Zapragnęli złota tak bardzo, że w zaślepieniu napierali na smoka ze wszystkich stron nie bacząc na żarem buchające paszcze i celnie miotane kamienie. Kiedy jedni padali, drudzy zajmowali ich miejsca.

— Broń się! — krzyknął Dżanga-bej i rzucił w smoka ogromną swą włócznią o ciężkim grocie, opatrzonym zadziornymi. Utkwiła w głębi największej z dziewięciu paszcz.

Zawył smok i skrył się w głębi jamy. Tatarzy runęli za nim zeskakując z koni, które z kwikiem rozbiegły się po lesie.

Ogarnięci pragnieniem złota posuwali się coraz dalej pod ziemię.

Góra trzęsła się i dygotała od walki, która toczyła się teraz w jej głębi.

Grzymek, który posuwał się cały czas za Tatarami, przywarł do skały, wstrzymując oddech i spozierał na bitwę. Ostatni dzygit wbiegł właśnie do ciemnego korytarza, wiodącego do ogromnej smoczej jamy, w której wrzał coraz gorętszy bój.

Grzymek wyszedł z ukrycia i rzucił za Tatarami darowaną przez Dżangę-beja czerwoną czapkę. W ślad za nią cisnął odłamkiem skalnym, by w zwężającym się przejściu uczynić przeszkodę, na wypadek, gdyby dzygit chciał zawrócić!

Zadrżała wtedy góra i kamienne drzwi, wiodące do smoczego legowiska, zatrasnęły się za ostatnim z dzygitów. Potem stoczył się na nie jeden i drugi ciężki głaz. We wnętrzu góry powoli wszystko cichło, tylko ze szczelin pomiędzy głazami wydobywał się najpierw szeroka, potem coraz węższą smugą czarny dym, aż rozwiął się zupełnie po lesie.

Powyżej pola bitwy, prawie pod szczytem Rachowca rosło dziewięć świerków równej wysokości. Grzymek podszedł ku nim i przyglądał się okazałym drzewom.

Korzenie jednego z nich wystawały wyraźnie z ziemi. Pomiedzy nimi we mchu dojrzał chłopiec jakiś błyszczący, piaski przedmiot. Przyjrzał się uważnie i poznał, że to wielka i gruba łuska rybia, jakby złożona po wierzchu.

— Czeżują smocza! — rzekł do siebie i próbował podnieść ową łuskę. Uwięzła ona mocno, ale chłopiec szarpnął i wyrwał ją spomiędzy korzeni świerka. W tej chwili z dołka, który wygniotła czeżują w ziemi, trysnęło czyste i obfite źródło.

— Woda! — klasnął w ręce Grzymek. — Oto znowu jest woda!

Uradowany padł na ziemię i długo gasił pragnienie. Ochłodził sobie wodą twarz, opłukał dłonie. Ze źródła tymczasem sączył się już kryształowy strumień i potokiem spływał po zboczu Rachowca w dolinę.

Chłopiec oglądał ciekawie smoczą czeżującą: w jego ręku jednak poszarzała ona dziwnie i

rozsypała się po chwili w proch.

Grzymek chodził od jednego świerka do drugiego; spod korzeni każdego z nich sączyła się coraz obficie woda.

Popłynęło znowu dziewięć szumiących potoków, a na ich brzegach znowu zakwitły jaskry i niezapominajki. Rosną tam do dnia dzisiejszego, większe i piękniejsze niż gdzie indziej, a potoki szumem swoim opowiadają dawne baśnie tym wszystkim, którzy w ciszy lasu lubią ich posłuchać.

## ZŁOTY KACZOR

Znają ludzie na Śląsku bardzo starą opowieść o młodzieńcu, któremu poszczyło się znaleźć czyste złoto, daleko w głębi borów nad krętą rzeką Bobrem.

Rok był głodny. Posucha wyniszczyła na polach całe zboże. Na łąkach wyschło siano, a w sadach spadł owoc, nim dojrzał. Ludzie szli na zarobek do miast, w pojedynkę, gromadą, jak się komu zdarzyło. Poszedł i Marcin, chłopak z wioski Przesieki, szukać służby i chleba w bogatym mieście Bolesławcu.\* Królewskie i znaczne to było miasto, ale w małej Przesiece nikt dobrze nie wiedział, jaka prowadzi tam droga, bo do tej pory nikt tak daleko nie wyjeżdżał. Wiedziano tylko, że Bolesławiec leży nad Bobrem, który z gór Karkonoszy wypływa, spod ośnieżonych skał początek swój bierze. Dlatego też starzy ludzie w Przesiece doradzali Marcinowi, by szedł na północ, brzegiem tej rzeki, aż trafi na miasto ludne, czterowieżowe, z orłem królewskim wymalowanym nad bramą.

Ruszył więc chłopiec przez gęste bory ku wielkiej rzece, której wody zmieniają swą barwę, jak bogata niewiasta suknie. Raz błękitnieją, choćby wstęgą między łąkami, to srebrzą się i migotają jak rycerska kolczuga, to znowu chłoną w siebie mrok leśny i ciemną falą pluskają o przybrzeżne urwiska.

Szedł Marcin brzegiem przez cały dzień. Pustkowie szczere słało się dokoła, tylko stuletnie dęby przeglądały się w rzece i gwarzyły z nią po swojemu szumem zielonych liści. Wiatr śpiewał w trzcinach i giał je ku wodzie — nieczęsto odezwał się ptak.

Zmęczył się Marcin wędrówką, bo i chleba ostatni kęs dobył z podróznego mieszka, i szwy mu w trzewikach puściły. Umyślił więc wypocząć pod dębem, który wyrastał tuż prawie nad wodą, naprawić skórnie i posilić się garstką jagód zbieranych w lesie.

Iglę, dratwę i kozik nosił zawsze z sobą, szybko więc i zręcznie pozszywał trzewiki.

W gąszczu zobaczył dojrzałe maliny, czerwone i żółte, których tam nikt przed nim nie zbierał; rozchyłał krzaki z wielką ochotą i spożywał słodkie jagody, a potem usiadł nad rzeką i wsłuchiwał się w pluskanie fal.

Słońce tymczasem kryło się za las i Marcin pomyślał o spaniu. Począł więc ścinać na posłanie najpierw gałęzie krzewów, potem pęki sitowia. Nagromadził ich cały stos.

Kiedy ułożył się pod nawistymi gałęziami dębu, odleciał go jednak sen, bo chłopiec wspominał ciągle ojca, matkę i chatę rodzinną, z której wygnała go w świat nielitościwa bieda.

„Czy wrócę kiedy do Przesieki? — myślał ze smutkiem. — Czy ojców moich zobaczę? A w mieście jakże mi będzie samemu u obcych ludzi?”

Rzeka pluskała cicho i szumiały spokojnie trzciny, jakby łagodząc tęsknotę Marcina.

Powoli nad puszcza zapadła letnia noc. Na niebo wypłynął księżyc, samotny żeglarz w srebrnej łodzi. Rozbłyśły wkoło niego gwiazdy błękitne i zielone. Głośniejsze zaszeleściły trzciny, ozwały się im do wtóru świerszcze w kępach ziół.



I nagle jakby ktoś odmienił czarne fale rzeki. Pojaśniały od dziwnego światła, które smugą całą padało na wodę od przybrzeżnych szuwarów.

Przełękł się Marcin, skoczył na równe nogi ze swego posłania i skrywszy się za pień dębu pozierał na rzekę. Nie śmiał oddychać ze zdumienia i zachwytu nad tym, co ujrział na falach Bobru. Oczom jego ukazał się bowiem ptak niezwykłej piękności. Płynął środkiem rzeki sam jeden, rozsiewając dokoła na las i wodę nigdy nie widziany, wspaniały blask.

Był to kaczor złotogłowy i złotoskrzydły. Płynął powoli, niekiedy muskając dziobem jarzące się piórka, potem wyszedł na brzeg niedaleko drzewa, za którym stał ukryty Marcin, i przechadzał się po piasku kosztując delikatnych pędów roślin wodnych; niekiedy prostował skrzydła, jakby chcąc wzlecieć ku ciemnemu niebu, a za każdym jego ruchem smugi iskier złotych i różowych przeszywały nocny mrok.

— Co za ptak! — szeptał chłopiec. — Co to za strojny ptak...

O Złotym Kaczorze powiadali w Przesiece starzy ludzie różne dziwy. Jedni prawili, że strzeże on złotego piasku, który spoczywa na dnie śląskich rzek, drudzy zapewniali, że ten osobliwy ptak przebywa zawsze tam, gdzie pod korzeniami drzewa lub w głębokiej wodzie ukryto niegdyś beczki albo skrzynie ze skarbami. A wszyscy zgadzali się na jedno: Złoty Kaczor nikomu krzywdy nie czyni, niekiedy nawet pomaga ludziom w różnych kłopotach; ukazuje na przykład drogę flisakom płynąc przed nimi środkiem rzeki i świecąc im w pochmurne noce.

Bywało, że podczas suszy albo w bezwodnej okolicy za jego zjawieniem wytryskało spod ziemi kryształowe czyste źródło, że spadał upragniony przez rolników deszcz lub wyschłe koryto strumienia wypełniało się naraz wodą.

Spotkanie z tym ptakiem poczytywano sobie zawsze za dobrą wróżbę, stąd rzeczą niegodziwą było płoszyć go krzykiem czy kamieniem, a już najgorzej działo się tym, którzy próbowali złowić Kaczora w sidła lub ustrzelić go z łuku. Wylękniony ptak odlatywał i zabierał z sobą na zawsze szczęście i radość tego, kto weń godził.

Patrzył więc Marcin na ptaka zataiwszy oddech w piersi i nie śmiał uczynić najłżejszego ruchu, by go nie spłoszyć.

Kaczor oddalił się wolno, wciąż płynąc środkiem rzeki, aż znikł w kępie wysokich trzcin, rosnących na zakręcie Bobru.

Kiedy znów dokoła Marcina zaległ gęsty, nocny mrok, chłopiec, ku swemu zdziwieniu, poczuł się raźniej. Smutne myśli odeszły od niego, a spokój wypełnił jego serce. Ogarnęło go nagle wielkie znużenie: Marcin legł na posłanie z sitowia, a po chwili zapadł w mocny sen.

O świcie zbudził go wiatr, który przywiał od Ślęży deszczową chmurę. Marcin wstał i użył miłej kąpieli w Bobrze.

W głębi puszczy stukały dzięcioły — jakby znacząc uderzeniami w sosnowe pnie upływające szybko godziny poranka.

Raźno, nie oglądając się poza siebie, ruszył Marcin znowu na północ urwistym brzegiem Bobru.

W Bolesławcu w tym czasie mieszkał bogaty i możny rycerz. Miał sześć domów przy rynku, a za miastem sześć sadów, w stajniach konie, w śpichlerzach mnóstwo zboża, a w skrzyniach tyle srebrnych pieniędzy, że każdego miesiąca przez dwa dni i dwie noce musiał mierzyć je czapką, by mieć pewność, że monet nie ubywa.

Rycerz zwał się Lubina, mieszkał w trzemie cisowym, wieczerzę i obiad jadał na złotych talerzach, a jak się często zdarza przy tak wielkim bogactwie, chytry był i przebiegły jak lis.

— To przechera, dusigrosz — powiadali sąsiedzi, kiedy Lubina dumny i pyszny jechał przez miasto na bułanym koniu, z którego spływał do samej ziemi kropierz \* zielony, wyszywany w srebrne liście.

Jak każdy człowiek, zbyt łasy na dostatki, Lubina nie dowierzał nikomu, a nawet matkę i ojca podejrzewał, że uszczuplają jego majątność. O różnych porach dnia chciwy rycerz podglądał swoje sługi, czy zbyt wiele nie jedzą, i bywało, że ukradkiem wślizgiwał się do chlewika i ujmował karmy wieprzom, by na dłużej starczyło im brukwi z osypką \* i posiekany chwastem.

— To chciwiec, to liczykrupa — słycać było zawsze w karczmie lub na jarmarku, ilekroć tam pojawił się Lubina, strojny w płaszcz z aksamitu z czerwoną frędzlą i trzewiki z kłamrami. Mimo tak wspaniałego stroju wszyscy odwracali od niego oczy. Żadna szata bowiem nie przykryje w człowieku jego brzydkich wad.

Chciwy rycerz lubił też podsłuchiwać. Musiał zawsze wiedzieć, co mówią koniuchowie, kiedy krzątają się w jego stajni, a co stróże u bramy. Tym najbardziej nie ufał, podejrzewając, że nocami śpią gdzieś w zacisznych kątach i niedbale strzegą jego zasobnego domu.

Wstawał więc zazwyczaj też po północy i kryjąc się pod ścianami śledził bacznie starego dziada z pękiem kluczy i pachółka sierotę, który w stróżowaniu pomagał, służąc jedynie za kęs chleba i miskę stawy.

Lubina był na podziw zręczny w ruchach, stapał cicho jak kot w swoich skórzniach o miękkiej podeszwie, zważał pilnie, by czego nie potrącić po ciemku i hałasem nie zdradzić swej obecności, toteż nikt z jego służby nie poznał pańskich obyczajów. Ani giermek, ani stróże, ani psiarczyk w szopie pełnej czujnych piesków nie domyślali się nawet, że pan tak pilnie ich śledzi.

Kiedy Marcin przybył do Bolesławca, zaczął rozpytywać o służbę to w gospodzie na rynku, to przy bramie miejskiej. Szafarz \* Lubiny widząc zręcznego pachółka namówił go do służby u swego pana. I Marcinowi również wyznaczył stróżowanie. Kiedy wieczór zapadł, a trębacze na wieży głosem rogów obwieścili, że pora już podnieść zwodzony most i zamknąć bramy miasta, wtedy dla chłopca zaczynała się robota. Spuszczał z łańcuchów groźne psy podwórzowe, brał maczugę do ręki, by wraz z dziadem brodaczem i pachółkiem sierotą czuwać aż do rana nad domem i całym obejściem Lubiny.

Noc dłużyła się jednak, a godziny płynęły dziwnie wolno. Aby senność odegnać między jednym a drugim obchodem, gawędzili zazwyczaj Stróże siadłszy na ławie koło wrót. Opowiadali sobie przygody niezwykłe i baśnie.

— Dawno, dawno to było — zaczął kiedyś dziad brodacz — szedłem polną drogą w samo letnie południe. Kłosiły się właśnie zboża, a wyrosły wysokie jak las. Sucho było i wietrzyk kurz podrywał na drodze. Patrę, patrę, aż oto obłok pyłu przede mną dziwnie rośnie, gęstnieje. Potem... Nie uwierzycie! Przybiera kształty ludzkie. Widzę naraz przed sobą dziewczę cudnej urody. Włos rozwiany, a jasny choćby len. Oczki siwe. Wieniec z maków ją stroił, giezło miała leciuchne, białe, jak utkane z pajęczyn.

— Rety! Co powiadacie? — zawołali chłopcy w jeden głos przysuwając się bliżej do starego.

— Tak, tak! Urodna była — opowiadał dalej. — Uśmiechnęła się do mnie, ręką skinęła, ale w tej chwili od wioski odezwały się dzwony. Na południe, zwyczajnie, przedzwoniono w kościółku. Wtedy znikła mi z oczu, rozsypała się kurzem po drodze.

— Któż to był? — spytał Marcin.

— Południca!

— Ach, słyszałem i ja, że się takie zjawiają na polach. Tylko czy południce są przyjazne dla ludzi? — zaciekał się pachółek.

— Nie — rzekł dziad — niedobre są południce. Matkom kradną dzieci z kołysek, a jeśli chłopak taką zobaczy, nigdy żony nie pojmie i sam jeden zostaje jak ja...

— Lepiej ich nie spotykać — rzekł pachółek z przestachem — smutno przecież w chałupie żyć samemu.

— Toćże smutno... — pokiwał głową dziad.

— A ja — zaczął Marcin — kiedyś szedł do Bolesławca, to też coś osobliwego widziałem po drodze.

— Leśnego Dziada? Brzeginię? — ozwały się zaciekawione głosy. Chłopiec nasunął na czoło kapelusz, rozsiadł się wygodnie na ławie i rzekł:

— Nie! Ja widziałem Złotego Kaczora. Płynął sobie po rzece niby zwyczajne ptaszysko, ale świecił jak gwiazda. Sypał iskry spod skrzydeł, że się jarzyło dokoła. Oj, ledwiem oczom uwierzył, kiedy tak naraz wypłynął z sitowia... Nie opowiedzieć, jaki to piękny ptak!

Pachołek otworzył szeroko usta ze zdumienia i wpatrywał się w Marcina jak urzeczony.

— Ooo! — zawołał dziad z podziwem i uniósł do góry wskazujący palec. — Złoty Kaczor! To mi dopiero ptak!

A potem pochylił się ku Marcinowi i rzekł tajemniczo:

— Słuchaj, synku... Jeśli się on tobie pokazał, to dobrze, to znaczy, że ci się będzie wiodło w życiu...

Tak rozmawiali do rana. Marcin nie taił niczego, a im bardziej opowieść jego ciekawiła towarzyszy, tym więcej mówił. Noc była ciemna i tylko niekiedy wyzierał spoza chmur wąziutki sierp księżyca. Pacholek wetknął zapaloną, smolną pochodnię do beczki z piaskiem, która stała przy bramie.

Światło ogarniało czerwonym blaskiem tylko wąską przestrzeń dziedzińca. Dom Lubiny z wielkim, rzeźbionym gankiem tonał w czarnym mroku, toteż rycerz, obyczajem swoim wstawszy zaraz po północy, zdołał nie dostrzeżony przez trzech wartowników podsunąć się ku wielkim krzakom bzu rosnącym opodal bramy. Przytając się w nich, słyszał każde słowo Marcinkowej opowieści.

„Złoty Kaczor! — myślał w swej kryjówce. — To przecież skarb. Ileż on ma piór, ile puchu, a wszystko złote, złote, złote... Gdyby go dostać...” — I przemożna chciwość zaślepiła Lubinę. Siedział bez ruchu w gęstym krzaku, a tylko szyję wyciągał w stronę bramy i czujnie nadstawiał ucha, aby nie stracić ani jednego słowa z rozmowy swoich sług.

Po skończonym stróżowaniu Marcinek niedługo spał na wiązce grochowin, w ciemnej sionce, którą mu przydzielono na mieszkanie. Ledwie się ułożył i nakrył końską derką, ledwie się ogrzał po nocnym chłodzie, poczuł, że ktoś mocno trąca go w ramię. Otworzył oczy i przeciągnął się leniwie, myśląc, że to która z dziewczyn kuchennych budzi go na śniadanie; zobaczył jednak przy swym posłaniu Lubinę. Rycerz był odziany jak do podróży: nosił ciemną opończę z kapturem i kaftan skórzany, a miał z sobą swój najlepszy, jesionowy łuk i wielki kołczan pełen strzał. Przeraził się chłopiec i zerwał się w jednej chwili z legowiska. Począł spieszenie wdziawać sukmanę i wiązać na nogach plecione z łyka chodaki.

— Chodź ze mną! — rozkazał Lubina i szybko wyszedł z sieni.

„Pewnie karać mnie będzie — myślał przerażony Marcin podążając za swym panem — ale za co? Przecież nie uczyniłem nic złego”.

Daremnie też starał się przypomnieć sobie, czym mógł zasłużyć na karę.

Lubina nie przemówił do niego ani słowa. Śpieszenie wyszedł z podwórza boczną furką i przez mniejsze ulice zdążył ku bramie miejskiej, przez którą wychodziło się prosto na brzeg Bobru. Przerażony chłopiec biegł za nim z głową wtuloną w ramiona.

„Dokąd idziemy? Po co?” — daremnie próbował odgadnąć zamiary Lubiny.

Czas płynął.

Podmiejska, szeroka i uczęszczana droga zmieniła się pomału w krętą ścieżynę leśną, biegnącą wzdłuż urwistego brzegu rzeki. Coraz niżej zwieszały się nad głowami idących gałęzie starych dębów.

— Słuchaj, pacholku — rzekł Lubina przystając nagle na ścieżce — powiadają o tobie, żeś widział Złotego Kaczora. Prawda-li to?

— Tak, panie...

Posępna twarz Lubiny rozjaśniła się na te słowa przyjaznym uśmiechem.

— Rad bym i ja go zobaczyć, mój sługo — rzekł przymilnym i proszącym głosem — rad bym ucieszyć oczy jasnością, która tego ptaka otacza... Już od młodości pragnę takiego widoku... Bo przecież nic piękniejszego nie może być od Złotego Kaczora. Ukaż mi przeto miejsce, kędy się pojawił. Prowadź mię tam, a w nagrodę poślę dla twych rodziców pszenego chleba i mąki najlepszej całe dwa wozy.

Wspomniał Marcinek o pustym saszku w domu ojcowskim i o zupie z lebiody, którą matula gotowała co dnia. Biały, pachnący chleb i worki z mąką, których tak dawno nie oglądali ludzie w Przesiece, zdały mu się skarbem największym i najbardziej upragnionym. Dobry pacholik nie spodziewał się przy tym, że z pańskich ust mogą padać słowa podstępne i fałszywe.

— Dobrze, panie — odpowiedział z prostotą — chodźcie, zaprowadzę was pod dąb nad samym brzegiem rosnący. Tam widziałem Złotego Kaczora, jak płynął środkiem Bobru.

Lubinie oczy zabłyśły z uciechy, a lica poczerwieniały tak, jakby wychylił pucharek starego miodu.

— Śpieszmy... Śpieszmy!!! — gadał prędko, popychając Marcina naprzód. — Dodam ci jeszcze worek jagieł...

Szli rażno i w niedługim czasie stanęli pod starym drzewem, którego pień pokrywały, niby stuletnia broda, szare porosty i mchy.

— To tu... — rzekł Marcin, spoglądając na niebo — skryjcie się za dąb i spoczniście na trawie. Trzeba poczekać, aż zapadnie noc...

Lubina nie zwrócił jednak żadnej uwagi na te słowa, nie spojrzął nawet na chłopca, a zamiast odpocząć po długiej drodze w cieniu szeleszczących gałęzi, zaczął pilnie przebierać między strzałami w kołczanie, jakby szukając najsposobniejszej do użycia.

Marcinka ogarnął silny niepokój.

— Co chcecie czynić, panie? — zapytał.

— Zapolować chcę, mój sługo — posłyszał w odpowiedzi groźne słowa — zapolować wspanialej niż król! Ustrzelę złotego ptaka!

— Nie czyńcie tego, panie! To się nie godzi przecież... — prosił Marcin w srogim żalu i rzucił się panu do nóg. — Posłuchajcie mnie! — błagał. — Poniechajcie łuku i strzał!

— Przestań mnie nudzić, głupcze! — z gniewem wykrzyknął Lubina i szorstko odtrącił chłopca od swoich nóg. — Dla mnie zostanie ptak! A. gdy w mym skarbcu mieć będę Złotego Kaczora, stanę się bogatszy niż król. Rozumiesz?! Bogatszy niż król!

— Panie!... — wyszeptał błagalnie chłopiec.

— Cicho, nicponiu — pogroził mu Lubina biczkiem, który zawsze nosił przy sobie — jeśli się jeszcze słowem odezwiesz, wymierzę ci chłostę, i potem osadzę w lochu na mokrej ziemi za zbytne gadanie! Stań teraz przy mnie i czekaj rozkazu!

To powiedziawszy, rycerz skrył się za drzewo i mając w pogotowiu łuk, rozpoczął niegodziwe czaty.

Marcinek stał u jego boku, nie śmiejąc sprzeciwić się woli swego pana. Rozpacz wypełniała jego serce, ukradkiem ocierał gorące łzy.

Czekali długo w ukryciu. Zorze gasły za lasem. Dokoła jednak zalegała dziwna cisza. Nie plusnęła w rzece ryba, nie zakwilił jastrząb w głębi lasu, umilkły dzięcioły, zaprzestały grania żaby w bagienku i świerszcze w kępach ziół. Nawet wiatr nie szeleścił w konarach dębu i nie nawiedzał wieczornym pozdrowieniem trzciny.

„Co to być może?” — myślał chłopiec, zdumiony takim osobliwym milczeniem lasu i wody.

A Lubina stał przytulony do omszałego pnia z oczami utkwionymi w fale rzeki. W rękę cały czas trzymał swój wielki łuk i w pogotowiu miał strzałę.

Nad Bobrem pojawiła się przedwieczorna mgła i spowiła trzciny niebieskawobiałym welonem. Powierzchnia wody znieruchomiła i uczyniła się podobną zwierciadłu.

Ukazały się gwiazdy, dalekie i blade, a Marcinkowi zdawało się, że uciekają one i chowają się za płynące po niebie obłoki, nie chcąc patrzeć na chciwca Lubinę.

I księżyc tego wieczora dziwnie poskapał ziemi swej poświęty. Tylko przez krótką chwilę oświetlił rzekę srebrnozielonym pasemkiem blasku, a potem przyodziął się w lisią czapę i schował za wielką chmurą. W owej króciutkiej chwili, w bladej jasności księżycowej, pokazał się na rzece ptak.

Wypłynął z kępy wysokich trzciny i zbliżał się wolno ku czatującym ludziom, płynąc środkiem uspiętego i cichego Bobru.

Daremnie jednak Lubina upatrywał złotych iskier i blasku na rzece... Daremnie i Marcinek przecierał oczy zdumiony. Nad puszcza i wodami gęstniał coraz bardziej zwykły, wieczorny mrok.

Ptak przepływał teraz prosto przed nimi. Nie był to jednak Złoty Kaczor, lecz pospolity, o szarych piórach i zielonej głowie. Wyszedł na brzeg, chodził zwyczajnie po piasku i nawoływał się z kaczkami, które na nocleg zapadły w przybrzeżne trzciny.

— Kłamco! — zasyczał w straszliwym gniewie Lubina. — Nikczemny kłamco! Śmiałeś oszukać pana! — i na plecy Marcina spadło mocne smagnięcie biczem. — To tak wywdzięczasz się za mój chleb i dach nad głową? Czekaj, już ty mnie będziesz pamiętał, ty chytry łotrzyku!

Chciwość jednak już po chwili przemogła w rycerzu gniew. Był zawiedziony w swych nadziejach, ale nie chciał wyrzec się i takiej małej zdobyczy, jaką stanowił dziki kaczor.

Ptak był właśnie o kilka kroków, zatrzymał się koło szuwarów, jakby igrając z dumą łowiecką rycerza. Lubina naciągnął łuk.

Furknęła strzała, lecz dobrze wyostrzony jej grocik tylko nieznacznie drasnął ptaka, zdzierając mu z piersi garść drobnych, szarych piórek.

Sploszony kaczor porwał się i uleciał. Księżyc skrył się za chmurą, nad rzeką zaległ teraz nieprzenikniony, czarny mrok.

Zaślepiony srogim gniewem rycerz pochwycił Marcina za ramię i włókł go za sobą po nadrzecznej łące.

— Łotrze! Kłamliwy łotrze! — krzyczał niepamiętny już na nic. — To więc miał być Złoty Kaczor?! To miała być godna mnie zdobycz? Czekaj, nie wyjdiesz ty z lochu!

Ostatkiem sił wyrwał się Marcin z żelaznego uścisku ręki w twardej rękawicy i rzucił się do ucieczki prosto przed siebie w ciemność.

— Precz ze służby! Precz z mego domu, obwiesiu! — wrzasnął za nim rycerz i przedzierając się po ciemku przez krzaki zawrócił ku miastu.

Marcinek przytaił się w zaroślach niskiej olszyny na samym brzegu bagienka. Grunt był tam grząski i po chwili chłopiec miał pełne chodaki wody. Okrzyki gniewu i wyzwiska, których nie oszczędził Lubina swemu słudze, z początku wyraźne i głośnie, pomału dawały się słyszeć coraz słabiej, wreszcie zaginęły zupełnie w oddaleniu.

Lubiny zatem nie było już nad rzeką. Marcinek wyszedł z ukrycia i legł na suchym miejscu pod dębem. W konarach starego drzewa znowu łagodnie szumiał wiatr, w bagienku grały żaby, a wtórowały im świerszcze ukryte w kępach wrzosu i macierzanki.

Księżyc odrzucił lisią czapę i darzył znowu swą poświętą ciemną powierzchnię Bobru. Dokoła niego jaśniały gwiazdy, dziwnie teraz bliskie, mrugające na chłopca wesoło.

Radował się Marcin cichością i słodyczą letniej nocy, spoglądał na piaszczysty brzeg i szeleszczące koło niego trzciny, aż oto nagle zobaczył znowu dziwy.

Za kępą trzciny, na piaszczystym dnie Bobru koło brzegu, jaśniało tak coś w wodzie, jakby do rzeki pospadały gwiazdy. Marcinek zaciekawiony i pełen zachwyty wszedł do wody i patrzył.

U swoich stóp na rzeczonym piasku zobaczył pióra, te, które ptak uronił uciekając przed niegodziwym Lubiną. Płonęły jasnym blaskiem...

„Więc to był Złoty Kaczor... — pomyślał chłopiec. — Ten sam, którego już tutaj widział!”

Zrozumiał teraz: mądry ptak w obliczu chciwego i złego człowieka na krótko odmienił swoją postać! Ukazał się Lubinie jako zwyczajny, szary kaczor! Pióra jego leżą oto na dnie rzeki. Nie unoszą się na falach, jak to zazwyczaj bywa. Dlaczego?

Marcinek dobył z wody jedno z nich, największe. Zaciężyło w jego rękę jak kamień. Chłopiec zacisnął palce — pióro uwierało w nie ostrym brzegiem.

Podnosił inne pióra. Oglądał każde z nich pilnie. Było to szczere złoto, rozsiane pośród rzeczego piasku.

— Znalazłem złote pióra... — szeptał Marcinek nie dowierzając sam sobie. — Tu są! I tam... I jeszcze tutaj...

Zbierał drogocenne grudki i ważył każdą w rękę: były ciężkie. Troskliwie chował je za koszulą na piersi. Oznaczały przecież dla niego powrót do Przesieki, do starej chaty, matki i ojca. Oznaczały koniec niedoli...

Minęło kilka lat.

Marcinek wyrósł i zmeźniał. Stał się młodzieńcem, który przyciągał do siebie wszystkie spojrzenia. Nie tylko dlatego, że twarz jego okalały jasne, wijące się włosy, że miał oczy siwe, pełne wesołych błysków i zręczną postać. Marcinek był także pracowity i dobry.

Mieszkał teraz w obszernej zagrodzie na wzgórzu, razem z ojcem i matką. Miał stado owiec, konie i woły. Miał urodzajne pola, które co roku darzyły go hojnie zbożem. Wspomagał ludzi, bo zawsze pamiętał, jak ciężko jest żyć w biedzie.

Pewnej jesieni, po żniwach i młocce, zagrały we wsi dudy na Marcinowe wesele. Jasnowłosa dziewczyna zamieszkała w zagrodzie i odtąd co dnia od rana słychać było w obejściu Marcina jej wesołe piosenki i śmiech.

Wszyscy w Przesiece lubili młodego siedlaka, \* a nadziwić się nie mogli dostatkom i pomyslności w jego gospodarstwie. Jak to często między ludźmi bywa, rozprawiali sąsiedzi z ochotą o Marciniowym szczęściu i bogactwie.

— Jakie on ma konie i krowy! — rozkładały ręce w wielkim podziwieniu klachule wiejskie w opłotkach.

— A co ma szmat Marciniowa...—szeptały dziewczyny. — A samych koralików dwa pudła!

— Pszenicy to zebrał Marcin sześć brogów... — z uznaniem kiwali głowami gospodarze.

I tak szła wieść o bogatym siedlaku z Przesieki w okolice, a z okolicy coraz dalej i dalej, aż doszła do samego Bolesławca.

Posłyszał o Marcynie Lubina i ciekawie nastawiał ucha.

„Heee... — myślał chciwiec — więc to marnemu słudze tak się powiodło! To pacholik, co popychadłem był przy mojej bramie, teraz jest pierwszym we wsi gospodarzem. Dziwna to losu odmiana! Uwierzyć trudno, doprawdy”.

Od tego czasu Lubina coraz częściej krążył myślami koło pięknej zagrody na wzgórzu, w której mieszkał szczęśliwy i lubiany przez wszystkich człowiek. Zawiść i chciwość wzbierały w jego sercu.

„Był moim sługą! — myślał chodząc wielkimi krokami po swej komnacie pełnej rzeźbionych sprzętów, kobierców i makat. — Był tu pod moimi drzwiami, a teraz! Proszę, wszyscy mówią o nim i wszyscy go nawidzą. Takiego sobie zwykłego prostaka, pastucha, stróża! Żeby to chociaż był szewc lub kowal, a to zwyczajny, biedny chłop!”

Przyszło na koniec do tego, że rycerz w swej nadmiernej chciwości począł rozmyślać nad tym, jak by Marcina wygnać z zagrody i samemu zawładnąć jego ziemią.

„Musi on na swoich polach znajdować cenne kruszce... — dumiał nocami nie mogąc zmrużyć oka — musi tam zbierać złote grudki i piasek, wykopywać z ziemi srebro... Bo i

skądże by się brało to jego bogactwo?”

Na jarmarkach i w karczmie przy miodzie zaczął wypytywać ludzi o Marcina.

— Od kogo kupił ziemię? Jak dawno na niej gospodarzy? Gdzie sieje zboże, a gdzie zakłada pasieki?

Skorzy do rozmowy kupcy, karczmarz przyjazny znacznemu rycerzowi, przekupki jarmarczne, żebracy — wszyscy oni radzi znosili Lubinie wieści o dawnym słudze.

— Ziemię odkupił Marcin od starej księżnej, tej, która nie dowidzi i nie dosłysz, a mieszka w zamku tuż blisko wioski Przesieki... — rzekł dnia pewnego karczmarz podając rycerzowi drogie, zamorskie wino.

— Uhm... — pokiwał głową Lubina. — Od starej księżny! To tak...

Następnego dnia ruszył w drogę na koniu białej maści i w szatach z najpiękniejszej tkaniny. Sześciu giermków jechało w otoczeniu rycerza, każdy z trąbą mosięzną, by ogłosić jak najwspanialej przyjazd pana przed książęcym zamkiem.

„Kiedy stara niewiasta ujrzy moje dostatki — myślał w drodze Lubina — kiedy giermków zobaczy i posłysz, jak trąbią przed jej domem, będzie dla mnie przyjazna. Od Marcina odkupi ziemię, którą sprzedała głupiemu chłopu. Wtedy ja jej przyrzeknę dobrą cenę, a pani owa pole z kolei sprzeda mnie”.

Stara księżna mile przyjęła chciwca w gościnę. Zastawiono trzy stoły samym złotym naczyniem, a pieczeni, kołaczy tyle zniesiono z kuchni, że nie sposób ich było policzyć ani samemu Lubinie, ani też jego sześciu giermkom.

Cóż dopiero skosztować!

Jedli wszyscy i pili, rycerz pochlebiał starej księżnie, sławił piękność jej sukien, słodycz wina i przewyborny smak potraw.

Pani rada gościowi, ucieszona pochlebstwem, ledwie wstali od stołu, nakazała pisarzom wziąć inkaust, \* pergamin i co prędzej napisać list do chłopca z Przesieki, gospodarza Marcina.

*Ziemię swoją mi sprzedasz razem z domem i sadem — głosił list — chcę z powrotem mieć owe pola dla siebie...*

Nim Lubina odjechał, stara księżna kazała pisarzowi zamkowemu zawieźć list do Przesieki.

Ruszył pisarz na karym podjezdku, troskliwie list pani ukrywszy w zanadrzu.

Kiedy się zjawiał na drodze do wsi, między dwoma rzędami topoli, Marcin dojrzał go ze swego wzgórza z daleka, bo właśnie był na podwórzu i poił konie u studni. Poznał pisarza po czarnym kaftanie, którego poły rozwiewały się na wietrze jakby dwa skrzydła i po tym, że mąż ów niezdarne się trzymał na koniu.

„A z czymże ten jedzie? Czy do mnie?” — pomyślał z niepokojem tym większym, że wysłannik starej księżny skręcił właśnie z gościńca na polną drogę, wiodącą ku Marcinowej zagrodzie. Był coraz bliżej.

Posłyszała tętent młoda gospodyni, wybiegła z chaty i zatroskana stanęła przy mężu. Bieluchne szlarki od czepca trzęsły się nad jej czołem. Drżała.

Posłaniec wjechał na wymiecione do czysta podwórze.

— Pismo do was, Marcinie... Od mojej pani... — rzekł, z trudem niemalym zeskoczywszy z konia, i podał gospodarzowi zwinięty w rulon pergamin, z którego zwieszały się na taśmach jedwabnych dwie wielkie czerwone pieczęcie.

— Pismo od księżnej... Czego chce pani? — posłyszał Marcin tuż koło siebie trwożny szept jasnowłosej żony.

— Zaraz się dowiesz... Zobaczę — i Marcin otworzył w milczeniu list; czytał powoli, jakby nie wierząc temu, co głosiły czarne, podobne do chudych robaczek litery.

— Maryna... — rzekł cicho do gospodyni. — Maryna... — i nie dokończył zdania.

Pisarz odjechał tymczasem szybko, spieszył się zapewne do zamku, by powiadomić panią o wypełnionym poleceniu.

Dwoje ludzi w zagrodzie pozostało w smutku i niepewności.

— Sprzedać ziemię? Dlaczego? — rozmawiali z sobą przy nie tkniętej wieczerzy. — Już uprawną, a przecież kupiłeś ugory!

— Po co księżnie zagroda? — dziwowali się ludzie w całej wsi. — Przecież ma wielki zamek, sześć folwarków i młyny.

Dziwne zdało się wszystkim w Przesiece niespodziane życzenie pani. Dziwne pismo i pośpiech, z jakim je do Marcina przysłała. Zeszli się mądrzy ludzie do zagrody na wzgórzu, aby radzić i wszystko roztropnie rozważyć.

Tak mówili i tak, aż kowal, człowiek bardzo przemyślny i w świecie bywały, swoim jasnym rozumem ją tłumaczył zebrany:

— Widzę tu ludzką chytrą i to nie księżny, bo przecież niewiasta jest stara, z domu rzadko wyjeżdża, zła przy tym nie jest, tyle tylko, że rozumu wielkiego nigdy pani nie miała.

— Ktoś namówił ją zatem! — wykrzyknęła Maryna. — Posłuchała jakiegoś przechery!

— Otóż tak... Bo wszelkie nagłe i niewczesne zamiary wypływają z namowy — przy tych słowach kowal chwilę pomyślał, potem rzekł:

— Wiesz, Marcinie, jedź sam do księżny i poproś, by zmieniła swą wolę. Powiedz jej, że to krzywda dla Maryny i ciebie, i dla wsi, bo tu wszyscy w zgodzie żyjemy sąsiedzkiej... Rzeknij też, jak tę chatę sam stawiałeś, a przy naszej pomocy, jak tu każdy najmniejszy sęczonek swoją ręką przycięty, każda deska łupana toporami sąsiadów... Wspomnij, jak to z Przesieki przyszli ludzie ratować pani las, kiedy płonął... Jeśli ciebie wyżenie z tej zagrody i pola, to na nic zgoda z nami! I nigdy, nigdy żaden z przesieczan nie zapomni jej tego.

— Prawdę mówisz, kowalu! — zawołali zebrani. — Rozum masz! Jedź, Marcinie... Nie czekaj, bo ów chytrzec, co księżnę przeciw tobie nastawił, będzie dalej ci bruździł. Jedź!

Z tym się ludzie rozeszli.

Rankiem wóz wymoszczono, zaprzęgnięto bułanki. Marcin przywdział odświętny, śląski strój: granatową kamzole \* i skórzoki \* irchowe. Wziął z sobą lipcowego miodu dwie dzieje i sześć kur, co najlepszych — w upominku dla księżny.

Ruszył z domu, Maryna długo za nim patrzyła. Spoglądali i sąsiedzi ze swych okien, a pieski aż pod same rozstaje odprowadziły młodego, raźnie przy tym czekając.

Prawdę kowal powiadał: stara księżna rozumu wielkiego nie miała, lecz i zła nie była, toteż kiedy gospodarz stanął przed nią z darami, kiedy wspomniał Marynę i rzekł wszystko tak, jak mu roztropny kowal doradził, przemówiła łaskawie:

— Ziemię chciałam odkupić, nie dla siebie, lecz na to, by ją sprzedać rycerzowi Lubinie. To człek możny, bogaty, bardzo przy tym układny i wymowny mąż z niego. Prosił grzeecznie, nalegał. Obiecałam więc jemu twoje pola... zagrodę... sad... pasiekę...

— Ach, pani... — jęknął Marcin i twarz jego silnie pobladła.

— No, a teraz, mój chłopcze, co mam robić? — tu księżna spoglądała dokoła bezradnie wypukłymi, czarnymi oczami. — Co robić? Słowa cofnąć nie mogę. Ot, chyba tu widzę jedną radę. Jeśli rycerz Lubina tego kupna poniecha, to i ja nie nalegam. Możesz wtedy jak dotąd mieszkać w swojej zagrodzie. Poproś przeto Lubinę...

Ruszył w drogę gospodarz, brzegiem Bobru, jak niegdyś. Znowu puszcza szumiała mu nad głową liśćmi dębów i buków. Znowu wiatr śpiewał w trzcinach.

Jechał Marcin dzień cały, już trąbiono na wieżach Bolesławca, by podnieść zwodzony most i zamknąć bramy, kiedy kopyta bułanych koników zadudniły po drewnianym bruku przed domem Lubiny. Po dawnemu było to okazałe, rycerskie siedlisko, z wielkim gankiem rzeźbionym, a w oknach z gomółkami \* szkła w ołowianej oprawie. I porzecz powiewał nad bramą jak dawniej, tylko stróży nie było znajomych — pomarł dziad, a pacholek powędrował gdzieś szukać lepszego zarobku. Stróżowali dwaj inni, obaj z ludzi czeladnych.



— W domu pan? — spytał Marcin.

— W domu — rzekli — a ktoś ty?

— Jestem Marcin z Przesieki, dawny sługa, i proszę mi zawieść przed oblicze rycerza.

Otworzono mu bramę, by wprowadził konie i wóz. Bzy rozrosły się bujnie, ocieniając dziedziniec. Stał Marcin przed gankiem, a giermkowie pobiegli do rycerza oznajmić o jego przybyciu.

Lubina siedział przy oknie na ławie w swej myśliwskiej komnacie i przebierał w skrzynce między grocikami do strzał. Posłyszawszy od giermków, że dawny jego sługa, Marcin z Przesieki, stoi przed gankiem i czeka na posłuchanie, aż zatrząś brodą z uciechy jak kozioł i wychylił do dna pucharek wystającego miodu.

— Hehehe! — śmiał się na całą komnatę. — To mi gość niespodziany. Przywiedźcie go tutaj — zwrócił się do giermków — niech posłyszę, jaką ma do mnie sprawę.

Po niedługiej chwili Marcin stał przy drzwiach z czapką w ręku. Teraz Lubina widział przed sobą już nie ubożego chłopca, lecz młodego siedlaka z dostatniej zagrody, mężczyznę o pięknej postaci i urodziwym jeszcze licu. Nowe szaty stroiły go tak nadobnie, że Lubina z podziwem pokręcił głową.

— Więc to ty? — wyrzekł przeciągle, jakby nie dowierzając swym oczom. — Marcin?

— Tak, panie.

— I cóż cię sprowadza tutaj, mój dawny sługo? — zapytał chytrze rycerz niby to nie domyślając się wcale, jaka przyczyna przywiodła siedlaka do Bolesławca.

— O pola mi chodzi, które kupiłem kiedyś od księżny — zaczął spokojnie Marcin — przyszedłem do was z prośbą. Poniechajcie ich, nie zabierajcie mi domu. Byłem u księżny, prosiłem i ją. Pani rzekła, że o ziemię moją nie stoi, że poniecha sprawy, jeśli wy... — tu głos Marcina wyraźnie drgnął, a ręce silnie ścisnęły sukienną czapkę.

— Ach, więc o to ci chodzi! — wykrzyknął z udanym zdziwieniem Lubina. — O tak małą rzecz? Przecież, jak powiadają wszyscy w mieście i okolicy, jesteś teraz bardzo bogaty! Możesz zbudować sobie nową chatę i kupić nowe pola!

— Mogę, ale te pola uprawiałem własnymi rękami, ze starym ojcem, póki żył jeszcze. Osuszyłem bagno, postawiłem na rzece młyn — w chacie jest gospodyni, sama chatę bielila i przystrajała, sama sadziła malwy pod oknami — mówił Marcin pełen zmartwienia i żalu.

— Dobrze — odezwał się po chwili Lubina. — Jeśli tak miłujesz swój dom i rolę, zostawię ci je, ale za to musisz mi powiedzieć, jakim sposobem doszedłeś do swego bogactwa. Czy kopiesz na swych polach srebro? Czy na dnie strumienia znajdujesz złoto?

— Nie, panie — odpowiedział Marcin. — Srebrem na moim polu jest tylko żyto, złotem sama pszenica.

— Więc jak?

— A tak, panie... Posłuchajcie, co powiem.

Lubina wskazał mu miejsce na ławie przy otwartym oknie. Marcin siadł i westchnąwszy głęboko zaczął opowieść:

— Widziałem Złotego Kaczora...

Nie taił przy tym niczego.

Lubina słuchał z zapiętym oddechem, oczy mu pały. Dolewał sobie coraz to miodu ze dzbana, postawił również przed Marcinem pucharek.

— Złote pióra... — wzdychał — złote pióra...

A kiedy Marcin skończył, chciwy przechera rzekł:

— Dziwy mi tu powiadasz, chłopie. Dziwy niesłychane. Wszelako i tak być może. Skoro jednak chcesz, bym poniechał kupna twojej ziemi, musisz jeszcze coś więcej uczynić dla mnie. Oto chcę, byś poszedł wraz ze mną na brzeg, kędy się ptak pojawia i dopomógł mi znaleźć złote pióra... Muszą tam być, muszą leżeć gdzieś w trawie albo pomiędzy trzcinami. Kaczor na pewno je tam pozostawia.

— Dobrze, panie — rzekł na to Marcin — tylko łuku już teraz ze sobą nie zabierajcie.

Dnia następnego wieczorem przybyli nad rzekę i skryli się za pnem samotnego dębu, który zwieszał swe gałęzie nisko nad wodą.

— To tu... — przypomniał sobie Lubina. — Pomnę dobrze, to tu.

— Stójcie spokojnie, panie — pouczał go Marcin — już mierzchnie, tylko patrzeć jak na niebie błysnie księżycowy nów.

Czatowali wiele dni, aż na niebie ukazał się księżyc w nowiu. Lubina już począł srożyć się, już czynił wymówki chłopu, już groził, a serce Marcina znów wypełniło się obawą i boleścią.

— Zabierzcie, panie, dom i pole — rzekł w rozpaczy — tylko poniechajcie Złotego Kaczora!

Po tych słowach siadł na brzegu tuż blisko wody i twarz ukrył w dłoniach, by zły rycerz nie radował się jego cierpieniem. Jak bardzo było Marcinowi żal ziemi uprawionej własnymi rękami i domu, który stawiał z braćmi swej żony, a najwięcej młodej gospodyni, która miała odejść z izb przez nią samą bielonych i przystrojonych! Cóż było czynić jednak? Lubina nie tylko słyszał z możnego swego rodu i dostatków, znano wszędzie i jego zawziętość. Przebiegły był tyle, co chciwy. „Dla prostych ludzi lepiej usunąć się z drogi możnemu, niż go rozgniewać” — myślał Marcin z wielkim strapieniem.

Wtedy posłyszał, że w trzcinach wiatr śpiewa pieśń osobliwą, że w ich szeleście dźwięczy cichutkie granie. Odsonił lica i spojrzął na kępę wodnego ziela koło wysepki; Złoty Kaczor wypłynął właśnie z szuwarów i zdążał prosto ku Marcinowi, jakby dostrzegłszy go z daleka, a siał dokoła najpiękniejszy blask.

Lubina wysunął się zza dębu blady, zmieniony; na widok złotego ptaka ogarnęło go prawdziwe szaleństwo. Coś szeptał beładnie, coś gadał do siebie trącając krzewy wyrosłe w pobliżu dębu.

— Cicho bądźcie, panie! — szepnął Marcin. — Kaczora nie płoszczcie...

Ptak przepłynął koło nich, tuż blisko brzegu, dążył teraz Z nurtem rzeki, oddalał się wolno, a na falach za nim kołysały się wielkie złote pióra. Powoli pograżały się w wodzie, świecąc w niej jasnym blaskiem.

— Zostaniesz, chłopie, na gospodarce — rzekł chciwiec. — A ja zaraz te pióreczka złowię. Tylko czasem nie chodź za mną. Nie chodź, Marcinie! Mówię ci!

Wszedł do wody i brnął przez ciemną toń w kierunku oddalających się piór. Wyciągnął rękę, chciał pochwycić złoto, lecz fala uniosła je dalej... Sięgnął znowu i znowu pióra odplęły sunąc po dnie coraz dalej od brzegu.

Ptak skrył się już w szuwarach i dokoła panowała ciemność. Tylko wysoko na niebie świecił nów, a pod nogami chciwca, na dnie rzeki, grudki złota. Lubina brnął za nimi coraz dalej od brzegu, zanurzony po pas. Schylał się, nurkował rozpryskując dokoła bryzgi wody, orał paznokciami po dnie. Złote pióra wymykały mu się ciągle spod palców i budziły w nim coraz gorętsze pożądanie.

Marcin spoglądał na niego z brzegu. Lubina był już daleko. Chłopa ogarnął strach, bo chciwiec zbliżał się nieopatrznie do głębokiej wyrwy w rzeczonym dnie, nad którą zwieszała swe gałęzie stara wierzba.

— Stójcie, panie! Tam topiel! Tam głębina! — zakrzyknął przerażony. — Wracajcie! Wracajcie!

Chciwiec nie słyszał jednak nic prócz pluskania wody, nie widział nic prócz blasku toczących się przed nim po dnie złotych grud. Rzucił się za nimi w nurty rzeki raz jeszcze. Pod ręką uczył ostry koniec pióra. Wymknęło mu się jednak i potoczyło do podwodnej jamy. Próżno wołał za nim Marcin od brzegu, próżno popłynął na głębiny ratować nieszczęśnika. Lubina nie dosłyszał go i nie dostrzegł wcale rąk chłopu niosących mu ratunek. Fale rzeki zamknęły się ponad głową chciwca, a tylko białe grzybienie, kwitnące na powierzchni wody,

spoglądały za nim pobladyłymi od lęku twarzami.

W dawnych czasach znajdowano złoża złota w rzekach śląskich, podobnie jak w górach. Mówią o tym nie tylko baśnie, lecz także stare księgi i pergaminy.

## KUŹNIK I PIĘDZIMEŹYK

Daleko było słyhać pieśń Jakuba Prokszy, kiedy powracał do swej kuźnicy \* o letnim zmierzchu. Niósł na ramieniu kilof \* z jeleniego rogu, prastary kopas \*, który mu został po dziadku, tak jak i kuźnia, dymiąca przez dzień cały nad brzegiem wartkiego strumienia, przytulona do zbocza góry Ślęzy, ukryta w głębi puszczy.

Kopas ów służył Jakubowi do podważania darni na dalekich łęgach \* leżących za lasem i do wybierania spod niej brył żelaznej rudy.

Pietrek Łabędź, bogaty rycerz, osiadł w zamczku kamiennym na szczycie góry, zgodził się właśnie z Jakubem Prokszą przed paru dniami i zezwolił mu za niewielkim czynszem na kopanie rudy na owych łęgach,

— Bacz tylko, Jakubie — rzekł przepijając do niego miodem w czeladnej izbie — byś mi zawsze na czas w swej kuźnicy przysposobił wszystko to, co mnie do wojaczki potrzebne będzie, a chłopom moim do trudu około roli. Bacz, by nie brakło w zamku Łabędziów mieczy, toporów i grotów, w siodle zaś moim pod Ślężą Górą pługów, siekier gospodarskich i noży.

— Nie braknie wam, Pietrku, niczego — rzekł Proksza. — By ino ruda zdatna była, a dymarze \* i szmelcerze \* w kuźni nie leniwi...

Na łęgach Piotrkowych znalazł Jakub rudę rzadkiej zacności — czystą, płytko leżącą pod darnią. Brunatnej była barwy, nie czerwonej i nie żółtej, znak to, że wiele się w niej zawarło żelaza.

Rad był Jakub, bo już rankiem dnia następnego posłać miał swych towarzyszy na łęgi, by kopali tam i świeżyli \* na ogniskach rudę. Nie dziw, że śpiewał pieśniczkę górniczą tak, jak niegdyś śpiewali ją ojciec jego i dziad:

*Teraz cetnar żelaza  
Do mieszyska zaś wraża,  
Aż się wielce wzbogacym...*

*W domu synek maleńki  
Patrzy na me uczynki,  
Na me ręce zmurcane!...*

Dzielni byli ślężańscy kopasynowie. \* Poradzili dobywać rudę kilofami z jeleniego rogu nie tylko na łęgach, spod darni, ale jeśli trzeba było, to czerpali ją i z dna bagien lub stawów, byle tylko starczyło żelaziaku na czas dla dymarzy. Ci pilnowali wytopu rudy w piecach hutniczych, zwanych dymarkami, \* a jak w zwyczaju było, pobudowanych blisko kuźnicy, na rozległej porębie leśnej, wykarczowanej z niemałym trudem jeszcze przez dziadów Jakuba Prokszy.

*A ja sobie połaża  
I zaś cetnar wyparza,  
Aby było chleba dość...*

Jakub skończył swą pieśń na tych słowach, bo oto nagle spostrzegł rzecz osobliwą.

Był blisko kuźnicy i poręby, na której stały dymarki, kopulaste piece z gliny. Dzień i noc podtrzymywano w nich ogień za pomocą miechów, dzień i noc pilnowali dymarze wytopu, zawsze daleko w lesie i nad strumieniem czuć było dym. Zawsze też gromada wypełniała porębę wrzawą swych głosów.

Teraz nie czuć było w powietrzu dymu, a dokoła zalegała dziwna, nie spotykana tu nigdy cisza. Wysokie drzewa przy drodze rzedły, w ich miejsce zjawily się krzewiaste kępy olszyny, po ziemi słały się kolczaste jeżynowe pędy.

Spomiędzy drzew i owych zarośli nie świeciło jednak złotym płomieniem ani jedno ognisko.

„Co to? — pomyślał z lękiem Jakub. — Co to się przydarzyło?” — Niedobre przecucie ścisnęło mu serce.

Nasunął mocniej czapkę na głowę i zaczął biec ku porębie. Przedzierał się przez kolczaste zarośla, przeskakiwał liczne strumienie, sączące się ze szczytu góry, ukryte wśród paproci i mchu.

Dokoła było cicho, tylko gdzieś daleko w puszczy kwilił nocny ptak. Zdyszany, pełen lęku, wpadł Jakub przez otwarte szeroko wrota swej zagrody na podwórze.

W kuźni ciemno. W domu wyrwano drzwi. W zapadającej ciemności dostrzegł skorupy potłuczonych naczyń, koło progu domostwa potknął się o połamaną ławę.

Na porębie za domem nie było słycać żadnych głosów, nie widać ognia.

Jakub rzucił się teraz ku dymarkom. Stały wygasłe, opuszczone, w ich wnętrzu stygła na pół wytopiona ruda.

„Tu byli zbójcy!... — przemknęło w myślach Jakuba. — Łotrowie! Cóż dziwić się? Ludzie zawsze gadają, że po kuźnicach bogato. Żelazne łupy \*, gotowe szyny \* — nie gorzej srebra się cenia, jeśli je tak udatnie odrobić, jak to u Prokszów czyniono... A przecież i gotowego oręza, toporów, noży i grotów stało w komorze za domem dwie pełne skrzynie...”

Westchnął, czuł, że go jakoś osobliwie zapiekły oczy. Przesiedział do świtu na progu pustego domu z twarzą ukrytą w dłoniach. Nad ranem zmorzył go sen.

Słońce wschodziło blade i zamglone, leniwo sączyło swe promienie na ziemię spomiędzy nawistych, kłębiastych chmur.

Proksza wciąż siedział na progu półdrzemiąc, zdrętwiały od nocnego chłodu i żalości. Naraz poczuł na opuszczonej ręce muśnięcie ciepłego futerka. Otworzył oczy. Zobaczył koło siebie psa Gacka, który łaścił się doń naszczekując cicho, jakby opowiadał o tym, co się przydarzyło w zagrodzie poprzedniego dnia.

Gacek wziął swoje imię od wielkich uszu, które sterczały mu prosto do góry nad małym łebkiem o wąskim lisim pysku, miał żółtorudą kudłatą sierść i puszysty ogonek. Wierny stróż zagrody spoglądał na Jakuba nieco wypukłymi czarnymi oczkami, a chcąc strapionemu gospodarzowi okazać swe przywiązanie — machał kosmatym ogonem.

— Gacuś... Gacuś... — powtarzał Jakub głaszcząc i tuląc do siebie zwierzę.

Cięzko mu było wstać i ruszyć się po obejściu. Z opuszczonej kuźni o ciemnym wnętrzu wiał na niego lęk, że może na klepisku u kowadła zobaczy Wojciecha szmelcerza z rozbitą młotem głową lub najmłodszego z kuźników, Siemka, przebitego włócznią.

„Ludzi uprowadzono, niektórych pewnie pobito — myślał wodząc oczami po zarzuconym wszelkim śmieciem dziedzińcu — insi to pewnie ze strachu zbiegli”.

Tegoż dnia jeszcze dowiedział się całej prawdy. Z lasu, z najdalszych gąszczów, przy-

wlókł się do zagrody wędrowny dziad, który łażąc po świecie zatrzymał się przed niewielu dniami u Jakuba.

— Łotrowie was najechali — zaczął smutną opowieść — nie wiedzieć jacy ludzie, ni skąd. Z wrzaskiem tu wpadli gromadą na koniach, a i pieszych wiedli dobre pół kopy. Nijak było się bronić, bo na jednego naszego onych trzech przypadało. Powiązali dymarzy i powiedli z sobą, z chaty dobytek, a z kuźni co lepsze narzędzia pobrali i w świat z powrotem! Jak burza przeciągali i jak wiatr rychło poszli. Wojciecha z Siemkiem wywlekli z kuźni, a jak ci dwaj chwycili topory, to zagrozili, że kuźnię i domostwo spalą. Poddali się obaj. Kto się zaś z ludzi wydarł tym zbójom, uciekał, gdzie oczy poniosą. Tyle pociechy, że tu nikogo nie ubito.

— Tak, dziadu — smutno pokiwał głową Jakub — nie ubito, bo łotrzykowie ci, jak wiadać, chwytają ludzi, by ich sprzedawać do niewoli. Bieda to sroga, żalność okrutna, a zmarnowanie wszystkiego.

Gacek wciąż kręcił się w pobliżu; lizał Jakuba po rękach i cichym skuczeniem zapewniał go o swej wierności i przyjaźni. Dziad posiedział trochę na przyzbie, a widząc, że strapiony gospodarz o żadnej dla niego nie myśli jałmużnie, przewiesił przez ramię swą łataną torbę i drogą wiodącą przez las ruszył w stronę Wrocławia.

Jakub pozostał sam. Rodziny nie miał, bo był z Prokszów ostatni. Z dawnej jego kuźnicznej gromady nie zechciał powrócić do niego żaden z ocalałych ludzi. Lękali się wszyscy pracować na pustkowiu. Ciągnęli ku większym siodłom \* i gromom, przystawali do gromad kuźniczych w Tarchalicach \* i Wołowie \*.

Z osad pobliskich, rzadko rozrzuconych po równinie podślężańskiej, też nikt nie zechciał przyjść Jakubowi do pomocy. Wyludniony był kraj po tatarskim najeździe i morowej zarazie tak srodze, że i u Pietrka we włości brakło rąk do orki i siania.

Nie każdy też mógł zostać kuźnikiem, bo to rzemiosło niełatwe. By mu podołać, zdrowia trzeba było wielkiego i krzepy, pilności, zręczności i uwagi. Kuźnik bowiem w owych czasach był hutnikiem i kowalem w jednej osobie.

Trafił się Proksza niemało, bo w okolicy kręcić się już poczęli przebiegli Niemczykowie, przepytywali o zagrody opustoszałe, wypatrywali w puszczy co lepsze drzewa, uradzali pomiędzy sobą, kędy postawić młyn w miejsce spalonego przez Tatarów, kędy mostek na rzece i kładkę na strumieniu.

Dziad wędrowny, który po czasie niedługim z Wrocławia powrócił, a w dzień świąteczny nawiedził po prośbie i gródek Pietrkowy na Ślęży, dopełnił jeszcze Jakubowi zmartwienia.

— Na własne oczy widziałem jednego grubego Niemca i dwóch chudszych; jak z Pietrkiem Łabędziem stali na ganku i pozierali na okolicę... Gadali coś do Pietrka i kręcili mu głowę okrutnie, aż ich słudzy przegnali potem, bo już rady nie było.

Spochmurniał Jakub na te słowa i zapytał:

— A nie słyszał tam który z pachółków, o czym gadali?

— Słyszał, słyszał... — pośpieszył z odpowiedzią dziad. — Nie co insze tam pletli, tylko to, żeby cię, Proksza, z kuźnicy wysadzić, a onym ją sprzedać razem z połacią lasu i z odkrywkami \* na łągach...

— Boże łaskawy! — złapał się za głowę Jakub.

— Ukazywali Pietrkowi — opowiadał starzyk dalej — że się z kuźnicy nie dymi... Gadali, że widno południa przesypiasz i o ludzi nie stoisz, kiej się rozpierzchli od roboty.

— Niedola... Bieda! — wzdychał kuźnik w srogim utrapieniu i spoglądał z żalnością na wystygłe dymarki, czerniejące na porębie. — Kuźnica! Prokszów kuźnica! Jakoż opuścić ją, kiej tu dziadowie jeszcze siedzieli? Karczowali las, stawiali dom, samą kuźnicę, płoty i szopy. Dokądże pójść? — biadał głośno. — Kędy się teraz obrócić?

Dziad milczał pełen frasunku, żując starannie skórkę zeschniętego chleba, która się jeszcze

znalazła w Jakubowej komorze.

Gacek łasił się do nóg Prokszy, lizał ręce gospodarza spękane i szerniałe od pracy u kowadła, jednakże pomóc nie zdołał ani łup żelaznych przekuwać, ani przy miechu robić \* nie poradził.

Spoczawszy nieco na przyzbie, ruszył dziad znowu na swą zwyczajną wędrówkę, Proksza zaś wziął się do liczenia i czyszczenia narzędzi, które jeszcze w kuźnicy zostały, a przy tej robocie o jakiejś radzie dla siebie przemyślał.

Gacek ruchliwy i żwawy pożywił się resztką chlebowej skórki, którą mu rzucił dziad, i wesoło szczerkając pobiegł do puszczy na swe codzienne psie trudy i zabawy. Postraszył odyńca leżącego w bagienku za olchami, pożartował z wiewiórką, rozpędził gniewnym szczerkaniem wrony krążące nad kępą wrzосу, w której ukrył się mały zajaczek, obwąchał ropuchę, napotkaną na leśnej drodze, aż znużony, z językiem wywieszonym na bok, wsunął się dla odpoczynku między leszczynowe krzaki.

Przypadł brzuszkiem do ziemi i ciężko dyszał. Ogarniała go senność, toteż piesek przeciągnął się, ziewnął, ale nim zwinął się w kółko do miłej drzemki, obyczajem swego rodu kilka razy obrócił się w miejscu, aby wygnieść sobie w trawie wygodny dołek.

Wtedy to poczuł, że jakiś twardy przedmiot uwiera go w bok. Podniósł się i obwąchał go starannie — przedmiot pachniał przyjemnie, trochę wiórami, a trochę starym rzemieniem. Gacek pochwycił go zębami za wystający brzeg, szarpnął i ku swej radości wydostał z trawy stary chodak pleciony z lipowego łyka, a dawno porzucony przez kogoś w krzakach.

Senność odeszła od Gacka zupełnie. Stary chodak! Czyż może być przedmiot bardziej odpowiedni dla psiej zabawy niżeli znoszone, miękkie już, ludzkie obuwie?

Wiedział o tym Gacek. Uradowany wypadł na drózkę pomiędzy drzewami, unosząc chodak w pysku. Łyko przyjemnie pachniało, więc piesek nie wypuszczając swej zdobyczy pobiegł z nią na polankę, leżącą przed wrotami domostwa Prokszy. Warcząc potrząsał w powietrzu chodakiem, kładł go na ziemi, to krył się w kępie łopianu i czałł, potem wypadł znieacka i znowu chwycił obuwie, by wlec je z kolei po ziemi, aż wreszcie zmęczony i zziębnięty, psim obyczajem przyniósł chodak do Jakubowej chaty i schował go w sieni, w ciemnym kącie za beczką, tak jak to zwykle z kośćmi czynił.

Nie wiedział piesek, że w tym chodaku mieszka ubożę — piędzimężyk, dobry, maleńki człowieczek z siwą brodą, w brunatnej kapicy na głowie i takimże kaftanie, tkanym z zajęczej sierści.

Sypiał on zawsze w dzień, bo nocą miał pełne ręce roboty. Wędrował bowiem po puszczy i świecąc sobie kawałkiem próchna odganiał sowy od ptasich gniazd. Nad ranem pomagał motylom wychodzącym z poczwerek prostować skrzydła, a kwiatom rozchyłać korony ku wstającemu słońcu. Prowadził do wodopoju i strzegł przed wilkiem sarniátko, któremu zabito matkę, uwalniał z zastawionych przez człowieka sideł cietrzewie i kuropatwy.

Kiedy poranna rosa opadała na ziemię, piędzimężyk zażywał kąpieli w dołku wygniecionym kopytem przez łosia i odświeżony, czyściutki, wracał do swego mieszkania w starym chodaku, gdzie układał się do snu na posłaniu z ptasiego puchu i zajęczego kwapiu. \*

Po całonocnej pracy przychodził zazwyczaj na piędzimężyka prawdziwie mocny, kamienny sen. Zatulony w ciepły puch człowieczek nie posłyszał Gackowego szczerkania, nie czuł też wstrząsów i ruchów swego domku, kiedy Gacek niósł chodak i wesoło nim potrząsał. Zbudził go dopiero na wieczór silny głód, tym więcej jeszcze odczuwalny, że do krągłego noska piędzimężyka doleciała dziwnie smakowita woń.

Proksza w tym czasie napalił w kominie i smażył w rynience słoninę na okrasę do jagieł. Piędzimężyk wyszedł raźnie ze swego mieszkania i rozejrzał się ciekawie po sieni. Cicho tam było i ciepło, ani wiatru, ani żadnej wilgoci. Podsunął się na palcach do samego progu i przez szparę w uchylonych drzwiach ciekawie zajrzał do izby. To, co zobaczył, wydało mu się bardzo przyjemne i obudziło zaufanie w maleńkim sercu piędzimężyka. Na ławie

siedział człowiek w szarej sukmanie i takichże samych łykowych chodakach, jak ten, który służył piędzimeżykowi za mieszkanie. Na kolanach trzymał wielką misę i coś z niej pożywał ze smakiem. Obok uszate psisko rażno zajadało swą wieczerzę z małej miseczki.

Wiadomo, jak bardzo przepada za dobrym jadłem każdy piędzimeżyk. Jak chętnie zwłaszcza pije mleko i jada kaszę ze skwarkami.

Mały człowieczek nie śmiał wejść do izby i prosić nieznanego gospodarza, aby i jemu użyczył nieco ze swego posiłku. Przyczał się więc za progiem i czekał.

Proksza tymczasem legł na swej pryczy wymoszczonej sianem i zasłanej kożuchem. Gacek przeskoczył próg i ledwie nie stratawszy małego człowieczka pobiegł stróżować koło domu. W kominie dopalały się smolne szczapy i rzucały na izbę nikłe światło.

Piędzimeżyk ośmielił się i przez uchylone drzwi wsunął do izby. Przeniknęło go od razu miłe ciepło, a woń dochodząca z rynienki wydała się ludkowi jeszcze przyjemniejsza. Stąpając cichutko po klepisku izby swymi cienkimi nóżkami w trzewikach uszytych ze skóry, którą właśnie niedawno zrzucił z siebie zaskroniec, krążył piędzimeżyk dokoła stołu i zbierał z podłogi rozsypane grudki jagieł, okruszyny chleba i odrobiny skwarek, które się zsunęły Prokszy z łyżki w czasie jedzenia.

Posilił się obficie, tak że już po małej chwili musiał rozluźnić na swym pełnym brzuchu krawkę, utkaną dla niego w prezencie przez starego samotnika, pająka drzewnego.

„Oj, dobry to musi być gospodarz, ten człowiek, który śpi na pryczy — myślał piędzimeżyk. — Pamięta o swoim psie! Ile to kaszy położył uszatemu do miseczki!”

Proksza nie spał tymczasem, bo bardzo trapiły go smutne myśli. Ze swego posłania dostrzegł ubożę i uśmiechnął się widząc, jak zbiera ono z podłogi i zajada ze smakiem okruszyny pozostałe z wieczerzy.

„Dobre jest takie ubożę — pomyślał — skrzętne, pomocne... Niechaj się u mnie zadowoli. Rażniej mi będzie z nim w chacie niżli samemu!” Zaraz też rankiem ustawił dla małego gościa koło progu miseczkę z żurem i skibkę chleba położył, a od tego czasu, ilekroć sam się pożywał, zawsze pamiętał o małym człowieczku.

A piędzimeżyk widząc, że mu gospodarz sprzyja, oswoił się zupełnie rozgościł na dobre w domu Prokszy. Zmienił też całkiem swoje obyczaje, bo jak ludzie sypiał teraz w nocy, a pracował w dzień. Któregoś dnia Proksza uprzątając sień wsunął beczkę głębiej do kąta, a tym sposobem odjął Gackowi dostęp do chodaka, tak że pies wkrótce zapomniał o przyniesionej z lasu zabawce i teraz już nikt nie mógł zakłócić pokoju w mieszkaniu małego człowieczka.

Ucieszony tym piędzimeżyk nazbierał w puszczy zajęczego kwapiu wymościł sobie nowe posłanie, a z pustego orzecha sporządził zgrabny instrument muzyczny, na którym wieczorami grywał bardzo pięknie. We dnie zaś pilnie pracował i wiele przysług oddał kuźnikowi. Ocalałym po najeździe łotrzyków kurom urządził wygodne gniazda, aby nie niosły jaj w łopianach, krowie hebdu \* do paszy przyrzucił, aby dawała tłuste mleko, psu budę ogacił, by deszcz mu kudłów nie moczył, aż obszedłszy cały dom i obejrzawszy w nim wszystko, zawędrował do kuźnicy, gdzie Proksza sam jeden zaprowadził na nowo robotę i przekuwał pozostałe jeszcze po napaści zbójców bryły surowego żelaza.

Ledwie piędzimeżyk przekroczył próg, zatętniło coś na drodze i sam Pietrek Łabędź z dwoma giermkami stanęli przed kuźnicą.

— Hej, Proksza! — zawołał rycerz. — Masz tu mój miecz do przekucia! A. śpiesz się, bracie, bo mi pilno go zażyć w turnieju!

Giermek doręczył kuźnikowi oręż w safianowej pochwie.

— A do tego — mówił Pietrek, wstrzymując cugłami rwącego się pod nim i tańczącego w miejscu kasztana — ukujesz mi grotów cztery kopy! Tylko bacz, bym na nie długo nie czekał! O zapłatę nie stoję — wołał już mknąc po leśnej drodze — dam, ileć się należy, tylko nie zwłócz mi z robotą!

Nie troszcząc się wcale o to, że w kuźni brakuje krążków surowego żelaza, a ludzi do roboty, rycerz i dwaj giermkowie pognali w puszcę, aż spod kopyt końskich rozlatywały się na boki grudki ziemi i kłaczki wyrwanej trawy.

Zafrasował się Jakub. Nie wykonać roboty dla Pietrka Łabędzia, znaczyło wydać kuźnicę w obce ręce. Przed oczami Prokszy stanął groźny obraz: oto gruby Niemiec, a z nim dwaj chudsi, uwijają się przy kowadle, inni zaś całą gromadą rozżarzają miechami od nowa ogień w dymarkach, które znowu pracują dla kuźni...

„Co czynić? Co mi tu czynić przystoi? — mówił do siebie Jakub oglądając miecz. — Temu uradzę, ale groty!”

Rozmawiając sam z sobą zabrał się Proksza do przekuwania Pietrkowego miecza, ostankiem węgla przygotował palenisko. Nie wiedział kuźnik, że piędzimężyk w najciemniejszym kącie pod ławą siedzi, na wszystko baczy i każde słowo ludzi czujnym uchem łowi.

Trudził się w kuźni do wieczora i omalże do omdlenia kuł przy kowadle i dmuchał miechem na żar paleniska. Ku zachodowi słońca miecz był gotowy. Jakub przetarł go jeszcze do blasku i złożył do skrzyni w izbie. Potem wyciągnął się na posłaniu prostując obolałe z wysiłku plecy. Spał jednak niedługo, smutne myśli nawiedziły go znowu, płosząc mu sen z powiek. Wstał przeto i udał się do kuźnicy. Tuż jednak za progiem chaty przystanął oniemiały i znieruchomiał od przemożnego zdumienia.

W całym obejściu i w kuźni było jasno jak w dzień od rozżarzonych palenisk kuźniczych i wesoło trzaskających ognisk na porębie. Dymarki ożyły: znowu się w nich wytapiała najlepsza czerwobrunatna ruda, znowu miechy podtrzymywały w piecach płomień i żar. A poruszali owe miechy drobnymi nóżkami maleńcy dymarze-piędzimężyki, wszyscy przebrani w skórzane fartuchy, jak przystało w kuźniczym rzemiośle.

Żużel pienił się po wierzchu roztopionej rudy, mali robotnicy zgarniali go łopatami. Przy dymarkach na kowadłach przekuwali szmelcerze łupy, owe bryły miękkiego jeszcze żelaza, skoro tylko dymarze wybrali je z pieca.

Nie policzyć, ile tam młotów stukało, nie spamiętać, ilu się przy robocie uwijało piędzimężyków, przybranych w bure kapice i fartuchy, gwar się unosił nad porębą, szum głosów trudzącej się gromady nie ustawał jak w pszczelim ulu.

Jakub skrył się za węgiel chaty i z gęstwy łopianów pozierał na maleńkich kuźników. Nadziwić się nie mógł, jak składnie im szła robota, bo niczego do niej nie brakło. Oto dostrzegł na krańcu poręby mielerze, w których węgielnicy-skrzaty przysposabiały węgiel drzewny, potrzebny do utrzymania ognia w dymarkach, na leśnej drodze zauważył wozy ładowne z kęsami już wyświeżonej rudy. Ciągnęły je kozły i jelenie, a mali woźnice pokrzykiwali wesoło.

— Co się to dzieje... — szeptał Jakub — co się to dzieje...

Skradając się między kępami hebdu i wysokim łopianem okrążył Proksza dom i przez okienko w tylnej ścianie zajrzał do kuźnicy. Aż huczało tam, aż dźwięczało od roboty — maleńkimi kleszczami dobywali kowale rozżarzone kęsy żelaza z paleniska, na którym płonął czerwony ogień równym blaskiem. Inni przekuwali je już teraz na kowadełkach w kształt grotów do włóczni i grocików do strzał. A nad tym zgodnym i pięknym trudem gromady unosiła się jak granie wiatru na wiosnę i jak nie milknący świergot ptasi stara kuźnicza pieśń:

*Teraz cetnar żelaza,  
Do mieszyska zaś wraża...*

W skrzyni stojącej przy progu zobaczył Jakub dziesiątki gotowych już, błyszczących i pięknie odrobionych grotów.

Radość ogarnęła kuźnika, chciał biec do maleńkich swych pomocników i od serca im podziękować. Wstrzymał się jednak i pozostał z dala nie mieszając się do roboty, przypo-



mniał sobie bowiem to wszystko, co w kuźniczej gromadzie o tych ludkach maleńkich powiadano. Kuźnik pracuje za dnia, piędzimeżyk pomaga mu nocą. Nie lubi, kiedy człowiek staje przy nim, gniewa się wówczas, porzuca narzędzia, odchodzi i nigdy nie wraca. Zapłaty żadnej nie przyjmie, bo człowiekowi pomaga nie jako najemnik, lecz jako towarzysz i brat w tym samym rzemiośle.

Tak więc Proksza niepostrzeżenie postawił na progu kuźni dzbanek piwa, gdyż piędzimeżyk, podobnie jak kuźnik ludzkiej natury, przy robocie chętnie swe pragnienie gasi. Tuż obok dzbanka postawił miseczkę, do której nakruszył chleba i nadrobił sera, a czynił to bardzo cicho i zręcznie, by pracowitych człowieczków nie spłoszyć.

Ci uwijali się nie spoczywając ani chwili, aż w Jakubowym kurniku po raz trzeci zapał jarzębaty kogucik. Proksza oddalił się wówczas cicho do chaty, a mali kuźnikowie sobie tylko wiadomym sposobem skryli pod ziemię mielerze i dymarki i znikli gdzieś sami. Tylko w szopie za kuźnicą poukładali w skrzyniach grotty, które wykuli nocą dla rycerza Pietrka Łabędzia.

Dziwował się Proksza pięknej robocie i nie szczędził dla swej czeladzi piwa ni miodu, które porozstawiał w miseczkach i dzbankach po różnych kątach swego obejścia.

Pietrek Łabędź też rad był z grotów i miecza, a w zapłacie przysłał kuźnikowi trzosik dobrze wypełniony srebrem.

Każdego dnia dymił teraz komin w Jakubowej kuźnicy i błękitną smugą wijącą się ponad lasami oznajmiał okolicy, że Proksza nie zasypia południa i pilnie u kowadła pracuje. Każdego ranka znajdował Jakub w skrzyni przygotowane nocą przez piędzimeżyków krążki surowego żelaza, a pod ścianą na podwórzu stos drzewnego węgla, który mu do całodziennego roboty wystarczał.

Pietrek Łabędź, a nawet chłopci z pobliskiego siodła dawali mu coraz to nową robotę, za którą płacili to pieniądzem, to wszelkim domowym zapasem.

Dobrze się teraz działo Jakubowi, w jego chacie nie brakło ni płótna na koszule, ni mąki na podpłomyki i kołaczki. Co dzień pożywał teraz okraszone jagły, a piwa i miodu pijał do syta: bo jeśli któregoś z kuźników wspomagała gromada owych człowieczków drobnych i robotnych, piędzimeżykami zwanych, wszystko mu się darzyło tak w zamysłach własnych, jak i w robocie.

Zwiedziała się o dostatkach Prokszy wdowa jedna piękna i to sprawiła, że się kuźnik w niej rozmiłował i za małżonkę pojąć obiecał.

— Nim do wesela przyjdzie z tobą, Jakubie — rzekła kiedyś baba kuźnikowi — przybędę do twego domu wraz z moimi sąsiadkami, by zrobić u ciebie wielkie sprzątanie.

— Dobrze, Kasiu — rzekł Proksza wdowie — przybywajcie i czyńcie po waszej myśli.

Ledwie tedy rozedniało dnia następnego, pojawiły się na podwórzu przed kuźnikową chatą trzy baby ze srogimi miotłami w ręku.

Jakub przyjął je godnie, uwarzywszy pszennych zacierok, a kiedy pośniadały z nim razem, odszedł do kuźnicy. Kasia zaś w czerwonej chuście na głowie i w wielkim fartuchu, co rychlej, przy pomocy dwu swoich sąsiadek, rozpoczęła sprzątanie.

— Precz mi stąd, pchlarzu! — wrzasnęła na Gacka zdzieliwszy go miotłą. — Do lasu, darmożjadzie, bo ci te wielkie uszy oberwę!

Wystraszony pies rzucił się w łopian z podwiniętym ogonem, a stamtąd pognął w puszcę, przyrzekając sobie święcie w poczciwym psim sercu nigdy się więcej nie pokazywać wdowie na oczy.

Posłyszawszy Kasinę gniewne okrzyki Proksza wyjrzał z kuźnicy, a choć zmiarkował, że Gacka pokrzywdzono, nie stanął w obronie przyjaciela, bo rozmiłowany był w Kasi i nie chciał się jej przeciwzić.

— Buch... Buch... Buch... — trzepała wdowa gałęzią Jakubowe kozuchy, aż wystraszone kury z gdakaniem pierzchały z podwórza. Obie sąsiadki tymczasem rozpoczęły sprzątanie

sieni. Wysunęły beczkę z ciemnego kąta i głośno wyrzekając na jej ciężkość wytoczyły na podwórze; Kasia zaś, wytrzepawszy już kozuchy, pochwyciła miotłę i szurając nią ochoczo po podłodze wymiotła z kąta stary chodak, w którym piędzimeżyk właśnie ułożył się na spoczynek. Ujawszy krzepką ręką zniszczone obuwie Kasia wyrzuciła je do zarośli za wrotami, a towarzyszki w ślad za nim cisnęły miseczki z kaszą i miodem.

Zbudzony ze snu hałasem dobrotliwy człowieczek przeraził się tak okrutnie, że wyskoczył ze swego domostwa, nim jeszcze chodak spadł na ziemię.

— Mysz! Mysz!

— Ropucha! — zakrzyczały baby biegnąc za nim i o mało nie zdeptały go wielkimi nogami.

Zgubiwszy w ucieczce kapicę i trzewiczki ze skóry wężowej, bosi i wystraszony piędzimeżyk schronił się do najciemniejszych gąszczy i przypadł do ziemi zagrzebawszy się w suche liście. Obiecał sobie nocą odszukać chodak, swe ulubione mieszkanie i wraz z towarzyszami przeciągnąć w bezpieczne miejsce, tymczasem zaś gorzko płakał rozżalony, że za pilne staranie i pomoc tak bezpiecznie go potraktowano.

Baby przetrząsnęły cały dom wyrzucając to wszystko, co im się wydało nieporządne.

Proksza zostawał cały czas przy robocie i nie zazierał do domu, by przyszłej gospodyni w niczym nie przeszkadzać. Wieczorem za to nie było już komu wzywać robotnych piędzimeżyków do kuźni — nocą nie płonął w niej ani jeden węgielek i ani jeden mielerz nie dymił na porębie. Dobrego człowieczka bowiem niepoczciwie z domu Prokszy wygnano. Na wieść o tym jego gromada z daleka omijała kuźnicę.

Stanęła robota, bo Proksza znów nikogo sobie nie mógł znaleźć do pomocy. Opustoszały dzieże i worki w komorze. W chacie nie było dostatku i wdowa coraz dalej odsuwała dzień swego wesela z kuźnikiem. Daremnie Proksza udawał się do niej raz i drugi, by o godach pomówić. Za każdym razem słudzy mówili, że Kasia jest u rodziny swojej daleko, aż pod Wrocławiem. Za trzecim razem nie otworzono mu nawet drzwi, za czwartym powiedziano, by wracał do siebie, bo Kasia pierścień zamieniła już z piekarzem i jego to żoną we Wrocławiu zostanie.

Tak oto żył teraz Proksza zupełnie sam, bez pomocy i bez przyjaciół, czuł, że opuszczają go siły. Nawiedził go tylko wędrowny ubogi dziad.

— Oj, Jakubie — rzekł ze smutkiem — znów na Ślężej Górze, w zamku Pietrka Łabędzia, kręcić się poczęli Niemczykowie. Namawiają rycerza, by im swą kuźnicę sprzedał, a ciebie odprawił... Bieda, Jakubie, niedola...

Zapłakał kuźnik, a że tym razem żadnej nie znalazł rady, ze zmartwienia wielkiego popadł w ciężką chorobę. Leżał w izbie na swej pryczy bezradny i słaby. Do kuźni nie zachodził nawet, bo i łatwych prac nie mógł teraz wykonać.

Mijały dni w opuszczeniu i głodzie, aż kiedyś wieczorem posłyszał Jakub nagłe drapanie do drzwi od sieni; otworzył je i zobaczył, że to powrócił do domu Gacek, wychudły i wyleniały, lecz zawsze swemu panu szczerze oddany.

— Gacús... Gacús!... —zawołał Proksza wzruszony. Jakże wstyd mu było, że tak wiernego przyjaciela pozwolił z domu swego wypędzić i obić! Jakże cieszył się i radował, że Gacek powrócił!

Choć osłabiony chorobą, podniósł się jednak Proksza i budę psa wyrzuconą przez złe niewiasty ustawił na dawnym miejscu, koło drzwi chaty, naprawił ją i wysłał świeżym sianem. A Gacek zadomowił się w obejściu na nowo i po dawnemu zaczął swe psie zabawy i gonitwy po lesie. Znowu słyhać było na drodze między jodłami jego wesołe szczekanie, którym dogadywał wiewiórcę lub wypłaszał z bagienka starego wieprza samotnika o grzbiecie zjeżonym czarną szczecina.

I znowu wywęszył Gacek w zaroślach stary chodak, pleciony z lipowego łyka, odgrzebał go spomiędzy liści i przyniósł jak niegdyś do sieni.

Piędzimeżyk dostrzegł to, bo właśnie znajdował się blisko swego domu, ratując motyla z pajęczej sieci, a że nie chciał tracić mieszkania, które nade wszystko sobie upodobał, podążył za Gackiem i spostrzegł ku swej uciechu, że pies ustawia chodak w ciemnym kącie sieni na dawnym miejscu. Bał się jednakże zamieszkać w nim od razu, obszedł więc dom, nasłuchiwał, ale nie dostrzegł tam nikogo prócz gospodarza leżącego na posłaniu i bardzo smutnego. Ukryty w łopianach poczekał do wieczora. Srogich bab nie było widać w domu, przeto piędzimeżyk zrozumiał, że gdzieś na dobre odeszły, zamieszkał znów w chacie Jakuba Proksza, w lipowym chodaku.

Wieczorem, gdy na kominie dopalały się smolne szczapy, a Proksza ukończył posiłek, dobry człowieczek wyszedł z ukrycia, by pożywić się nieco okruskami chleba. Dostrzegł go kuźnik i radość wielką wypełniła jego serce. Bo jakżeby inaczej być mogło, jeśli wracają do nas przyjaciele!

W komorze było teraz niewiele do jedzenia. Proksza zebrał nieco okruszków chleba i wysączył do miseczki ostatnie krople piwa z beczułki. Wszystko to zaniósł na dawne miejsce i ustawił przed progiem. Piędzimeżyk ośmielił się, bo poznał, że rad mu jest gospodarz i zjadł ze smakiem ten skromny posiłek; nie bał się już nikogo, poszedł przeto do kuźni zobaczyć, co się tam dzieje. Cicho było w niej i pusto. Na palenisku szarzał tylko zimny popiół, a w nim spoczywał ledwie ruszony młotem krążek. Wszędzie po kątach wisiły pajęczyny.

Na ten widok dobry człowieczek zapomniał o krzywdzie, którą mu wyrządzono, i wziął się do roboty wezwawszy na pomoc swoją gromadę. Mali kuźnikowie postanowili i tym razem przyjść z pomocą biednemu Proksza. Ledwie się ściemniło, zapłonęły na porębie ogniska. Przy mielerzach stanęli węgielnicy, przy dymarkach dymarze, a przy kowadłach i paleniskach kowale. Nim w kurniku zapiał po raz trzeci jarzębaty kurek, nagotowano i węgla drzewnego, i surowego żelaza; uprzątnięto kuźnię i napalono w niej, aż dym prostym słupem wzbił się w niebo.

Rankiem dojrzał go ze szczytu góry Pietrek Łabędź, który wyszedł na wał grodowy i spozierał po bezkresnych lasach i polach u stóp Ślęży.

— Proksza przy kowadle! — rzekł, ukazując swemu włodarzowi dym. — Odprawić niemieckich rzemieślników!

Baśń ta nawiązuje do najdawniejszego hutnictwa na ziemiach śląskich, które łączyło się wówczas ściśle z kowalstwem. Kuźnika uważać można za kowala i hutnika w jednej osobie. Tradycja ludowa na Śląsku głosi, że ubożę, krasnal lub piędzimeżyk opiekuje się nie tylko domem lub gospodarstwem człowieka, lecz także jego pracą, a nawet miejscem pracy, jak na przykład kuźnica lub odkrywka, z której pobiera się rudę.

## SZTOLNIA W SOWICH GÓRACH

Na wiosnę w Sowich Górach rozkwitają śnieżyce \*. Bieleją na stokach pod cienistym modrzewiem, pod brekinia \* i bukiem jak prawdziwy kobierzec. Rosną ciasno przy sobie. Niewysokie, tylko po jednym kwiatku wydają z cebulki. Listki ich ciemnozielone, równowąskie i lśniące otulają pąk, jakby chroniąc go przed podmuchem zimnego wiatru.

Każdy płatek w koronie zdobi zielona plamka, a z daleka śnieżyce wyglądają jak dzwonki, które pospieszyły rozkwitnąć wcześniej od letnich swych braci, liliowych.

Kiedyś, przed laty, piękna Lukierda wiała wieniec z tych kwiatów. W ciepły ranek

siedziała na omszałym kamieniu pod zielonym modrzewiem

U jej nóg szumiał potok i odbijał w swych wodach śliczne liczko dziewczyny i zręczną postać odzianą w lekkie suknie.

Lukierda wsparła o mech drobne stopy w czerwonych trzewikach, a wiatr rozwiął jej po plecach jasne włosy podobne najcieńszym lnom. Choć dokoła niej kwitły wonne kwiaty i zieleń się trawa, choć czyżyki i zięby wesoło śpiewały na gałęziach modrzewia, dziewczyna smutna była i zamyślona. Raz po raz odkładała na pół dopleciony wieniec, nasłuchiwała uważnie i spoglądała po lesie, jakby na kogoś czekając.

Rozchyliły się krzaki i wyszedł z nich ku dziewczynie młodzieniec, odziany tak, jak wiejscy pacholcy, w kamizelę, koszulę, porty z sukna, chodaki. Jego kłamrę u pasa zdobił znak: skrzyżowane dwa młotki. Prawy, zwany perlikiem, zaokrąglony był na kształt łuku, koniec drzewca w tym młotku nie wystawał górą ponad żelazo. Lewy młotek — żelazko — był odmiennego kształtu: trzonek jego wychylał się ponad żelazo.

Kto zobaczył ten znak, poznał w młodzieńcu gwarka \* trudniącego się dozywaniem z ziemi cennych kruszców i rudy.

— Miłoz! — ręka Lukierdy wyciągnęła się wdzięcznie z powitaniem.

Młodzian podbiegł i ujął białą dłoń. Na twarzy jego promieniała radość.

— O, jak się cieszę, że cię widzę, Lukierdo! Tyle dni przychodziłem, a nie było cię tutaj!

— Ojciec wiele roboty mi wyznaczył — rzekła Lukierda. — Przędłam, tkalam i piekłam chleb. Teraz wyruszył w podróż. Po wino i drogie materie.

— Widzę cię znowu! Jesteś jeszcze piękniejsza! — cieszył się młodzieniec. — Ale co to? Lukierdo! Ty masz pierścień na palcu! Drogocenny, wspaniały. Błyszczący w nim modry kamień. Przedtem go nie nosiłaś...

— Tak, Miłozu, tak — głos Lukierdy był cichy, a brzmiał w nim serdeczny smutek.

— Kto dał ci ten pierścień? — wyszeptał z niepokojem gwarek. — Powiedz, nie kryj przede mną!

— Ten pierścień dał mi ojciec — odpowiedziała dziewczyna. — To rzeczywiście piękny klejnot, ale nie cieszy mnie ten dar... Och, żebyś wiedział, Miłozu, jak uciska on mój palec! Jak cięży ten drogocenny kamień memu sercu! Ojciec podarował mi go dlatego, żebym się miała czym zaręczyć, kiedy tylko wróci ze swej podróży. Mam dać ten pierścień możnemu rycerzowi, który będzie prosić o moją rękę... Ojciec nakazuje mi poślubić bogatego pana... A ja wybrałam ciebie, Miłozu... I tobie, tylko tobie chciałabym dać ten pierścień... Bo miłuję ciebie!

— Lukierdo! — wykrzyknął gwarek. — Srogą nam dołę gotuje twój ojciec. Nie! Nie możesz poślubić rycerza...

— Nie mogę, Miłozu...

Dziewczyna doplotła przy tych słowach równiutki wieniec ze śnieżnobiałych pachnących kwiatów, włożyła go na głowę i zwróciła twarzyczkę ku chłopcu, czekając, by wieniec pochwalił.

— Jesteś sama jak leśny kwiat — wyszeptał Miłoz pełen zachwyty. — Czyż można ci serca nie oddać na zawsze?

— Więc radźmy, co czynić! Jak ojca przebłagać?! — w oczach Lukierdy zabłysła nadzieja. — Chodź, przejdziemy się trochę. Dzień taki jasny. Słońce ozłaca góry.

Ścieżka zawiodła ich rychło ku skałom; porysował je deszcz, pokruszyły wichry, mróz poczynił szczeliny w szarym łupku \* i gnejsie \*.

Ponad lasem, wysoko, jeszcze w śniegowym czepcu, otulony obłokiem, drzemał szczyt — Wielka Sowa.

Młodzi pilnie radzili, rozważali, jak kupca, męża bardzo znacznego, nakłonić do Miłozsa. Jak go prosić, by odmienił srogą wolę. Oglądali też pierścień, podziwiali robotę złotnika.

Szafir błyszczał jak kropla błękitu wsączona w przejrzystą wodę.

Kiedy gwarek wziął klejnot z rąk Lukierdy, by go lepiej obejrzeć, pierścień nagle dziwnym sposobem wysunął się spomiędzy jego palców i potoczył w dół kamienistym zboczem góry.

Miłosz pobiegł w ślad za nim, aby pochwycić klejnot, lecz nim zdołał go ująć, pierścień wpadł do głębokiej szczeliny, która czerniała w poprzek stromego w owym miejscu zbocza.

— Zaraz go wydostanę! — zawołał Miłosz i dobył z zanadru zawinięte w płachetkę mocne dłuto górnicze, swoje zwykłe narzędzie. Próbował raz i drugi wygarnąć pierścionek ze szczeliny. Jednakże tylko porost i nieco piachu wygarnął. Spróbowała Lukierda zaostrzoną gałęzią, także nic. Tylko gałąź złamała na dwoje. Pierścień znikł.

— Co tu robić?! — zawołała strapiona dziewczyna. — Co powiedzieć ojcu, gdy wróci i zapyta o pierścień?

— Ach, Lukierdo! Poczekaj... Znajdę sposób — rzekł Miłosz. — Jestem gwarkiem, a przeto nie nowiną jest dla mnie szukać tego, co ziemia w sobie skryła. Tę szczelinę rozkopię na szeroki korytarz. Odłupując po kęsie twardy kamień przebiję sztolnię w głąb tej góry. Pójdę sztolnią do wnętrza skał, a szedł będę tak długo, aż twój pierścień odnajdę. Dobry sposób?

— No przecie! — ucieszyła się Lukierda. — Jeśli w ziemi poradzisz znaleźć srebro i ołów, to i pierścień odnajdziesz... Jesteś dzielny, Miłoszu!

Tyle było rozmowy. Nie spostrzegli, jak minął im dzień. Czas był wielki powracać do miasteczka, gdzie na Lukierdę czekał dom tuż przy rynku, okazały, piętrowy, na Miłosza — izdebka u starszego w gromadzie gwarków, dzielących między sobą kęs chleba, znojny trud i pieśniczki.

Już zniżyło się słońce; brzegiem tarczy sięgało Sowich Gór i barwiło skały czerwonią. Śniegi na szczycie Wielkiej Sowy poróżowiały od zorzy, obłoki białe za dnia przybierały barwę liliową, ich brzegi odcinały się od bladego nieba złotym rąbkiem.

Mądry Zych Kulimaga przewodniczył gromadzie górników. Gwarkowie dzierżawili od biskupa z Wrocławia górskie zbocze i położone w dolinie łąki, za niemłą opłatą. Tam trudzili się wszyscy przy odkrywkach i w sztolniach. Każdy miał własny udział w samej pracy i w zysku, zwany kuksem \*, każdy wznosił swój „gwar” na zebraniu gromady, więc odzywał się, radził — stąd i miano powstało.

Pracowici, a zgodni przebywali gwarkowie na robocie do zmierzchu. Potem spali w szałasach koło wejścia do sztolni, czasem i pod jej stropem, który wzmacniali drewnem. Rozpalali ogniska, przy nich powiadali ciekawe gadki, aż w mieście zegar uderzył północ. Beczka z piwem i druga z wodą zawsze stały przy ogniu. Suchar żytni i szperka, nieco rzepy pieczonej — oto była wieczerza.

Nie najlepiej się wiodło pracowitej gromadzie. Ziemia skąpiła rudy, skrywała złoto, srebro, z trudem przyszło pozbierać grosz potrzebny na czynsze dla biskupa. Na mięsiwo i wino często brakło gromadzie, a wciąż jej przybywało roboty. Miłosz czasem przez dzień cały nie zobaczył nieba, nie wyprostował pleców.

Ale chociaż gromada miała tyle zajęcia, znalazł sposobną porę, aby przebijać sztolnię.

Coraz głębiej się wdzierał w twardą górę, coraz większe rwał kęsy szarych gnejsów i łupków. Już dwudziestu kłocami krzepkiej, zdrowej dębiny podparł strop \* a pierścienia ciągle znaleźć nie zdołał.

„Ziemia figle mi płata... — myślał gwarek wciąż drążąc w głąb swoją sztolnię. — Lecz na nic psoty, bo pierścień tutaj wpadł i tu znaleźć go muszę!”

Nie ustawał w robocie, dwoił siły i coraz dalej szedł w ciemny korytarz.

Był w gromadzie człowiek chytry i zawistny jak rzadko. Zwał się Śladek i miano to pasowało do niego, jak umyślnie dobrane. Mąż ten lubił chodzić za każdym z gwarków,

swych towarzyszy, i nawet, poprzez ramię siedzących u wieczerzy, do talerza zaglądał. Zawsze ciekaw był nowin, podsłuchiwał i motał z dwu słów wielką powieść. Był pokracznej postaci — nos zbyt długi, oczka małe, osadzone tuż blisko siebie, brwi kosmate, a wąsów i brody natura mu zupełnie poskapiła. Miał wypukłą łysinę, na niej kilka brodawek, chód zaś koci i w poczynaniach lisią przebiegłość.

Dojrzał kiedyś ów Śladek, że to wieczorem, to rankiem Miłosz bierze kilof i dłuto i gdzieś chodzi.

„Ej, pacholek tajemnie się zwiedziało o złocie i o srebrze — myślał chytrzec — chodzi sobie i kopie cenne kruszce, by swej dziewce nakupić drogich szat! Mądry, nie ma co gadać. Jak to kryje się zręcznie, aleć i Śladek niegłupi! Pójdzie za nim, popatrzy, ile złotka tam leży w głębi góry, przy rudach. Niech podzieli się Miłosz. Albow ja nie towarzysz! Niech da złota!” — i Śladek podążył za Miłoszem.

Kiedy chłopiec był w sztolni, kiedy zaczął robotę, chytrzec swoim zwyczajem wkraść się za nim, przyczał i spozierał, jak młodzian przebija swoją sztolnię. Miłosz pracował dzielnie, świecąc sobie kagankiem.

„Jeszcze złota nie widać — myślał Śladek — bo pewnie Miłosz sztolnię dopiero podejdzie do złoza” — a głośno w takie ozwał się słowa:

— Ej, Miłoszu! Ej, braciszku! Co tu robisz sam jeden? Czemu nic nie mówiłeś gromadzie, że tu idziesz, kochanku? Ach, już wiem, już wiem! Tajemnica, bo tu blisko są kruszce. Daj, pomogę ci nieco! Chcesz? A w zamian mi udział dasz w tych złozach. Co? Dobrze?

— Ach, Śladek — odpowiedział mu Miłosz tłukąc w skałę kilofem — jakie kruszce i złoza? Co ci przyszło do głowy? Czy nie widzisz tu tylko samych gnejsów i łupków?

— Po co sztolnia, Miłoszu, z takim wielkim trudem czyniona?

— Ot, pierścienia dziewczyny tutaj szukam i tyle... Poszerzyłem szczelinę, bo wpadł do niej i pewnie stoczył się gdzieś głęboko!

— Nie uwierz! — zakrzyknął Śladek. — Tyle trudu dla dziewczki? Nie wykręcisz się, bracie! Szukasz złota, nie żadnych niewieścich maneli \*! Daj mi udział, a słowem nie wspomnę nikomu.

— Prawdę rzekłem ci, Śladek! Ostaw mnie i idź sobie!

— Ach, ostawić cię! Teraz? Kiedy złoza już blisko! Jeśli nie chcesz za darmo ze mną razem tu kopać, to masz swój kuks, bo my gwarki... Teraz ciebie ostawiam!

Słowom tym towarzyszył straszny czyn w tejże chwili. Śladek raził Miłosza od tyłu dłutem w głowę. Młodzieniec padł i wyrzucił swój oliwny kaganek. Ciemność czarna i gęsta przykryła wszystko szczelnie. Śladek pędem uciekł z głuchej sztolni. Raz i drugi stuknęły jego buty o kamień. Potem wszystko ucichło. Miłosz leżał bez ruchu.

Pierścień Lukierdy był duży i ciężki. Uczynił go mistrz — złotnik w dalekim kraju na kształt gładkiej i płaskiej obrączki zdobnej drogocennym szafirem, by i do zrękowin posłużył, i poświadczył o zasobności kupieckiego domu. Biegły w swej sztuce mistrz tak przy tym gładko pierścień obtoczył, że klejnot wpadłszy do szczeliny skalnej nie zatrzymał się wcale, lecz pokulał swobodnie prosto do wnętrza góry.

Ani Miłosz, ani Lukierda nie domyślali się wcale, jak daleko zawędrować on może przez taką rozpadlinę w skale. Pierścień toczył się i toczył, aż wpadł do niewielkiej groty, którą niegdyś w sercu góry uczyniło trzęsienie ziemi rozdzierające najtwardszy kamień.

Ową grootę zaciszną i suchą zamieszkiwał pędzimeżyk, człowieczek maleńki, pracowity i dobrotliwy. Jako rozumny gospodarz przegrodził pomieszczenie plecionką z sitowia. W jednej komnatce wyczołgał sobie obyczajem swego rodu miękkie i wygodne łoże, w drugiej urządził roztropnie skład zimowych zapasów. Jeszcze poprzedniej jesieni naznosił buczyny i orzechów, nasuszył jagód i nazbierał do żółdziowych miseczek kwietnej słodyczy.

Chował tam również przedziwo z sierści zajęczej i sarniej, którą pilnie zbierał po lesie

każdego lata. Gromadził w mieszkach, gęsto utkanych z najcieńszych włókien konopnych, ptasie piórka na zimowe pierzyny i poduszki.

Właśnie obudził się z poobiedniej drzemki i zeszywał pajęczą nitką swój czerwony kabacik, dnia poprzedniego rozdarty o kolec tarniny, kiedy w zaciszu podziemnej groty dało się słyszeć stukanie, które to cichło, znowu odzywało w różnych odstępach czasu; a potem, kiedy człowieczek nasłuchiwał tych odgłosów, do jego mieszkania wtoczył się nagle okazały pierścień. W świetle błędnego ognika, który trzymał w ślimaczej muszli, piędzimeżyk zobaczył nagle przed sobą błyszczące złoto, a szafir zaiskrzył się tak cudnym blaskiem, że człowieczek przetarł oczy piąstkami.

— A to mi niespodzianka! — zawołał sam do siebie, strzepnąwszy w podziwie rękami.

Wiedział, że pierścienie noszą zazwyczaj ludzie na palcach dla ozdoby, ale w żaden sposób nie mógł pojąć, kto i w jakich zamiarach wrzucił klejnot do jego mieszkania.

Oglądał z ciekawością pierścień, próbując drobną rączką gładkości złota, potem oparł go o ścianę i cieszył oczy pięknoscią klejnotu.

W pewnej chwili wydało mu się, że do stukania wmieszały się i ludzkie głosy. Zaniepokoiło to piędzimeżyka. Roztropny człowieczek zapalił szybko kaganek własnej roboty i niosąc go w ręku podążył spieszenie rozpadliną w kierunku wyjścia na zbrocze. Po niedługim czasie przekonał się, że wąska dotąd szczelina już w niewielkiej odległości od groty przemieniła się w szeroką sztolnię obudowaną drewnem, jaką zazwyczaj czynią ludzie chcąc dostać się do złóż cennej rudy, leżących pionowo w głębi wysokiej góry.

— Aa! Więc to gwarkowie!... — zawołał piędzimeżyk świecąc po sztolni swym kaganikiem.

Żółte światło padło na spąg \* i nagle człowieczek krzyknął z przerażenia. Zobaczył bowiem leżącego bez ruchu na skalnym dnie korytarza młodego chłopca z wielką i głęboką raną na głowie. Wtedy to bowiem Śladek dokonał swego niegodziwego czynu i umknął do miasta, a Miłosza ostawił w kałuży krwi.

Żalność ogromna ścisnęła na ten widok dobrotliwe serce piędzimeżyka. Drżący z niecierpliwości i obawy o życie młodzieńca pobiegł człowieczek do swoich komnat, zebrał do czapki cieniutkie pajęczyny, słoiki z brzoźowej kory, pełne gojących maści, nawet własne gizełko odświętne z płótna, by nim opatrzyć ranę, i jak umiał, tak się krzątał koło gwarka, próbując na wszystkie sposoby przywrócić mu czucie.

Chłopiec wciąż jednak leżał bez ruchu, blady, ze strużkami krwi, krzepnącymi na jasnych włosach.

„Co robić? Co robić? — trapił się piędzimeżyk. — Nie pomagają żadne starania! Rana jest więc śmiertelna. Zawołam braci, pobudujemy gwarkowi grobowiec na szczycie góry! Niechaj mu śpiewa wiatr, niech szumią potoki. Ach! — wykrzyknął nagle pocierając czoło. — Wiem już teraz, skąd się wziął w moim domu klejnot! To przecież pierścień tego gwarka! Pewnie zsunął mu się z palca, kiedy padał na spąg... Trzeba pierścień nałożyć z powrotem!”

Tak myśląc człowieczek wytoczył klejnot ze skalnej komnaty i wsunął go na serdeczny palec młodzieńca. Miłoszowi, jak rzekliśmy, pragnęła ofiarować ów pierścień Lukierda, w klejnocie przeto zawarła się i skupiła wielka moc kochania. Ledwie znalazł się on na palcu Miłosza — młody gwarek odzyskał czucie i otworzył oczy.

— Gdzie jestem? — spytał słabym głosem.

— U przyjaciela w domu — odrzekł piędzimeżyk i podwoił swoje starania około ranego.

Przekwitały w górach białe śnieżyce, lato nakazało wierzbówkom różowieć na skalnym zboczu, a Lukierda wciąż na próżno wypatrywała Miłosza u wejścia do sztolni, koło domu Zycha Kulimagi i przy ulubionym swym kamieniu nad potokiem. Młodzieniec nie przychodził i żadnej wieści o sobie nie dawał. Szczęściem ojciec Lukierdy dłużej, niż zamierzał,

pozostawał w kupieckiej swej podróży, stąd i dzień zrękowin z moźnym panem odwlekał się ku radości dziewczyny.

Przebiegły i chytry Śladek umykając ze sztolni tak ponasuwał u wejścia do niej płaty darni i tak porozrzucał głązy, by zdawać się mogło, że w ciemnym przejściu obsunął się strop i pogrzebał pod sobą Miłosza.

— Nie czekaj tu, dziewczko — rzekł Zych Kulimaga do Lukierdy, zastawszy ją razu pewnego zapłakaną przy skalnym rumowisku. — Chłopak nie wróci, bo ziemia nie wyda już tego, kogo w sobie skryła.

Nastały dla Lukierdy smutne dni żałoby. Poniechała barwnych wstążek i wyszywanych sukienek, zdjęła z szyi bursztyny, a czerwone trzewiczki odstawiła do kąta w komorze. Bo i kogóż radować miała nadobną postacią i rumianym liczkciem, kiedy nie stało Miłosza?

Gwarkowie żalowali wiernego towarzysza, wspominali przy piwie w gospodzie, jak przyjazny i szczerzy dla wszystkich był Miłosz.

— Oj, niedola nam, żałość — wzdychał Zych Kulimaga. — Ani pieśni zaśpiewać, ani gadki wesołej powiedzieć nie chce żaden w gromadzie, kiedy chłopca zabrakło.

Któż spodziewać się mógł, że głęboko, w samym sercu góry, w mrocznym, cichym podziemiu piędzimeżyk gości gwarka w swym domu, Że go pilnie dogląda dniem i nocą?

Miłosz w długie wieczory przy płomieniu kaganka snuł opowieść o Lukierdzie i o sobie.

— Ojciec każe dziewczynie poślubić bogatego rycerza — mówił smutno, wpatrzony w żółty płomyk. — Dla zrękowin ten pierścień dał córce. Mnie odtrąca za to, że jestem ubogi.

Piędzimeżyk ciekawie słuchał wszystkiego, co mu gwarek powiadał. Marszczył śnieżnobiałe brwi, targał brodę pełen frasunku, aż na koniec — że mądrość posiadał niemałą — Miłoszowi taką dał radę:

— Przebijaj dalej swą sztolnię — powiedział — niech to będzie najdłuższa sztolnia w Sowich Górach. Tu, za moim domostwem, leży ruda, a przy niej złoto. Jeśli me izby zręcznie w robocie ominiesz, to pozwolę ci kopać tyle rudy i złota, ile tylko zapragniesz. Wtedy ojciec dziewczyny już nie będzie się boczył.

— Szczerze z serca dziękuję — odrzekł Miłosz — tylko jeszcze was proszę, aby i towarzyszy moich, gwarków dobrych, do tej roboty dopuścić. Niebogaci to ludzie. Nie wzbraniajcie nam, proszę, wspólnego trudu i chleba.

— Nie, nie wzbraniam... Przychodźcie, zaczynajcie robotę, choćby jutro! A teraz jeszcze spocznij, Miłoszu!

Miłosz z ochotą legł spać. Gdy się zbudził, słońce jasno świeciło. Szumiał las i śpiewały drozdy na jodle. Chłopiec pełen zdumienia spostrzegł, że leży na trawie, koło wejścia do sztolni. Nie zburzona, nietknięta była sztolnia. Na słupach mocno wspierał się strop. Kilof, dłuto, siekiery Miłosz znalazł przy sobie.

„Chyba śniłem” — pomyślał przecierając mocno oczy.

Ale nie był to sen, bo na palcu swym ujrzał pierścień z szafirem, który oto mógł doręczyć Lukierdzie.

Pobiegł szybko ku miastu, pełen szczęścia i wesół. Nie wspominał złoczyńcy. Nie spodziewał się bowiem zastać go więcej w gromadzie,

A Lukierda tymczasem z miedzianą koneweczką była w sadzie. Podlewała barwinek \*, który właśnie rozkwitał, w koszu miała zebrane słodkie wiśnie.

Cicho było, spokojnie w całym domu, W izbie czeladnej sługi miesiły chleb, w ogrodzie pachniały kwiaty.

Nagle furka stuknęła i pod czyimiś niecierpliwymi krokami na ścieżce zaskrzypiał żwir.

— Miłosz!

— Jestem, Lukierdo!

Dziewczyna uszczęśliwiona przeskoczyła dwie grządki, witając Miłosza ledwie wierzy-



ła swym oczom.

— Oto pierścień...

— Ach, czekaj... Najpierw powiedz, gdzieś bywał, coś porabiał, dlaczego nikt w gromadzie nie wiedział, czy żyw jesteś, Miłoszu...

— Opowiadać mam wiele — odrzekł chłopiec i ujawszy rękę Lukierdy wszedł z nią razem na ganek.

— Odtąd wszystko się zmieni — mówił pełen radości. — Teraz i ja sam, i towarzysze moi, gwarkowie, będziemy żyć inaczej, a choć czeka nas praca ciężka i pilna, będzie z tego dostatek!

— Jakże to? — wykrzyknęła ucieszona dziewczyna.

— A tak. Posłuchaj... Wielka Sowa kryje w swym wnętrzu bogactwa, a życzliwy przyjaciel wskazał mi, jak je odnaleźć. Wiem teraz, kędy jest dojście do miedzi i ołowiu. To cenne rudy! Przy nich matka ziemia umieszcza zwykle złoto i srebro. Będziemy dobywać więc i rudę, i drogie kruszce. Trud nasz darzyć się będzie i życie lepsze się stanie dla mnie i dla ciebie...

— Jeśli tak — rzekła wzruszona Lukierda — to czeka nas teraz pociecha. Ojciec mój nie sprzeciwi się tobie więcej, Miłoszu. Pozwoli mi pojąć ciebie za męża i skończą się nasze zmartwienia...

— Powiem o wszystkim twemu ojcu. Będę go prosił najszczerzej, Z całego serca. Chyba nie wzbroni nam rychłych zręków!

— Jakże się raduję, Miłoszu... — wyszeptła Lukierda i aż pokraśniała ze szczęścia.

Miłosz uprosił jeszcze dziewczynę, by nikomu nie opowiadała o tym, co uczynił w sztolni Śladek; nie chciał wspomnieniem niegodziwego człowieka mącić szczęśliwej chwili swego powrotu.

— Już on tam kędyś w świat wywędrował — mówił pachotek żegnając Lukierdę. — Przecież po takim czynie nie zostałby w naszej gromadzie!

Nie spodziewał się Miłosz, że było inaczej.

Opuściwszy dom Lukierdy udał się na rynek do gospody „Pod Młotkami”, gdzie zbierali się co dzień gwarkowie przy kuflu piwa.

Śladek siedział u stołu w izbie gościnnej, tuż przy oknie. Czas był letni, gorąco, w izbie ludzi jak maku, tłoczno, gwarno. Gospodski szeroko pootwierał okna na ludny plac i ulice.

Śladek cienką swą szyją kręcił tędy, owędy: wypatrywał przez okno, kto przechodzi ulicą, kto wstępuje do kramów, co kupuje i wiele czego wkłada do mieszka. Słuchał też wszystkich głosów, wielkimi uszami łowiąc każde słowo.

Nawet Burek z gospody, który ległszy pod gankiem pilnie ogryzał baranie żebro, poczuł na sobie baczne spojrzenie Śladkowych oczu, warknął gniewnie i podwinąwszy kosmaty ogon skrył się za węglem domostwa unosząc kość w pysku.

A Śladek tymczasem ujrzał na rynku widok dla siebie zupełnie niespodziany. Oczom nie mógł uwierzyć. Wysunął głowę przez okno, potem cofnął się nagle i poblądł. Ogarnęła go tak wielka trwoga, że wtulił długą szyję w ramiona. Zych Kulimaga i inni gwarkowie, zajęci wieczszą i ciekawą pogawką o codziennej robocie, niewiele zważali na Śladka. Nie spostrzegli też wcale, jak nicpoń zerwał się z ławy i chyłkiem uniknął z gospody.

Wśród tłumu na rynku dojrzał nagle Miłosza. Chłopiec przepychał się ku gospodzie, uśmiechnięty, wesoły, rad najwidoczniej czym prędzej towarzyszków swych przywitać.

I czart sam w swej strasznej postaci nie przeraziłby tak Śladka, jak ów jasnowłosy młodzieniec, patrzący przyjaźnie na świat siwymi oczami.

„Kto by to myślał? — szeptał do siebie nędznik zapadłszy w gęste łopiany gdzieś na tyłach zabudowań gospody. — Kto by uwierzył, że ten pachotek żyje? Ciężkim dłułem go w głowę, a on oto sobie na rynku! Zdrow i wesoły! Co uczynię, jeśli opowie gromadzie? Jak umknąć karom?” — nie znajdując odpowiedzi na te pytania Śladek wypełził na

czworakach z łopianów i czołgając się po ziemi jak wąż, na pół żywy od lęku, posuwał się ku zarosłom nadrzecznym poprzez warzywny ogród gospodskiego.

Nie opisać radości, nie wypowiedzieć ucieshy, jaką sprawił gwarkom powrót Miłosza.

Zych wielkim głosem huczał na całą izbę:

— Nasz kamrat najlepszy Z nami! Dajcież miodu! Nalejcie wina!

— Weselmy się! — wołali inni gwarkowie ściskając mocno chłopca.

— Mięsa, chleba! Podawać a rychło!

— Mamy święto w gromadzie!

Słowa te biegly na plac i ulicę, aż przy otwartych oknach zebrało się wielu ciekawych.

Miłosz siedział pośrodku rozweselonej gromady i zajadał jagły z pieczenią, raz po raz upijając z kufla chmielnego piwa.

— Bracia... Bracia... — powiadał wzruszony. — Otośmy znowu w kupie!

I do północy samej rozprawiali gwarkowie w gospodzie „Pod Młotkami”, jak to dobywać będą razem skarby ziemi, kędy czynić odkrywki, kędy się dobierać sztolniami albo i szyby głębokie kopać w ziemi.

— Będziemy teraz bogaci, wolni gwarkowie — kończył rozmowę Miłosz. — Wielkiej Sowy nikt dotąd swoją nie nazwał ani tam rudę urabiał. Księciu jednemu podlegać będziemy, z nim gadać... Pierwsi będziemy, a przeto i matka ziemia sypać nam będzie nieskapo.

Zych Kulimaga, a z nim gromada aż do końca rozmowy nie dostrzegli, że brakuje Śladka przy stole, nikt też nie wspomniał o nim. Nie wspomniał i Miłosz, bo jak już powiadał Lukierdzie, nie spodziewał się, by po czynie tak niegodziwym chytrzec ważył się zasiać z towarzyszami do wspólnej wieczerzy.

Gwarkowie nie taili przed ludźmi tego, co postyszeli od Miłosza. Bo i jakże było taić?

Zych Kulimaga wybrał się do puszczy, by u myśliwych dostać jeleniego rogu na ostre kopasyny, inni gwarkowie woleli kilof żelazny i ten nabywali u kuźników. Trzeba było i drwali skrzyknąć do pomocy, by kłoców i dranic nie brakło na obudowę sztolni. Myślano również wykopać szyb u podnóża góry, gdyby urabianie rudy za pomocą sztolni zawiodło.

Tak oto wieść prędzej od chyżej jaskółki leciała po okolicy. Dziwowano się niemało, jakim sposobem zwiedziało się Miłosz o złożach, daremnie starano się zgadnąć, który to życzliwy przyjaciel ukazał mu tajemne miejsce.

A młodzieniec niewiele gadał. Milczenie jest przecież złotem. Lukierdzie jednej, kiedy siadywał z nią na ganku domostwa lub w sadzie, opowiadał szeroko, jak to pracować będą, jakim sposobem kruszec i rudę urabiać. Kupiec już wrócił z podróży i ze zdumieniem niemałym wysłuchał nowiny o szczęśliwej odmianie Miłoszowej doli.

Ułakł się najpierw czarów i nieufnie popatrywał na chłopca, potem jednak, że dostatek nade wszystko miłował, zaczął spoglądać na niego życzliwiej, a nim przeminął tydzień, dał się uprosić młodym i dzień zrękowin \* oznaczono.

Wiele mówiono w mieście o tych zrękowinach.

Powiadano, że Lukierda sposobi suknie nowe, brzeży haftem spódnice, że samych gądków z dudami aż dziesięciu będzie grało w tym szczęśliwym dniu do tańca kupcowym gościom.

A co tam pieczono chlebów, kołaczy, pierników, ile sprawiono baranów, prosiąt i ptactwa wszelkiego — nie zliczyć tego i nie opowiedzieć.

Z ciemnej komórki za starym spichlerzem, w której składali sładzy gospodskiego puste worki i skrzynie, postyszał ludzkie gadanie Śladek.

Ukrywał się tam przed gwarkami i Miłoszem, drżał przed zasłużoną karą, wszelako żał mu było roboty w gromadzie i to roboty dobrej, jakiej się teraz spodziewał. Porzucił zaciszną kryjówkę i nie będąc pewnym, jakiego dozna przyjęcia, chyłkiem przemknął się ulicami miasta pod dom Kulimagi, by przytaić się z kolei w cieniu starej wierzby za jego ogrodem i

tam czekać na wracającego od Lukierdy Miłosza.

Jasny i ciepły był wieczór, kiedy na ścieżce wiodącej do Zychowego obejścia stanął przed Miłoszem skulony i drżący Śładek. Młodzieniec nie poznał go od razu, chytry człowiek bowiem nędzny przedstawiał sobą widok. Wychudł i zgarbił się. Na oczy spadała mu zakurzona i podarta czapa. Licha opończa okrywała jego plecy, kaftan sprzedał bowiem przekupniom, aby mieć na chleb.

— Miłoszu... — zaczął — ulituj się mojej biedzie.

Gwarek cofnął się na skraj drogi i spozierał na Śładka w zdumieniu, pewnym nie będąc, czy to jego widzi przed sobą.

— To ja, Śładek... — bełkotał nędznik. — Źle uczyniłem tobie, bracie! Ale ulituj się i daruj mi winę... Złość zaślepiła mnie wtedy, rozum odjęła. Dlatego ugodziłem cię dłutem. Teraz kryję się... Boję się ludzi... Z głodu mi przyjdzie zginąć, jeśli w ukryciu dłużej zostanę. W wieży ciemnej, jeśli swej krzywdy dochodzić będziesz.

— Czego więc chcesz? — zapytał Miłosz.

— Byś mi darował winę!

— Eech, darowałem ci ją, stary zbójcu, już w tym dniu, kiedym wrócił do gromady.

— Nie gadałeś Zychowi?

— Nie, bom myślał, żeś dawno w świecie dalekim.

— Dzięki ci, bracie! A teraz nie powiesz?

— Nie. Czego chcesz jeszcze?

— Wrócić chcę do gromady. Z wami być i robotę dzielić po dawnemu... Zginę sam jeden, trapi mnie bojaźń przed karą. Będę pracował ochotnie, poniecham złości, zawiści. Zbędę chytrkości! Teraz odmienię się całkiem, Miłoszu!

— Wracaj zatem. Na dawne miejsce, bo tamtą sztolnię od nowa budować się będzie i dalej przebijać. O świecie, jutro...

\*

Stukały siekiery na zboczu Wielkiej Sowy. Pokotem kładły się jodły i brzozy. Drwale rozcinali je na kloce, łupili potem na deski-dranice, by gwarkowie tym drewnem obudowali sztolnię dostatnio a krzepko.

Ciemny korytarz, oczyszczony i uprzątnięty, wdzierał się coraz głębiej do wnętrza Wielkiej Sowy. Teraz Miłosz prowadził robotę, Kulimaga bowiem ustąpił mu przewodnictwa w gromadzie. We dwie strony od głównej, szerokiej, budowano teraz dwie mniejsze, boczne sztolnie, ruda bowiem czerwona, zbita w bogaty pokład, wystąpiła jakby tuż pod ręką gwarków i bez przeszkód urabiać się dała. W świetle lampek oliwnych, zawieszonych na słupach wspierających strop sztolni, widać było ciemne postacie gwarków w skórzanych fartuchach, owym pradawnym roboczym stroju. Sztolnia biegła pochyło, tak, by woda podskórna, jeśli się trafi, wyciekała na zewnątrz i w robocie nie wadziła.

Kłęcząc lub stojąc przed ścianą ciemnego pokładu odrywał starszy gwarek bryły rudy i składał je do drewnianych niecek, opatrzonych dwoma uchwyty. Kiedy niecki były pełne, dwaj przydani mu do pomocy młodzi towarzysze zsypywali rudę na głębokie taczki i wywozili ze sztolni, a pracujący na zewnątrz gwarkowie odbierali od nich urobek i składali go na wozy, ciągnięte przez myszate woły.

Wolno zjeżdżały wozy po górkim zboczu drogą wyciętą przez drwali wśród gęstwiny cienistych drzew. Dażyły do osady kuźniczej u podnóża góry, by teraz dymarzom i kowalom przekazać urobioną rudę.

Woźnice w czapkach uszaty i w sukiennych kaftanach pokrzykiwali ochoczo na woły, ten i ów trzasnął długim biczyskiem, inny zaśpiewał na cały las ulubioną swoją piosenkę.

Wrzało na zboczu Wielkiej Sowy pełne pośpiechu i krzątania życie, nie ustawała pra-

ca, a jak długie i wysokie są Góry Sowie, nikt nie potrafił wymienić pachotka mądrzejszego i zręczniejszego w robocie od Miłosza.

Ze skalnej swej izby wyzierał na gwarków piędzimężyk w czerwonym kabacie, na który przywdziewał teraz górniczym zwyczajem fartuch skórzany. Cieszył się, że ludziom tak sprawnie idzie robota, a nocami oddawał im rozliczne przysługi: ostrzył dłuta, gdy spali na swych postaniach z gałęzi i baranich skór u wejścia do sztolni lub w jej wnętrzu, na spagu przykrytym płachtami wołjoku; dolewał krynicznej wody do kadzi, by rano mieli czym ugasić pragnienie.

Świtaniem, na osobliwej piszczalce z orlej kości, przywoływał z głębi lasu niedźwiedzia i nakazywał mu, by przeganiał łotrzyków, jeśli się tacy kręcili w pobliżu. Sam zaś, przechadzając się to po sztolni, to po górskim zboczu, czuwał pilnie nad snem gromady.

Sztolnia tymczasem szła coraz głębiej; jak rzeka dopływy, tak i ona przybierała boczne komory i pomniejsze chodniki, które wiodły do coraz bogatszych i wspanialszych złóż miedzianej rudy.

Izbę piędzimężyka ominęli gwarkowie w swej robocie, tak jak sobie tego życzył krasnal. Aż dnia któregoś wrzawa radosna podniosła się w sztolni. Oto Miłosz zgarniając w swych nieckach bryły czerwono-brunatnej rudy dojrzał w nich złote grudki. Były nie większe od ziaren grochu, były i drobne jak ziarenka piasku, lecz radowały oczy czystym, podobnym do słonecznego, blaskiem.

Miłosz oczyścił je z rudy i opłukał starannie, a potem rzekł do swych towarzyszy:

— Jesteśmy w złotonośnej sztolni, bracia... Dosiegnęliśmy najbogatszych skarbów ziemi. Dola zdarzyła, żem pierwszy je znalazł, ale że pracujemy w gromadzie i tak pracowaliśmy dotąd, niechaj to złoto będzie wspólnym skarbem nas wszystkich. Niech służy gromadzie.

To powiedziawszy złożył Miłosz cenny kruszec do osobnej skrzynki i zaniósł ją do obudowanej drewnem wnęki, w której gwarkowie przechowywali zapasowe narzędzia i cieplejszą odzież.

— Niech tak będzie... — dodał Zych Kulimaga, idący tuż za Miłoszem — a jeśli i mnie zdarzy się znaleźć w tej sztolni złoto, dorzucę je do skrzynki, pomnożę nasz skarb...

— I ja tak uczynię... I ja! — słychać było dokoła.

Gwarkowie radowali się i z podziwem patrzyli na Miłosza. Posłyszał owe głosy piędzimężyk, choć w tym czasie smacznie spał na pierzynie z kuropatwiego puchu, i wysunął się cicho ze swego mieszkania. Zobaczył, jak Miłosz składa złoto do skrzynki i jak ją ustawia we wnęcie.

— Niechaj to złoto będzie wspólnym skarbem nas wszystkich... Niech służy gromadzie! — powtarzali gwarkowie.

Piękne i mądre wydały się piędzimężykowi te słowa. — „Jeśli tak czynią — pomyślał — jeśli się nawzajem szczerze miłują, musi przybywać skarbu w tej skrzynce... Dam im więcej złota, bo warci nagrody”.

Od tego czasu coraz częściej zdarzało się gwarkom znajdować drogocenny kruszec. Były to już nie same odrobiny czy grudki — raz po raz darzyła ziemia gromadę bryłami czystego złota.

Co dzień po skończonej robocie przychodził Miłosz z gwarkami do wnęki; każdy wrzucał do skrzynki swój dzienny urobek złota. Potem dojsię do złota zasuwanym ogromnym pieńkiem dębowym i nikt nie zazierał tam, aż następnego dnia.

Tylko piędzimężyk, stróżujący nocami w sztolni, przemykał się do wnęki sobie tylko wiadomą szczeliną i świecąc błędnym ognikiem radował się blaskiem złota.

Mijały dni. Skrzynka wypełniła się po brzegi i złoto zaczęło się wysypywać z niej na spąg.

Skrzętny krasnal przyszedłszy kiedyś nocą do wnęki zaczął zbierać okruchy złotego piasku do swej czapy-kapicy i już oglądał się za jakim mieszkciem czy drugą skrzynką, kiedy

zauważył w sztolni żółte światło kaganka. Zbliżało się ono i nikłymi promieniami sączyło do wnęki. Człowieczek zdumiony tym, a nawet nieco wylekły, zagasił co prędzej swój błędny ognek i skrył się za skrzynką tuląc się do ściany. Czyjeś mocne i niecierpliwe ręce jeły odsuwać dębowy pień. Ustąpił i dokoła uczyniło się zupełnie jasno od płomienia lampy oliwnej.

W tym świetle zobaczył człowieczek skuloną postać gwarka, który trwożliwie oglądał się i nasłuchiwał. Wszędzie jednak panowała niezmacona cisza nocy: gromada krzepko spała. Gwarek przysunął się wielkimi krokami do skrzynki i szybko zaczął przebierać między grudkami złota, wyszukując spośród nich co większe.

Był to mąż chudy i zgarbiony. Nos jego długi, mięsisty tkwił niezdarnie między małymi, blisko siebie osadzonymi oczami. Lica bezwąse, pozbawione również brody, wykrzywił uśmiech radości. Chciwie, gwałtownie wybierał kęsy złota i krył je za cholewy podniszczonych butów. Czepliwe jego palce drżały, kiedy dotykał skarbu.

Był to Śladek. Mimo obietnic złożonych Miłoszowi umyślił wzbogacić się kosztem gromady. Upilnował więc sposobnej pory, by niepostrzeżenie wynieść ze sztolni największą część skarbu. Śpieszył się ładując ostatnie grudki do kieszeni swej zmiętej a ubłoconej kapoty. „Nim rozednieje — myślał — będę już daleko. Gromada nie ujrzy mię więcej, ni ja gromady... Otom jest bogaty — szeptał nie mogąc powstrzymać słów z uciechy — otom jest możny jak pan”... — i zawrócił ku wyjściu z wnęki, wciąż nasłuchując, czy który z towarzyszy nie czuwa.

Nie doleciał go żaden głos, tylko spąg pod jego nogami zadygotał dziwnie i zatrzeszczała obudowa stropu, a dębowy pień, pchnięty jakąś niewidzialną ręką, ułożył się sam na swoim miejscu przy wejściu do wnęki.

W tejsze chwili postyszał jakby z pod ziemi wychodzący głos:

— Połóż złoto z powrotem do skrzynki... Nie twoje ono, złodzieju...

— Kto to? Kto to? — Śladka ogarnęły jednocześnie obawa i złość. Zaczął świecić po spągu kagankiem i cofnął się nagle w kąt, zdumiony.

Zobaczył przed sobą małego człowieczka w czerwonym kabacie i górniczym skórzanym fartuchu. Stał oparty plecami o skrzynkę ze złotem. W ręku dzierżył maleńki złoty perlik, spozierał na Śladka groźnie błyszczącymi oczami spod nawisłych brwi.

— Zostaw złoto — powtórzył — nie twoje — a głos jego mocny jak u rosnącego męża był pełen powagi i dostojeństwa.

— Tak, mysi królu? — zadrwił Śladek. — Zostawić mam złoto może dla ciebie i twojej matuli-ropuchy? Ej, ty, chmyzie, podciepku \*! tobie zaczynać ze mną? — i śmiejąc się chrapliwie, próbował pochwycić piędzimeżyka.

W tejsze chwili ogarnęła go śmiertelna groza, poczuł bowiem, że nie może ruszyć się z miejsca. Nogi jego stały się dziwnie ciężkie i jakby wrosły w spąg.

Chwycił się za nie rękami, ale ku jeszcze większemu swemu przerażeniu uczuł, że nogi jego są twarde i chłodne. Jednym szarpnięciem rozerwał nogawicę u kolana i mało nie padł zemdlony. Zamiast ciała dostrzegł pod odzieżą lśniące martwe złoto.

Piędzimeżyk stał ciągle opodal milczący, wsparty plecami o skrzynkę i nie spuszczał ze Śladka swych błyszczących oczu.

A tymczasem Śladek czuł, że mu całe ciało sztywnieje i staje się zimne. Zrozumiał, że, poczynając od nóg, powoli zmienia się cały w bryłę złota. Oto w piersi stwardniałej ledwie uderza serce, oto ręce tracą ruchliwość, stają się całe ze złota.

— Ulituj się nade mną... Przebacz!... — wyszeptał, z trudem schylając przed piędzimeżykiem sztywniejące ciało w błagalnym ukłonie.

— Nie mnie skrzywdziłeś — rzekł z wielką powagą piędzimeżyk — lecz najpierw Miłosza, pachotka dobrego, potem gromadę. Ich przeto prosz o litość i przebaczenie, tylko najprzód wyznaj im swe postęпки. Jeśli to uczynisz, zdejmę zaklęcie, jeśli nie, wrośniesz w

ziemię jako bryła złota i tak zostaniesz po wieki!

— Uczynię... Uczynię... — szeptał ledwie dosłyszalnie Śladek, a czuł, że język mu ziębnie i drętwieje.

— Kiedy tak, to zobaczę! — z wielką godnością rzekł piędzimeżyk i wsunął się za skrzynkę, by sobie tylko wiadomą szczeliną przejść do zacisznego skalnego mieszkania.

Śladek czuł teraz, że wraca mu ludzka postać. Znowu bez trudu mógł zwilżyć językiem zeschnięte i spieczone usta, poprawić na głowie czapkę, popróbowował dźwignąć ze spągu to jedną, to drugą nogę. Uczynił krok i drugi ku wyjściu z wnęki. Piędzimeżyk uchylił zakłęcie.

Na zboczu u wejścia do sztolni rozpoczęła się tymczasem poranna krzątanina. Uprzątnięto posłania. Na polanie płonęły wielkie ogniska, nad którymi zawieszono kotły z ranną polewką. Na rozpalonych kamieniach topiła się w rynience słonina i pachniała smakowicie. Zych Kulimaga krajał szerokim nożem przyniesione z miasta chleby.

— Hej, Śladek — zawołał. — A pomóż mi nieco!

Urwał jednak nagle dojrzawszy dziwną bladość na twarzy nicponia.

— Co ci jest? Chorzejesz może? — zapytywał, bacznie wpatrując się w posiniałe usta i przerażone oczy towarzysza.

— Nie, Zychu. Zdrow jestem — bełkotał nędznik — tyle mi uczyni jeno, że zwołaj tu zaraz gromadę... Muszę coś rzec wam wszystkim — drżał cały i błagalnie patrzył na Kulimagę.

— Niechże ci będzie — skinał głową najstarszy z gwarków — zwołam brać naszą.

To powiedziawszy zatrąbił przeciągle na rożku. Na ten zew gwarkowie porzucili swe zajęcia i pospieszyli wszyscy przed sztolnię, rozumiejąc, że Kulimaga chce im obwieścić ważne nowiny. Śpieszył i Miłosz, który właśnie skończył ostrzyć swe dłuto na brusku \* z białego kamienia.

— Co tam nowego, Zychu? — zapytał wesoło, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Gwarkowie stanęli kołem przed Kulimagą i Śladkiem. Zaciekawieni czekali. Zych popchnął Śladka ku gromadzie i rzekł:

— On powie...

Nędznik przez długą chwilę wodził przerażonym spojrzeniem po zebranych towarzyszach, wreszcie zaczął mówić łamiącym się, piskliwym głosem:

— Bracia gwarkowie... Posłuchajcie, co rzekę... Czy wiecie, kędy przebywał tak długo towarzysz wasz dobry, Miłosz?

— Nie... Nie wiemy! Powiadaj... — dało się słyszeć z gromady.

— Leczył się z rany śmiertelnej, którą zadałem mu ja, kiedy mi złość i zawiść rozum odjęły. Raziłem go dłutem w głowę w tej oto sztolni, mniemając, że sam jeden, tajemnie, do bogatych skarbów się dobiera...

— Prawdali to, Miłoszu? Mów! Prawdali to? — pytali przerażeni ludzie.

Miłosz pobladł i spokojnym głosem rzekł:

— Prawda. Alem ci przecież przebaczył, Śladek. Po co zaczynasz o tym?

— Muszę, muszę to wyznać gromadzie... — bełkotał nędznik. — Nie mogę uczynić inaczej.

— Przebaczyłem ci — powtórzył Miłosz.

— Nie to jedno uczyniłem, bracia — ledwie głosu dobywając z lęku wyznawał nędznik. — Nie to jedno! Dziś w nocy poszedłem do wnęki, do skrzyni ze złotem. Wybrałem co lepsze kęsy i skryłem przy sobie, by wynieść je i zbiec daleko.

— Prawdali to, Śladek? — pytano ze zgrozą. — Prawdali to?

— Prawda. Oto macie złoto... — i nędznik w pośpiechu wielkim wyjmował grudki złota z kieszeni i zza cholewek butów.

— Oddaję... Macie... Nie dla mnie jest miejsce w gromadzie, nie dla mnie wspólna misa i wspólny chleb. Odchodzę, tylko nie karzcie mnie, bracia...

— Poczekaj — przerwał mu Zych. — Pozwól rozważyć twe winy. Pozwól zapytać, jak się to dzieje, że teraz dopiero mówisz nam o twych przewinach? Dlaczegoś milczał? Dlaczegoś wcześniej nie szukał ulgi dla serca i przebaczenia naszego?

— Milczałem z lęku przed karą. Myślałem, że się to wszystko ukryje... Że nie poznacie, że Miłosz nie wróci, nie powie...

— A złoto? — zaszumiało w gromadzie. — Przecież je nocą brałeś, dziś, jak sam powiadasz? Wstydzisz się tego? Żałujesz? Jak się to dzieje, że nam wyznajesz i tę przewinę?

— W sztolni głęboko... — zaczął Śladek i oparł się o drzewo plecami, słabnąc z przeobrażenia — stworzenie osobliwe przebywa. Czart jakiś skalny. Skrzat mały, nędznej postaci, a przecież silny jest i straszny. Sprzyja on wam, jako myślę, i strzeże złota. Kiedym je brał, zatrzęsł spagiem i mało stropu na łeb mi nie zwałił... A potem, kiedy zadrwiłem z niego i złota do skrzyni położyć nie chciałem, cisnął na mnie zakłęcie straszliwe... Chciał mnie zmienić w bryłę złota, już mi nożyska ciążyły, wrastały w ziemię i język kołczał. Drętwiałem... Stygłem... Dopiero potem do ludzkiej postaci mię ów człek przywrócił, kiedym obiecał mu, że przewiny moje wyznam gromadzie... Wyznałem...

Zapadła cisza. Gwarkowie stali nieruchomo, stłoczeni ciasno przy sobie, wpatrzeni w Śladka. Miłosz odwrócił się od niego i spuścił głowę. Wspominał Śladkowe obietnice!

— Skrytobójca... Przywłaszczyciel... — padły z gromady ciężkie słowa. — Ze strachu wyznał swe czyny...

— Z obawy samej, nie z żalu za to, co złego czynił...

— Hańba Śladkowi, ubijcy... Jakże ma być z nami?

I coraz większy szum wzburzenia wzbierał pomiędzy ludźmi zbratanymi ze sobą szczerze, ufnymi.

Wtedy Zych Kulimaga podniósł z ziemi kilka złotych grudek, które porzucił podły człowiek, i na otwartej dłoni podał je Śladkowi.

— Nie towarzyszem nam byłeś, nie bratem — rzekł z powagą i smutkiem — zostać nie możesz w gromadzie. Idź przeto, a tu masz na drogę.

Śladek bez słowa ujął podane sobie złoto. Nie oglądając się na nikogo uciekał po zboczu w dół z głową wtuloną w ramiona. Śpieszył się okrutnie, choć nikt go nie gonił.

Wysoko na skale ukazała się Lukierda i spoglądała za nim zdumiona. Wieniec z barwinka stroił jej głowę, w rękę trzymała kosz z pszennym chlebem, który upiekła nocą dla Miłosza i jego gromady. Schodziła powoli ku sztolni ścieżyną pomiędzy skałami. Witła Miłosza uśmiechem.

\*

Darmo by teraz szukać owej sztolni w Sowich Górach. Zasypały ją głązy, zarosły cierniste krzewy i bujne, zielone mchy.

Nie znajdziemy też w tych górach złota, bo przed wiekami już wyczerpały się jego zasoby na ziemiach Dolnego Śląska. O tym, że było ono tam kiedyś, mówią nam nie tylko stare dokumenty lub nazwy miast, takich jak Złotoryja.

Mówi nam o nim również stare podanie i prawie zapomniana już baśń.

Dzięki niej przetrwała do naszych czasów wieść o dobrym przyjacielu gwarków dolnośląskich — małym, roztroptym i gospodarnym piędzimężyku, który, jak powiadają, izbę skalną w głębi Sowich Gór obrał sobie za mieszkanie.

## POSŁOWIE

„Sztolnię w Sowich Górach” uważać można za drugi tom wydanego przez Naszą Księgarnię w roku 1959 zbioru baśni pod tytułem „Miedziana lampa”. W „Miedzianej lampie” zebrane są bowiem utwory tematycznie związane z życiem i pracą górnika na Śląsku Czarnym (tak nazywamy przemysłową część Górnego Śląska), w „Sztolnia w Sowich Górach” baśni i opowieści nawiązują do życia, pracy, zwyczajów i wierzeń ludu na Śląsku Białym i Śląsku Zielonym, a więc w okolicach rolniczych i pasterskich zarówno Śląska Górnego, jak i Dolnego. Jeśli wspomina się tu o górnictwie, to już bardzo dawnym, na pół legendarnym. Rudy bowiem, złoto i srebro zaczęto wydobywać na Dolnym Śląsku znacznie wcześniej niżeli węgiel na Górnym.

Pochodzenie baśni w obu zbiorach jest podobne. Wątki ich, czyli główne zarysy treści, zasłyszane są od ludu i zapisywane w ciągu wielu lat. Niełatwo bowiem dotrzeć do tych wątków: baśnie polskie, zwłaszcza w okolicach przez czas długi oderwanych od Macierzy, zanikały, wikały się po prostu i plątały z innymi, nieludowymi i niepolskimi.

Niekiedy czas tak zatarł kontury wątku, że trudno było dokonać opracowania, stąd baśni w obu zbiorach nie jest wiele, ale te, które są, każda po swojemu, łączą się ściśle z kulturą ludową różnych okolic Śląska. Postacie ze świata baśni, jak utopiec, wodne panny, Król Węzów i piędzimęzyk, a również Skarbnik, wyprowadzić można, jak się zdaje, z dawnych wierzeń już nie tylko polskich, lecz słowiańskich. Obecność tych postaci w ludowych baśniach śląskich świadczy o rodzimoci i trwałości kultury słowiańskiej na Śląsku.

Utopiec jest postacią baśniową najbardziej znaną na Śląsku Opolskim; baśni o nim jest bardzo wiele u ludu w tamtych stronach, szczęśliwie przetrwały one do naszych czasów. Był to jegomość bardzo interesujący, umiał przybierać różne postacie, z których najbarwniejsze przedstawiono w początkowych baśniach zbioru. Jak z postacią Skarbnika na górniczym Śląsku, tak z utopcem na rolniczym wiążą się pewne zasady moralnego postępowania człowieka. Warto podkreślić, że utopiec — władca rzeki — wpada w gniew, jeśli flisacy, czy po prostu ludzie podróżujący łodziami, przewożą wodą dobro kradzione. Wywraca łodzie i topi żeglarzy, a więc karze tych, którzy w jego królestwie popełniają złe uczynki.

W okolicy Bielska jeszcze i dziś można posłyszeć nazwę „mąż wodny” — podobnie jak „wodne panny”. Postacie te zamieszkują strumienie i jeziorka górskie. Sprzyjając ludziom dobrym, pomagają zwłaszcza sierotom i biedakom. Pijanice i złodziei nękają wszakże przemyślnymi figlami i do strachu wielkiego przywodzą.

W wierzeniach ludu śląskiego występuje także ubożę i kraśniczka.

Ubożę nazywają również piędzimęzykiem. Opiekuje się on miejscem pracy człowieka, troszczy o narzędzia i samą pracę ułatwia. Niekiedy strzeże domu i całego obejścia, chętnie kosztując okruszków chleba i mleka lub miodu z miseczki.

Kraśniczki zaś pomagają niewiastom w robotach domowych, zwłaszcza w pieczeniu chleba i pierników. Podanie ludowe głosi, że to od nich opolanki i raciborzanki nauczyły się piec słynne swe pierniki, a także sporządzać do wypieku piękne i oryginalne formy, które — niekiedy bardzo stare — przechowywane są po muzeach w wielu miastach Śląska.

Król Węzów nie tylko występuje w baśniach beskidzkich; udało mi się posłyszeć o nim również na Dolnym Śląsku. Powiadają, że chętnie zamieszkuje on podziemia niektórych starych piastowskich zamków, strzeże klejnotów, które niegdyś polskie księżniczki zakopały w ziemi przed Tatarami, a jeśli gdzieś w okolicy trafi się zdolny grajek, to Król Węzów zawsze przychodzi go posłuchać, a w razie jakiegoś zmartwienia czy kłopotu po przyjacielsku pomaga.

Pisarze bardzo wiele materiałów i pomysłów zawdzięczają starym ludziom, którzy przechowują w pamięci to, czego nie zapisano w książkach, i przechowują trwale, a potem chętnie przekazują swe wiadomości innym.

Kiedy sądziwa wrocławianka, Walentyna Kubisz, w kilku fragmentach zdołała przypomnieć sobie tytułową baśń zbioru „Sztolnia w Sowich Górach”, miała skończone dziewięćdziesiąt cztery lata. Opowiadała ją w roku 1952, a usłyszała sama po raz pierwszy chyba jeszcze w tych czasach, kiedy na Dolnym Śląsku zaczęto dopiero budować kolej żelazną.



Jakże to dawno! Jak wiele zmieniło się na świecie od tych lat, w których dziewczynka Walentyna w jakieś niedzielne popołudnie usłyszała tę baśń od starych kobiet w maleńkiej wtedy wiosce Tworóg. Miłosz nazywał się wówczas Ligierz. Może to zmienione po ludowemu imię Eli-giusz? Może dawny Walgierz ze starej kroniki? Aby to ustalić, trzeba przeprowadzić osobne badania naukowe i może kiedyś rzeczywiście ktoś z uczonych ludzi Zwróci uwagę na ciekawe i rzadkie imiona osób występujących w baśniach.

Oprócz Walentyny Kubisz wiele ciekawych rzeczy opowiedziała mi nie żyjąca już dziś, droga i niezapomniana staruszka, Rozalia Kania z Siemianowic. Dlatego wspomina się o nich obu w posłowie serdecznie i wdzięcznie, dlatego ich imiona powinni znać czytelnicy „Sztolni w Sowich Górach”.

*Autorka*

## **OBJAŚNIENIA WYRAZÓW TRUDNIEJSZYCH I GWAROWYCH**

**B a k a l i e** — suszone owoce południowe, jak figi, daktyle, rodzyunki

**B a r a b a** — w gwarze ludowej: łotrzyk, nicpoń

**B a r s** — drapieżne zwierzę z rodziny kotów spotykane obecnie w Azji

**B a r w i n e k** — roślina o niebieskich kwiatach i dużych skórzastych liściach

**B a s i o r** albo basiu — nazwa wilka samca w języku myśliwych

**B e j** — tytuł urzędników wojskowych i cywilnych w Turcji

**B o l e s ł a w i e c** — miasto na Dolnym Śląsku położone nad rzeką Bóbr

**B o r a c z k a** — nieboraczka

**B r e k i n i a** — rzadki obecnie gatunek jarzębiny

**B r u s e k** — osełka

**B r z e c h w a** — strzała do łuku

**B r z e g i n k a** — wodnica, rusałka

**B u ņ c z u k** — w dawnej armii tureckiej oznaka władzy wyższego dowództwa: drzewce zakończone kulą, spod której zwisają chwasty z końskiego włosa

**B u r g** — po niemiecku zamek; tutaj: pałac cesarski w Wiedniu

**B u z d y g a n** — rodzaj obucha, czyli młota bojowego, używany też jako oznaka godności dowódców

**C h e b d, h e b d** — krzew o soczystych liściach, które zwykle dodaje się do paszy chwast — tutaj: ozdobna kitka kolorowej włóczki, którą przytwierdza się do bata albo do uprzęży końskiej po obu stronach głowy zwierzęcia

**C u c h a** — rodzaj sukiennej peleryny z rękawami, którą noszą górale

**C z e ż u j a** — łuska grzbietowa u ryb jesiotrowatych

**C z ó ł k o** — szeroka przepaska na czoło z ręcznie robionej krochmalonej koronki, stanowiąca całość z czepkiem albo pięknie zawiązaną chustką

**D a p k a ć** — mocno i zręcznie przytupywać w tańcu góralskim

**D r a n i c a** — cienka deska obłupana z drzewa za pomocą dłuta i siekiery

**D y m a r k a** — dawny otwarty piec hutniczy, który służył do wytapiania żelaza bezpośrednio z rudy

**D y m a r z** — hutnik pracujący przy dymarce

**D ż y g i t** — jeździec turecki, rycerz

**E t y k i e t a** — ściśle ustalony porządek i forma zachowania się na dworach królewskich, w

dplomacji itd.

F a r o r z — proboszcz

G a c e k — nietoperz z gatunku gacek wielkouch

G a d z i n a — zwierzęta domowe, bydło, drób

G a j d y — ludowy instrument muzyczny, inaczej dudy; składa się ze skórzanego worka połączanego z piszczałką

G a j d o s z — artysta grający na gajdach

G a l o n — szlak u dołu spódnicy

G a l o t k i — spodnie

G ę d ź b a — muzyka

G i e z ł o — koszula

G i z d — wyraz obelżywy

G n e j s — minerał, łupek krystaliczny

G o d y — ludowa nazwa Bożego Narodzenia

G o m ó ł k a — bryłka sera, masła. Tu: bryłka szkła, używana dawniej do okien

G o r y c z k a — roślina górską o kwiatach żółtych lub niebieskich

G o s p o d s k i — właściciel gospody

G r a ń, g r o ń — szczyt, krawędź góry; w Beskidach graniem nazywają polanę leżącą blisko szczytu

G r z y b i e ń — lilia wodna

G w a r e c t w o — dawne przedsiębiorstwo górnicze, członków gwarectwa zwano gwarkami

H e z a r — oddział w średniowiecznych wojskach tatarskich złożony z tysiąca ludzi

I n k a u s t — atrament

J a t a g a n — krzywa szabla turecka

K a b o t k a, k a b a t e k — długi kaftan zwierzchni

K a m z o l a — zwierzchni strój męski na Śląsku, rodzaj kaftana bez rękawów, o długich połach

K a n d y — gdzie

K a p i c a — habit mnisi, kaptur; tutaj: rodzaj nakrycia głowy

K a r l u s — młodzieniec, zuch, junak

K a r m a — pożywienie dla bydła

K i l o f — ręczne narzędzie górnicze w kształcie wydłużonego młota ze śpiczastym końcem

K i r a s j e r — żołnierz osłonięty pancerzem, zwanym kirysem

K l a c h u l a — plotkarka

K o ł c z a n — pochwa na strzały do łuku

K o m e s — hrabia; w Polsce we wczesnym średniowieczu tytuł ten przysługiwał możnowładcom

K o n a r z — konar

K o p a s — kilof z jeleniego rogu

K o p a s y n — stara nazwa górnika pracującego kopasem

K o s y t o r z — dawny rzemieślnik zatrudniony w kuźnicy

K o z i y r y — inaczej kozioryjka, taniec śląski

K r o p i e r z — ozdobna kapa do przykrycia konia

K u k u k — tutaj: pogardliwa nazwa pruskiego godła państwowego, wyobrażającego orła

K u k s — udział w kopalni, ustalona wypłata jednego górnika

K u m y s — napój ze sfermentowanego mleka kobyłego

K u ź n i c a — dawna nazwa warsztatu rzemieślniczego, w którym obok kowalstwa trudniono się jednocześnie wytapianiem żelaza z rudy

K u ź n i k — dawny kowal i hutnik

K w a p — puch, tutaj: miękka sierść na brzuchu zająca

L a n d r a t — naczelnik powiatu w Prusach  
L e j t n a n t — porucznik  
L e z i w o — przyrząd bartników do włożenia na grube sosny, na których są barcie  
Ł ę g, ł ą g — nisko położona łąka nad rzeką  
Ł u p e k — skała osadowa składająca się z wielu warstewek, dająca się łatwo łupać na drobne płytki  
Ł u p a, ł u p k a — bryła surowego, jeszcze porowatego żelaza, które trzeba było powtórnie przekuwać na kowadło  
M a m l a s — niezdara, piecuch  
M a n e l e — ozdoby noszone na rękach, bransoletki  
M a r c h a — poczwara, straszycło  
M a ś n i c a, k i e r z a n k a — przyrząd do ubijania masła  
M a z e l o n k a — spódnica z ciemnego bawełnianego materiału  
M i e l e r z — stos, prymitywnie urządzony, w którym ułożony surowiec wypala się lub zwęglą; w ten sposób wytwarzano dawniej węgiel drzewny  
O c z a p i e r z y s k a — górskie zbocza porośnięte krzewami  
O d k r y w k a — kopalnia otwarta, w której pokład znajduje się blisko powierzchni ziemi  
O p l e c e k — gorsecik noszony z wierzchu, zwykle przyszyty do spódnicy, ozdobnie haftowany  
O s t r e w k i, o s t r e w k a — młody świerk z gałęziami do połowy obciętymi, służący jako palik do suszenia siana  
O s t u d a — choroba, kłopot, strapienie  
O s p a, o s y p k a — otręby używane do posypywania pokarmu dla zwierząt  
O s z k l i w y — wstrętny, obmierzły  
O s z k u b e k — przezwisko  
O w i ę z i o k — beskidzki taniec ludowy  
P a d u c h — złodziej  
P a g w i c a, p ę g w i c a — guzik  
P e r g a m i n — skóra zwierząt specjalnie wyprawiona; od IV w. p. n. e. używano pergaminu jako materiału do zapisywania tekstów lub oprawy poszczególnych ksiąg  
P l a s k a t y — płaski  
P l e ć k a — kosz pleciony z cienkich korzeni sosny  
P o d c i e p e k — pogardliwa nazwa dziecka  
P o d j e z d e k — mały konik  
P o m a r a s i ć — zbrukać, zabłócić  
R a j t r o k — surdut  
R e c h t o r — nauczyciel  
R o b i ć p r z y m i e c h u — dmuchać do dymarki przez specjalny otwór w miechu  
R o b i e r z — rozbójnik, rabuś  
S a f i a n — miękko wyprawiona barwiona skóra kozła, używana do wyrobu obuwia, opraw ksiąg  
S a s i e k — przegroda w stodole na wymłócone zboże  
S i e d l a k — gospodarz, wieśniak  
S i o d ł o — w języku staropolskim wieś  
S k ó r z a k i — spodnie z wyprawionej miękko skóry  
S k ó r z n i e — proste obuwie z cholewami, szyte domowym sposobem  
S p a g — warstwa skalna, na której opiera się pokład węgla lub siarki  
S t a r k a — staruszka, babcia  
S t a r z y k — dziadek  
S t r o p — warstwy skalne leżące nad pokładem węgla

S w a k — krewny, powinowaty, szwagier  
 S z a f a r z — klucznik, rozdawca  
 S z e r g a — oprawca, tu: pogardliwa nazwa policjanta  
 S z k u b k i — wieczorne zebranie kobiet w celu wspólnego skubania pierza  
 S z k u t a — niewielki statek rzeczny do spławiania zboża  
 S z l a r k i — ozdobne krochmalone falbanki u czepca  
 S z m e l c e r z — w dawnej kuźnicy pomocnik kowala  
 S z t u r m o w a ć — tu: hałasować, awanturować się  
 S z w a n d r o w a ć — szwargotać  
 S z y n y — tutaj: większe sztaby żelaza  
 Ś n i e ż y c a w i o s e n n a — roślina cebulkowa kwitnąca biało w lasach górskich i podgórskich, obecnie pod ochroną  
 Ś w i e ż y ć — wyprażać rudę na otwartym ognisku w celu usunięcia wilgoci  
 T a r c h a l i c e — bardzo dawny ośrodek hutnictwa na Dolnym Śląsku  
 T r z e m — sala, sień; tutaj: domostwo  
 T r o j a k , t r o j a c z e k — taniec śląski  
 W o ł ó w — podobnie jak Tarchalice bardzo dawny ośrodek hutnictwa na Dolnym Śląsku  
 W r ę g i — drewniane albo żelazne żebra okrętowe  
 Z a p a ś n i c a — fartuch  
 Z a p r z a n i e c — odstępca  
 Z e l ż y w y — obrzydliwy  
 Z r ę k o w i n y — zaręczyny

## SPIS TREŚCI

### Baśnie z ziemi opolskiej:

O TRZECH BRACIACH Z OPOŁA	02
CZERWONY ŻUPAN	10
PRUSKA CHORAĞIEW	17
JAK SIĘ UTOPIEC POKAZAŁ KUBIE U PIDŁA	27

### Baśnie z Beskidów:

JAK MIECEK OBŁAZ STRACIŁ SIĘ W GÓRACH	32
UWIEŻIONA WODA	39

### Baśnie z Dolnego Śląska:

ZŁOTY KACZOR	48
KUŹNIK I PIĘDZIMĘŻYK	59
SZTOLNIA W SOWICH GÓRACH	67
POSŁOWIE	80
OBJAŚNIENIA WYRAZÓW TRUDNIEJSZYCH I GWAROWYCH	81